

# J.R. Rain

## Wampir do wynajęcia

# KSIEŻYC I WAMPIRZYCA

Tytuł oryginału: *Vampire Moon. A Vampire for Hire*

Copyright © 2010 by J.R. Rain

### Dedykacja

*Dla Susanny, najodważniejszej dziewczyny, jaką znam*

Sunący księżyc wzniosł się wzwyż

I nie przystanął w jeździe;

Na niebios cicho wchodził strop

Przy jednej, drugiej gwiazdzie.

Samuel Taylor Coleridge (przeł. Stanisław Kryński)

W księżycu „złe siedzi”.

Lord Byron (przeł. Edward Porębowicz)

7

1

Gdy moja komórka zatrzęsała się bezgłośnie, siedziałam akurat samotnie w hotelowym pokoju, oglądając sobie w telewizji, jak sędzia Judy publicznie miesza z błotem głupawego właściciela kamienicy w slumsach. Aby odnaleźć telefon, musiałam rozgarnąć kopczyk zużytych chusteczek zalegających na nocnym stoliku. Numer na wyświetlaczu był nieznany. Zastanawiałam się przez chwilę, czy w ogóle odebrać – bo sędzia Judy już prawie doprowadziła tego gamonia do łez, a ja uwielbiam patrzeć, jak gamonie przed nią płaczą – ale to mógł być ewentualny zleceniodawca. Potrzebowałam jak najwięcej zleceń. W hotelu nie mieszka się za darmo.

Wyłączyłam dźwięk w telewizorze, ucinając wspaniałą tyradę sędzi Judy i otworzyłam komórkę.

– Biuro detektywistyczne „Moon”, słucham.

– Czy to biuro detektywistyczne „Moon”? –

W słuchawce zabrzmiał męski głos.

– Mam niejasne wrażenie, że wszystko na to wskazuje...

Na długą chwilę zapadła cisza. Słyszałam, jak mój rozmówca oddycha głęboko, najprawdopodobniej

**8**

przez usta. Jego głos miał nosowe brzmienie. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że przed chwilą płakał.

– Pani jest... no, prywatnym detektywem, coś takiego?

– Coś takiego – zgodziłam się. – W czym mogę pomóc?

Nieznajomy znów umilkł. Czułam, że zaraz się rozłączy, nietrudno było zresztą zgadnąć dlaczego. Spodziewał się, że odbierze mężczyzna. Niestety, w tej branży pokutują takie uprzedzenia; zdążyłam już przywyknąć. Tymczasem fakty mówią, że kobiety są na ogół lepszymi detektywami niż mężczyźni.

Czekałam cierpliwie.

– Dobra pani jest? – odezwał się wreszcie.

– Wystarczająco dobra, aby się domyślić, że przed chwilą pan płakał – odparłam, spoglądając na zmięte chusteczki na nocnym stoliku. – A jeśli mam zgadywać, to w tej chwili gdzieś obok pana leży garść zużytych chusteczek higienicznych.

W słuchawce rozległo się coś jakby parsknięcie.

– Rzeczywiście, jest pani niezła – usłyszałam.

– I za to tyle mi płacą. Jeśli pan sobie życzy, przedstawię swoje referencje.

– Mogą się przydać – odparł mój rozmówca, znów głęboko oddychając przez łyżę. Potem coś zaszeleściło; pewnie wycierał nos. – Proszę

**9**

posłuchać: potrzebuję pomocy, a nie mam do kogo się zwrócić.

– Na czym ma polegać ta pomoc?

– Może lepiej nie rozmawiajmy o tym przez telefon.

– Mieszka pan w hrabstwie Orange? – zapytałam.

– Tak. W Irvine.

– Spotkajmy się za godzinę w Orange, w centrum

handlowym The Block. Jest tam duży Starbucks, trzeci pod względem wielkości na świecie.

– Poważnie?

– Prawdę mówiąc, to była hiperbola. Zamierzona przesada. Ale naprawdę jest spory.

Nieznajomy znów parsknął w słuchawkę, a ja odniosłam wrażenie, że się uśmiecha; prawie było to słychać.

– W porządku – powiedział. – Spotkamy się w, jak mówią, trzecim pod względem wielkości Starbucksie na świecie.

Poczułam, że już go lubię, chociaż wcale się nie znamy. Poinstruowałam, że ma się rozglądać za brunetką w kapeluszu z bardzo szerokim rondem.

– W kapeluszu? – zdziwił się.

– Jestem kobietą modną – wyjaśniłam. – W promieniu metra ode mnie nikt nie może zobaczyć słońca.

Nieznajomy zaśmiał się głośno, ale nieszczerze, co nie uszło mojej uwagi. To był pusty śmiech. Od tego

## **10**

człowieka bił ogromny smutek związany z kimś, kto odszedł na zawsze. Mój szósty zmysł się rozwijał, ale nie potrzeba było jasnowidza, aby to stwierdzić.

– No cóż, zawsze dobrze mieć jakiś cel w życiu

– odparł mój rozmówca. – Przyjdę więc i poczekam na zaćmienie słońca. Wtedy będę wiedział, że to pani kapelusz.

Tym razem to ja uśmiechnęłam się szeroko.

– Tylko proszę dobrze patrzeć, bo pod takim kapeluszem może mnie pan nie znaleźć.

Nieznajomy przedstawił mi się – miał na imię Stuart – a ja odczytałam na głos numer jego komórki, na wypadek gdyby udało mu się nie trafić do trzeciego pod względem wielkości Starbucksa na świecie albo przegapić olbrzymi kapelusz rzucający cień na pół hrabstwa Orange.

Owszem, to także była hiperbola.

Po ustaleniu godziny spotkania zakończyliśmy rozmowę. Włączyłam z powrotem dźwięk w telewizorze; sędzia Judy właśnie kończyła masakrować kamienicznika-nieudacznika na oczach telewizyjnej publiczności.

Nakazała mu zwrócić dawnej lokatorce całą kaucję.

Punkt dla maluczkich!

Nie chciało mi się wstawać z łóżka. Ani w ogóle ruszać. Popołudnie to nie była dla mnie najlepsza pora. Powinnam w zasadzie smacznie spać, ale

**11**

przyzwyczaiałam się już, że właśnie o tej godzinie wstaję, żeby pojechać po dzieci do szkoły.

Tylko że teraz nie mogłam ich odbierać. Zakazano mi tego.

Zakaz obowiązywał już od dwóch tygodni. Potwór, którego w sobie nosiłam, był prawdopodobnie wdzięczny, że może wreszcie spać aż do samego zmierzchu, ale moje serce, serce matki, krajało się z rozpacz.

I ostatecznie matka wygrała z potworem.

Jeszcze nie dalej niż kilka tygodni temu, żeby nie zasnąć, musiałam nastawić sobie budzik. Był rozkręcony na cały regulator i stał jak najbliżej mojego ucha.

A teraz budziłam się sama, o trzeciej po południu, dzień w dzień. Jak w zegarku.

Chociaż nie miałam już nic do roboty o tej godzinie.

Po przebudzeniu zazwyczaj od razu zaczynałam płakać. Kiepski początek dnia – czy też, w moim wypadku, nocy.

Porozczulałam się nad sobą jeszcze trochę, a potem trzeba było w końcu zwlec się z łóżka, pójść do łazienki i wysmarować grubo ręce i twarz kremem z najmocniejszym filtrem przeciwsłonecznym, jaki tylko był dostępny na rynku.

Gdy już byłam gotowa, ruszyłam do drzwi, łapiąc po drodze torebkę, kluczyki i kapelusz. Czekaając na windę, zaczęłam się zastanawiać, co w tej chwili robią moje dzieci. Po sprawdzeniu godziny na komórce doszłam do wniosku, że siedzą w domu pod opieką mamy Danny'ego, która teraz codziennie się nimi zajmuje. Odrabiają lekcje albo kłócą się o programy w telewizji ewentualnie gry na komputerze. A może kłócą się po prostu. Westchnęłam ciężko. Brakowało mi nawet ich kłótni.

Pomyślałam o tym, że wieczorem do nich zadzwonię, o siódmej, jak zwykle. Udzielono mi pozwolenia na codzienną rozmowę z dziećmi. Powiem im, że je kocham i tęsknię za nimi. Od nich usłyszę to samo.

Opowiedzą mi, co robiły przez cały dzień, a gdy zapytam, jak było w szkole, Anthony rozgada się, jak to

on... i w tym momencie Danny, mój były mąż, podsłuchujący każde słowo, przerwie nam, mówiąc, że moje dziesięć minut dobiegło już końca, a dzieciom każe się pożegnać. Gdy tylko powiemy sobie „do widzenia”, natychmiast osobiście odłoży słuchawkę.

Usłyszę trzask przerywanego połączenia.

I przez kolejne dwadzieścia trzy godziny i pięćdziesiąt minut nie będę miała kontaktu ze swoimi dziećmi. Na początku mogliśmy rozmawiać przez dwadzieścia minut, potem z dwudziestu zrobiło się piętnaście, a teraz dziesięć.

Będę musiała kupić więcej chusteczek.

### 13

#### 2

Czekałam na Stuarda pod dużą zieloną markizą, w najgłębszym cieniu. Słońce litościwie chowało się już za lśniącą kopułą pobliskiego multipleksu.

The Block, centrum handlowe w Orange, to miejsce modne i ludne, nawiedzane, jak się wydaje, głównie przez grupki rozchichotanych piętnastolatek. Na ich widok przypomniała mi się moja córka, która ostatnio nie miała zbyt wielu powodów do śmiechu. Wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że pogrąży się w depresji.

Dziewięć lat to za wcześnie na depresję.

Nagle i mnie dopadło przygnębienie. Rozejrzałam się dookoła; zza rogu zdecydowanym krokiem wyszedł jakiś mężczyzna, który obrzucił szybkim spojrzeniem tłum gości Starbucksa. Wypatrzył mnie i ruszył w moją stronę. Należy wspomnieć – skoro była przed chwilą mowa o lśniących kopułach – że człowiek ten był całkowicie łysy i najwyraźniej bardzo z tego dumny. Gdy się zbliżył, zauważyłam, że jego spodnie i koszulka są mocno wygniecione. Na gładkiej czaszce szklili się cienka warstewka potu. U paska wisiał futerał z komórką, która pamiętała chyba jeszcze koniec zeszłego stulecia.

### 14

– Pani Samantha Moon? – zapytał łysy mężczyzna.

– Zdumiewająca domyślność – odparłam.

– Niezbyt – powiedział, spoglądając na mój kapelusz.

– Trudno przeoczyć coś takiego.

Zazwyczaj niechętnie podaję dłoń na powitanie.

Mam skórę zimną jak lód, co powoduje, że ludzie najczęściej wzdrygają się odruchowo. Jednakże Stuart od

razu wyciągnął do mnie rękę, więc zrobiłam to samo, choć z pewnym wahaniem. Zadrżał lekko, ale nie zrobił z tego wielkiej sprawy, co powitałam z wdzięcznością. Jednocześnie fizyczny kontakt pobudził moje parapsychologiczne zdolności. Wyczułam, że spotkało go coś złego... nie. Coś złego spotkało jakąś bliską mu osobę. I to niedawno. Rzuciłam okiem na jego drugą dłoń. Na palcu miał obrączkę.

Coś się stało jego żonie.

– Napije się pan kawy? – zapytałam. – Skoro już jesteśmy w trzecim pod względem wielkości Starbucksie na świecie...

Stuart rozejrzał się dookoła. Jego łysina połyskiwała w słońcu.

– Rzeczywiście, to nie był żart – skonstatował. – Lokal jest olbrzymi, więc chyba i kawa powinna być dobra, hm?

– „Dobra” to za mało powiedziane – poprawiłam go. – To jest Starbucks. Kawa ze Starbucksa jest czarodziejska.

## 15

– O, wierzę. Potrafi sprawić, że z kieszeni zniknie pięć dolców. Albo siedem, jak się zamówi te wszystkie fidrygałki.

– Fidrygałki?

– No, wie pani, bitą śmietaną, syrop i jakieś tam wiórki czekoladowe.

– Rozumiem. Pyszne fidrygałki.

Uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko mnie. Był niewysoki i szczupły. Jego łysa głowa w dziwny sposób mnie pociągała. Miała idealne proporcje. Żadnych tam grubych fałdów ani bruzd nie wiadomo skąd i po co. Skóra – gładka i lekko opalona. Pomyślałam sobie: oto łysina idealna. Miałam ochotę jej dotknąć. Ogromną.

Stuart wskazał palcem moje nakrycie głowy.

– Zawsze pani nosi takie duże kapelusze? – zapytał.

Z reguły zbywam pytania natury osobistej, a zwłaszcza takie, które dotyczą mojej... przypadłości.

– Mam dzięki niemu lepszy zasięg – rzuciłam krótko.

Patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem przez sekundę albo dwie, a potem jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Aha, przypomina antenę satelitarną, rozumiem.

Niezły dowcip.

Zapytałam, czy napije się czarodziejskiej kawy, ale podziękował, tłumacząc się późną porą. Skorzystałam

## 16

z tej samej wymówki, aby jej nie zamawiać, chociaż była to prawda jedynie połowiczna: sześć lat temu rzeczywiście byłoby dla mnie za późno, ale teraz kawa po prostu mnie mdliła.

– No dobrze, proszę mi powiedzieć, co spotkało pańską żonę – zaczęłam. – Bo to o nią chodzi, prawda? Stuart odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ramiona na piersi, mrużąc oczy. Jego źrenice zwężyły się do rozmiarów dwóch czarnych kropeczek.

– Tak, to prawda – przyznał – ale skąd pani wie o mojej żonie?

– Kobięca intuicja – wyjaśniłam.

Przyglądał mi się uważnie jeszcze przez chwilę, aż wreszcie wzruszył ramionami. Pochylił się w przód, lekko opierając wąskie dłonie na blacie stolika.

– Przed mniej więcej miesiącem... moja żona została zamordowana.

– Bardzo mi przykro.

– Mnie też – odparł i zaczął mówić dalej.

Jego żona zginęła w katastrofie lotniczej. Razem z nią ofiar było dziesięć. Samolot rozbił się w górach San Bernardino, całkiem niedaleko miejsca, gdzie w tej chwili siedzieliśmy. Nikt nie przeżył.

Przypomniałam sobie internetowy artykuł na ten temat, ale sprawa szybko ucichła i już się nie dowiedziałam, co było przyczyną katastrofy ani też jakie wyniki przyniosło dochodzenie. Taka sensacja,

## 17

a przeszła bez echa. Jakby ktoś koniecznie chciał ją zatuszować.

Pomyślałam sobie, że chyba nie znam nikogo, kto stracił bliską osobę w katastrofie lotniczej. Przypomniało mi się jednak, że na początku Stuart powiedział: „Moja żona została zamordowana”. Nie nazwał tego wypadkiem.

– Współczuję panu – powtórzyłam, kiedy skończył. Skinął głową. Widać było, że opowieść o tragicznej śmierci żony bardzo go przygnębiła. Gdybyśmy znali się odrobinę lepiej, wzięłabym go za rękę, a tak mogłam tylko pomrukiwać pocieszająco i mówić – nie za

często – że mi przykro. A to było raczej za mało.

Milczeliśmy jeszcze przez kilka chwil, a gdy poczułam, że nadszedł chyba właściwy moment, powiedziałam:

- Pańskim zdaniem to nie był wypadek.
- Nie był.
- Uważa pan, że ktoś zamordował pańską żonę.
- Jestem tego pewien. To było morderstwo. Zbiorowe morderstwo.

F

Przy stoliku obok nas usiadła para w starszym wieku, rozkładając na blacie książki, krzyżówki i sudoku.

## 18

Oboje popijali bezgłośnie kawę z wysokich kubków.

W skali Starbucks „wysoki” kubek jest, oczywiście, mniejszy od „dużego”.

Obserwowałam Stuarta uważnie, nie wiedząc, co właściwie mam o nim myśleć. Nawet szósty zmysł nie podpowiadał mi, jak go rozpracować. Psychicznie był raczej zdrowy, chociaż widać było, że jest potwornie zrozpaczony. I to mnie właśnie martwiło. Rozum nigdy nie wygra z rozpacą.

Kiedy przysiedli się do nas starsi państwo, odruchowo zniżyliśmy głosy, przysuwając się trochę bliżej siebie.

– Dlaczego pan uważa, że to było morderstwo? – zapytałam.

– Bo mojej żonie wielokrotnie grożono śmiercią, podobnie zresztą jak wszystkim pasażerom tego samolotu.

No dobrze, duży plus po stronie rozumu. Musiałam jednak zadać kilka pytań. Poważnych pytań.

– Czemu ktoś chciałby nastawać na życie pańskiej żony i pozostałych pasażerów?

– Miała być świadkiem w sądzie. Ona i pięć albo sześć innych osób.

Wypowiadając te słowa, Stuart bezwiednie wykonał pewien gest: sięgnął po coś dłonią, ale ponieważ nic przed nim nie stało, palce przeczesaly tylko powietrze. Mogłam się domyślać, czego szuka mój

## 19

rozmówca: kieliszka z jakimś mocnym napojem. Niestety, byliśmy w Starbucksie, gdzie, o ile mi wiadomo, nie podaje się kawy z prądem. Przynajmniej do tej pory tak było.

– Czy tym samolotem lecieli wszyscy świadkowie?



– Tak – potwierdził. – Mieli zostać umieszczeni w bazie wojskowej w Camp Pendleton, dla bezpieczeństwa. Wtedy, oczywiście, nie wiedziałem, dokąd władze ich wysyłają. Teraz już wiem.

– Przeciwko komu miała zeznawać pańska żona?

Stuart spojrział na mnie z wahaniem w oczach.

Domyśliłam się, o co chodzi. Jeszcze chwila i wpadnę po uszy w jakąś bardzo niebezpieczną aferę. Nie wiedział, czy powinien mnie w to mieszać. Dla niego byłam tylko fajną dziewczyną w kapeluszu wielkim jak sombrero; z całą pewnością nie chciał mnie na nic narażać.

– Może mi pan wszystko powiedzieć – uspokoiliam go. – Potrafię milczeć jak grób.

Potrząsnął tylko głową.

– Może lepiej dam sobie spokój – mruknął.

– Może – przytaknęłam – ale ja jestem już dużą dziewczynką.

– To są bardzo groźni ludzie, mogą dopaść każdego, jak widać, niemal wszędzie.

– Słyszał pan, że jestem dużą dziewczynką, prawda?

**20**

– Pani Samantho, to nie jest sprawa dla dziewczynki, ani dla dużej, ani dla małej. Tutaj przydałaby się cała armia.

– Proszę mi mówić po imieniu: Sam. I nie jestem z tych strachliwych.

Zmrużył oczy, przyglądając mi się bacznie. Promienie zachodzącego słońca musnęły jego idealnie kształtną czaszkę. Piękno jest wszędzie, pomyślałam, nawet w łysej glacy.

– Naprawdę się nie boisz? – zapytał.

– Nic a nic.

– A powinnaś.

– Boję się wielu różnych rzeczy, ale nie należą do nich uzbrojeni bandyci. Inna sprawa, kiedy dzieci przychodzą do mnie z pracą domową z matematyki. Stuart uśmiechnął się szeroko.

– No, dobrze – powiedział – tylko pamiętaj, że cię ostrzegałem.

– Nie zapomnę.

Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, na przemian zginając i prostując palce. Nie wiedział, co zrobić z pustymi dłońmi. Przyzwyczyił się pewnie do trzymania żony za rękę. Teraz, jak podejrzewałam, jej

dłoń zastąpiła kryształowa szklanka z mocnym alkoholem.

– Moja żona miała zeznawać w procesie Jerry’ego Bluma.

## 21

Skinęłam potakująco głową. To nazwisko obijało mi się nieraz o uszy, zwłaszcza w czasach pracy w urzędzie federalnym. Jerry Blum był człowiekiem, który sam, bez niczyjej pomocy, stworzył olbrzymie przestępcze imperium, sięgające wpływami od Meksyku aż po Kanadę. To ostatnie było o tyle zrozumiałe, że pochodził właśnie z Kanady. Ostatnimi czasy pracował ciężko nad obróceniem ulic i szkół hrabstwa Orange w narkotykowy rynek. Przed sześcioma laty bawił się trochę w przekręty z kredytami mieszkaniowymi, które ja wtedy właśnie namierzałam.

Miał niezwykle zmysł do tuszowania swoich powiązań z wszystkimi nielegalnymi operacjami. Jeszcze bardziej niezwykle było to, że zawsze umiał wykręcić się od oskarżeń; dlatego właśnie mój wydział nigdy go nie złapał.

Ostatni raz słyszałam o nim, gdy rozeszła się pogłoska, że ma stanąć przed sądem w związku z kuriozalnym morderstwem pod nocnym klubem w pobliskim mieście Seal Beach. Z niewiadomych przyczyn Jerry Blum stracił swoje słynne opanowanie i zastrzelił człowieka na oczach wielu świadków.

Zapytałam o to Stuarta, a on potwierdził: jego żona rzeczywiście miała zeznawać w tym procesie. Widziała całe zajście (a oprócz niej jeszcze pięć innych osób) i zgodziła się wystąpić jako świadek, tym samym narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

## 22

Słuchałam go, postukując paznokciem w blat stolika.

Paznokcie same rosły mi teraz w szpic, ale na ogół nie zwracało to niczyjej uwagi, a w każdym razie nikt tego nie komentował. Może ludzie boją się dziwaczki z ostrymi paznokciami?

– Dlaczego sądzisz – zapytałam – że Jerry Blum miał coś wspólnego z katastrofą samolotu, którym leciała twoja żona?

– Bo dziś jest wolnym człowiekiem. Nie ma świadków – nie ma sprawy. Sąd orzekł, że działał w obronie własnej.

– Przecież w tej katastrofie rozbił się wojskowy

samolot. Musiał chyba być wojskowy, bo leciał do wojskowej bazy.

– Wiem, że to brzmi jak bełkot szaleńca, ale spójrz na fakty. Wiadomo nie od dziś, że Jerry Blum ucisza niewygodnych świadków. To była dokładnie taka sama akcja, tylko trochę bardziej kosztowna. Nie ma świadków – wychodzę na wolność.

Rozważałam to sobie w myśli, wciąż bębniąc paznokciem w stół. Nikt nie może spowodować katastrofy wojskowego samolotu. Nie ma takich ludzi nawet wśród tych najbardziej wpływowych. A jednak poszlaki były naprawdę bardzo mocne.

Uwaga! Okazało się, że stukam za mocno.

W plastiku pojawiła się dziura. No tak. Dzięcioł-wampir.

## 23

– Czy federalne dochodzenie ustaliło przyczynę katastrofy? – zapytałam.

– Nie – odparł Stuart. – Sprawa wciąż się toczy. Zaangażowały się w nią już chyba wszystkie instytucje na świecie. Ja sam byłem osobiście przesłuchiwany przez FBI, śledczych wojskowych i Federalny Zarząd Lotnictwa.

– Ty? Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Chyba podejrzewali, że mogło dojść do przestępstwa.

Skinęłam głowę, ale powstrzymałam się od stukania w blat.

– Ale to był on, Sam. To on zamordował mi żonę. Jestem tego pewien i chcę, żebyś pomogła mi znaleźć dowody. Co ty na to?

Zastanowiłam się przez chwilę. Tropienie bossa organizacji przestępczej to już nie przelewki. Musiałabym działać bardzo ostrożnie. Nie mogłam narazić ani swojej rodziny, ani samego Stuarta. O sobie się zbytnio nie martwiłam.

Skinęłam potakująco głowę, a on uśmiechnął się z ulgą. Omówiliśmy jeszcze kwestię mojego honorarium za pozostawanie w dyspozycji. Kwota, którą zaproponowałam, była dość wysoka, ponieważ wszystko wskazywało na to, że śledztwo będzie żmudne i czasochłonne. Stuart przyjął moje warunki bez mrugnięcia okiem. Podałam mu swój adres PayPal, na który miał przekazać pieniądze, i uprzedziłam, że zacznę

pracować, kiedy przyjdzie potwierdzenie wpłaty.  
Zrozumiał.

Jeszcze raz podaliśmy sobie dłonie i znowu nawet się nie skrzywił, dotykając mojej lodowatej skóry. A gdy wstał od stolika i odszedł, jego czaszka lśniła w promieniach zachodzącego słońca; marzyłam o tym, żeby przesunąć po niej palcami. Uznałam, że przyszedł czas, aby wreszcie coś ze sobą zrobić.

**25**

**3**

Pół godziny później zajęłam na parking pod McDonaldem i siedząc w samochodzie, odliczałam minuty do dziewiętnastej.

Na ulicach był za duży ruch, abym zdążyła wrócić na czas do hotelu, więc postanowiłam zadzwonić do dzieci z miasta. Wybrałam to miejsce, tuż obok autostrady, z widokiem na złote łuki. W powietrzu unosił się tam mocny aromat frytek.

Zaburczało mi w żołądku, który najwidoczniej cierpiał na zanik pamięci. Frytki już dawno zniknęły z mojego jadłospisu.

Słońce chowało się za horyzontem. Dla mnie była to dobra wiadomość. Zachodnia część nieboskłonu płonęła ognistymi barwami oranżu, czerwieni i żółci, w ten przepiękny sposób przypominając, jak bardzo powietrze południowej Kalifornii przesycone jest smogiem.

Zerknęłam na zegarek zamontowany na tablicy rozdzielczej: szósta pięćdziesiąt pięć.

Wszystkie zasady ustalił Danny, mój mąż. Nie zawarliśmy żadnej oficjalnej umowy dotyczącej opieki nad dziećmi. Wszelkie decyzje zapadły poza salą

**26**

sądową, ponieważ w tej sytuacji to on miał władzę absolutną. Przed mniej więcej miesiącem zagroził, że ujawni, kim naprawdę jestem – twierdząc, że ma na to dowody – i zareczył, że jeśli spróbuję mu się przeciwstawić, już nigdy nie zobaczę dzieci. Nie miałam najmniejszego pojęcia, że wysłałam za takiego bezwzględniego typa. Łagodny mąż zniknął bez śladu, a na jego miejscu pojawił się istny potwór. Nie, nie taki jak ja. Ja mam lodowatą skórę, on miał lód w sercu.

Tak więc, chociaż trudno było znieść rozłąkę z dziećmi, musiałam grać według jego zasad i czekać na właściwy moment.

Zabębniłam palcami w kierownicę. Przez otwarte okno wdarł się lekki powiew, niosąc ze sobą zapach gotowanej wołowiny. Było tam też jeszcze coś, może McNuggets. Pociągnęłam nosem. No tak, frytki. Frytki czuć zawsze.

Spojrzałam na zegarek. Trzy minuty. Jeśli zadzwonię wcześniej, Danny nie odbierze. Jeśli później, to tak czy inaczej rozmowa skończy się dziesięć po siódmej. A gdybym zadzwoniła później niż dziesięć po, to tak samo nie miałam co liczyć, że ktoś podniesie słuchawkę. Czyli znów przesrane. Ta ostatnia sytuacja zdarzyła mi się tylko raz, kiedy miałam spotkanie z klientem. Przysięgłam sobie, że więcej się to nie powtórzy, do diabła z klientami.

## 27

Dwie minuty. Każda sekunda kontaktu z dziećmi była dla mnie na wagę złota. Trzęsłam się z wściekłości na Danny'ego, że każe mi to znosić. Dlaczego tak mnie dręczył? Jak on mógł?

Spokojnie, pomyślałam sobie. On się ciebie boi. A gdy człowiek się boi, zaczyna krzywdzić innych. Minuta. Zamknęłam okno, żeby dobrze słyszeć dzieci. Nie chciałam, żeby jakiś przekłety harley zagłuszył komicznie piskliwy głosik mojego Anthony'ego albo monolog Tammy, meldującej przesadnie poważnym tonem, czego nauczyła się w szkole.

Trzydzieści sekund. Położyłam palec na klawiszu ze słuchawką. Numer Danny'ego – mój dawny numer domowy – czekał już wybrany z listy.

Dziesięć sekund. Słońce, skryte gdzieś za pobliską łukowatą estakadą, dotknęło horyzontu, a ja momentalnie poczułam się lepiej. Było mi dobrze, dobrze jak cholera. Wiedziałam, że za kilka minut wstąpi we mnie siła, która żadną miarą nie przysługuje kobiecie. A już za jedną krótką chwilę miałam porozmawiać ze swoimi dziećmi. Twarz rozjaśnił mi uśmiech, który tego dnia jeszcze na niej nie gościł.

Punkt dziewiętnasta wcisnęłam klawisz, wybierając numer. Danny odebrał natychmiast, po pierwszym sygnale.

– Dzieci nie ma – rzucił bez wstępów, bezbarwnym

jak zwykle głosem.

– Ale...

– Nancy zabrała je na lody.

Nancy – to, oczywiście, była ta, która rozbiła naszą rodzinę. Sekretarka mojego męża, z którą początkowo łączyła go przelotna przygoda, a potem coś więcej.

Wystarczyło mi usłyszeć to imię, żeby wpaść w dziki szał.

– Ona? Ona je zabrała?!

– Tak. Lubią ją. Wszyscy ją lubimy.

– Kiedy wrócą?

– Nie wiem. To zresztą nie twoja sprawa.

– To o której mam zadzwonić?

– Możesz zadzwonić jutro o dziewiętnastej.

– Co ty pieprzysz, Danny? To jest moje dziesięć minut...

– Jutro – uciał i rozłączył się.

**29**

**4**

Godzinę później byłam już na treningu w niedużym klubie bokserskim o nazwie Jacky's, położonym w centrum miasta Fullerton. Trenował mnie sam szef, Jacky, co obecnie było nie lada zaszczytem, ponieważ ten krępy Irlandczyk miał już swoje lata. Jak to więc rozumieć? Cóż, albo wpadłam mu w oko, albo po prostu nie potrafił rozgryźć dziewczyny, która systematycznie rozwala mu sprzęt treningowy.

Słońce zaszło przed godziną, byłam więc w pełni sił. A ponieważ wciąż ogarniał mnie gniew na Danny'ego i ból, którego nie da się wyrazić słowami, staremu Irlandczykowi dostawało się i za to.

Na dłoniach miał „łapy” trenerskie, czyli ochraniacze do sparingu, a ja waliłam w nie seriami ciosów, czasem tak szybkich, że nie mogłam nadażyć wzrokiem za własnymi rękawicami.

To nie były zwykłe uderzenia. Biłam z całej siły, chyba wręcz za mocno.

Jacky, pomimo wieku, a dobiegał sześćdziesiątki, był twardym facetem. Kiedyś, jeszcze w Irlandii, boksował zawodowo, zaliczył niejedno złamanie nosa i z całą pewnością sam też kilka złamał. Nigdy nie

**30**

widziałam, żeby okazał jakkolwiek słabość albo dał po sobie poznać, że coś go boli, więc gdy zauważyłam,

jak się krzywi po każdym moim ciosie, zrozumiałam, że czas odpuścić biedakowi. Był zbyt zawzięty i zbyt uparty, żeby samemu poprosić o przerwę.

– Odsapnijmy trochę – zaproponowałam, cofając pięść w rękawicy.

Oględnie mówiąc – ulżyło mu.

Ale odgryzł mi się, mimo wszystko.

– Wymiełkasz, mała? – zapytał podniesionym głosem, żeby usłyszeli go wszyscy, którzy na nas patrzyli; czasami zbierał się cały tłumek ciekawskich, a Jacky musiał dbać o swoją reputację twardziela.

Ja, z oczywistych względów, nie lubiłam gapiów; na ogół staram się nie zwracać na siebie uwagi. Tymczasem od zeszłego miesiąca, po walce z eks-komandosem, którego posłałam z ringu prosto do szpitala, bywalczynie klubu Jacky’ego (bo przychodziło tam więcej kobiet niż mężczyzn) zaczęły mnie traktować jak idolkę.

– Chyba wytrzymam jeszcze rundkę albo dwie – odparłam beztrąsko.

– Udam, że tego nie słyszałem – powiedział, ściągając ochraniacze. Dłonie miał czerwone, a palce – obrzękłe jak serdelki.

– Przepraszam – mruknęłam. – Mam dziś kiepski wieczór.

### 31

– Ja bym raczej wolał schodzić ci z drogi, kiedy jesteś nie w sosie.

– A mój były mąż jakoś się tym nie przejmuję.

– Moim zdaniem ma nierówno pod sufitem. Walisz jak młotem. – Potrząsnął głową, nie mogąc się nadziwić. Często mu się to przy mnie zdarzało, bo wciąż jeszcze mnie nie rozgryzł. – Jeszcze nikt, kogo trenowałem, facet czy kobieta, nie miał tak silnego ciosu.

– No cóż, każdy ma jakiś talent – odparłam. – Ty, na przykład, jesteś rudy.

– To nie talent.

– Ale prawie.

Jacky potrząsnął głową i uniósł zaczerwienione dłonie. Gdybym przyjrzała im się z bliska, pewnie byłoby widać, jak pod skórą wszystko pulsuje.

– Muszę przyłożyć sobie lód – powiedział – ale nie mogę tego zrobić, bo wszystkie babki, co u mnie

trenują, pomyślą, że jestem miękki.

Pochyliłam się, żeby pocałować go w zroszone potem czoło, a on momentalnie oblał się rumieńcem aż po sam kark.

– Przecież jesteś miękki – zamruczałam.

– A ty jesteś wybrykiem natury.

Rzecz jasna, Jacky nawet nie podejrzewał, jak bliski jest prawdy. Ludzi, którzy ją znali, mogłabym policzyć na palcach jednej ręki.

### 32

– Mistrzostwo świata miałabyś w kieszeni, gdybyś tylko chciała – zapewnił, podchodząc ze mną do dużego worka treningowego.

– Nie w moim wieku – odparłam. Jacky od dawna mnie namawiał, żebym zaczęła walczyć zawodowo.

– Ale ile ty masz tych lat? – prychnął. – Dwadzieścia osiem?

– Trzydzieści cztery. Ale dziękuję.

I znów był bliższy prawdy, niż mu się wydawało.

Rzeczywiście, od moich urodzin upłynęły trzydzieści cztery kalendarzowe lata, ale moje ciało przestało się starzeć w wieku lat dwudziestu ośmiu.

Właśnie wtedy napadł mnie wampir.

Zgoda, dla dziewczyny nie ma chyba lepszego wieku, aby zyskać nieśmiertelność.

A co będzie za dziesięć lat, gdy skończysz czterdzieści trzy i dalej będziesz wyglądać na dwadzieścia osiem? Albo kiedy twoja córka skończy dwadzieścia osiem, a wszyscy będą myśleć, że jesteś jej rówieśniczką? Nie miałam pojęcia, co wtedy będzie, ale powiedziałam sobie, że będę się tym martwić w swoim czasie.

Jacky stanął za workiem treningowym.

– A co właściwie cię gryzie, Sam? – zapytał.

– Wszystko – rzuciłam i zaczęłam okładać worek, okrążając go niczym prawdziwego przeciwnika

### 33

i balansując ciałem tak, jak uczył mnie Jacky. Zwód, unik. Prosty. I sierpowy. Mocno wyciągniętą ręką. Takie ciosy łamią szczęki, wybijają zęby, puszczają krew z nosa. Jacky brał na siebie ich impet, stabilizując worek. I szczyrzył się przy tym z wysiłku. To naprawdę był pięściarski mistrz. Przerwałam na chwilę, żeby odsapnąć. Pot zalewał mi oczy.



– Niech zgadnę – powiedział Jacky, lekko dysząc.  
Wyglądał tak, jakby ktoś rzeczywiście pomacał go po żebrach. – Chodzi o twój męża kanalię?

– Zgadłeś.

– A czy on wie, że gdybyś go raz trafiła, to zatrzymałby się dopiero w Dublinie?

– Wie – przytaknęłam. – A dlaczego w Dublinie?

– Z miłości do ojczyzny – wyjaśnił. – Może więc idź do niego i po prostu spuść mu łomot? Czemu tego nie zrobisz?

– Bo łomot nie jest dobry na wszystko, Jacky.

– Dla mnie jest.

– Niech to będzie drugi punkt planu.

– Dla mnie byłby pierwszy. Porządne lanie zawsze oczyszcza atmosferę.

– Będę to miała na uwadze – roześmiałam się.

– Koniec przerwy. Pięści do góry.

Jacky zaparł się o worek, a ja przypuściłam kolejny wściekły atak, wyobrażając sobie, że to mój były mąż.

Efekt był niesamowity.

– Sam, pocisz się jak świnia! – wrzasnął. – Podoba mi się!

– Lubisz świński pot?

Zamiast odpowiedzieć, potrząsnął tylko głową i krzyknął, żebym nie opuszczała rękawic. Uśmiechnęłam się szeroko, posyłając w worek serię ciosów, które zakołysały nim tak, że mój trener niemalże nakrył się nogami. Otoczyła nas grupka kobiet; przyszły zobaczyć, jak boksuje wybryk natury.

Okładałam worek treningowy, zalewając się potem i pamiętając, żeby nie opuszczać rękawic. I nagle zaświtała mi w głowie myśl: nie mogę walczyć z Dannym.

Nie tędy droga. Całe szczęście, że na rewanż są różne sposoby.

**35**

**5**

Wzięłam długi prysznic i zadzwoniłam do kilku znajomych z urzędu federalnego, a potem zjawiłam się w restauracji El Torito, rzut beretem od mojego hotelu.

Miałam na sobie dzinsy i golf – nie dlatego, że na dworze było zimno; po prostu w golfach wyglądam zabójczo. Siedzący przy moim stoliku facet o sztywnym wyglądzie myślał, zdaje się, podobnie. Był to agent specjalny Greg Lomax, oficer dochodzeniowy

z FBI, którego musiałam wciąż pilnować, aby trzymał się tematu, bo uderzał do mnie na całej linii. Może jednak nie trzeba było się tak odstawiać.

I po co ja się tak wypindrzyłam?

El Torito to otwarty i hałaśliwy lokal, co jest bardzo na rękę tym, którzy chcą dyskretnie porozmawiać – i chyba dlatego Greg umówił się ze mną właśnie tutaj.

Dla mnie ten hałas był nieco przytłaczający, a nie należy zapominać, że poza wszystkim jestem też wrażliwą kobietą.

A może po prostu mój nadnaturalnie czuły zmysł słuchu rejestrował dosłownie każde brzęknięcie

### **36**

naczyń, zgrzyt widelca o talerz oraz inne odgłosy, które lepiej pominąć milczeniem. Poza tym, oczywiście, moje uszy zalewał nieustający gwar rozmów.

Mogłam, gdybym tylko zechciała, wyłowić z niego każdą wymianę zdań, i to prowadzoną w dowolnej sali restauracji. Przydatna umiejętność dla prywatnego detektywa, zaręczam. Nie, nie słyszałam przez ściany, nic z tych rzeczy, po prostu odbierałam znacznie lepiej to, co słyszy każdy człowiek.

– W federalnym biurze do spraw budownictwa słyszałem o pani wiele bardzo pochlebnych opinii – powiedział agent Lomax.

– Poświęciłam tej instytucji trzy najlepsze lata swojego życia – odparłam.

– A potem dostała pani... Co to jest? Jakaś rzadka choroba skóry, coś takiego?

– Coś takiego.

– I teraz pracuje pani na własną rękę.

– Tak. Jestem prywatnym detektywem.

– I jak się układa?

– Fajnie jest być swoim własnym szefem. Daję sobie podwyżkę co tydzień i pozwalam na bardzo długie przerwy na kawę.

Lomax uśmiechnął się szeroko.

– To miło. No dobrze, dostałem polecenie, aby powiedzieć pani wszystko, co można. Proszę śmiało pytać. Jeśli nie będę mógł o czymś rozmawiać albo

### **37**

po prostu czegoś nie będę wiedział, powiem o tym wprost.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie w ustronnym boksie w samym rogu sali. Ja sączyłam powoli lokalnego zinfandela, a Lomax popijał jacka daniel'sa z colą. Białe wino i woda to jedyne napoje, które przyswaja mój organizm. Oprócz nich jest tylko jeszcze jeden... płyn.

Na samą myśl o tym płynie ścisnęło mnie w żołądku.

– A więc waszym zdaniem ta katastrofa to nie był wypadek?

– Od razu przechodzi pani do rzeczy – zauważył agent. – Podoba mi się to.

– Taka już natura detektywa.

Skinął głową, łyknął swojej whisky.

– To nie był wypadek. Tyle wiemy na pewno.

– Skąd?

Uśmiechnął się.

– Po prostu wiemy.

– W porządku. Dlaczego w takim razie samolot się rozbił?

– Wszystko wskazuje, że dokonano sabotażu.

– W jaki sposób?

Widziałam, że się zastanawia, ile mi powiedzieć.

W jego oczach, za zasłoną flirciarskiego spojrzenia, odbijało się wyrachowanie. Kalkulował sobie, ile

### **38**

informacji wystarczy, aby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: nie zdradzić żadnych urzędowych tajemnic i dogodzić mi na tyle, aby bez przeszkód zaciągnąć mnie dzisiaj do łóżka. Z całą pewnością był to skomplikowany wzór.

Mężczyźni na ogół nawet nie wiedzą, że są zdolni do tak złożonych kalkulacji.

– Ktoś podłożył niewielkie ładunki wybuchowe pod stery samolotu. Pilot usłyszał wybuch i natychmiast to zgłosił, a potem zameldował, że całkowicie stracił panowanie nad maszyną. Dziesięć minut później samolot rozbił się w górach San Bernardino.

– I nikt nie przeżył?

– Nie. Wszyscy zginęli na miejscu.

– Czy można podejrzewać, że chodziło o usunięcie kluczowych świadków, o uniemożliwienie im złożenia zeznań przed sądem?

– Oczywiście. Nie dopatrzyliśmy się w tym zajściu żadnego innego motywu. – Agent dokończył

swojego drinka. – Jest tylko jeden szkopuł: w chwili katastrofy podejrzany numer jeden siedział w areszcie.

Przy naszym stoliku zjawił się kelner i postawił przed moim rozmówcą pełną szklanę. Możliwe, że obsługa w El Torito składa się z samych jasnowidzów. Lomax wziął drinka w dłoń i upił mały łyczek.

### 39

– Żeby myśleć o sabotażu samolotu wojskowego, trzeba mieć długie ręce – zauważyłam.

– Tylko się tak wydaje – odparł. – To był DC-12.

Rządowy kontrakt z producentem tych samolotów przewiduje, że serwis wykonują mechanicy producenta.

– A więc mechanik był cywilem.

– Zgadza się.

– Dotarliście do niego?

– Tak – mruknął agent. – Leżał martwy w swoim mieszkaniu w Los Angeles.

– Jak umarł?

– Strzał z pistoletu w usta.

– Samobójstwo?

– Na razie tego nie ustaliliśmy.

Próbowałam wyciągnąć od niego jeszcze kilka informacji, ale Lomax najwidoczniej powiedział już wszystko, co był skłonny mi zdradzić.

– Dokończy pani to wino? – Wskazał mój kieliszek, opróżniony tylko do połowy.

– Raczej nie.

– A może zajrzymy do mnie i pogawędzimy o zaletach pracy na własną rękę?

– „Gawędzić” to u pana znaczy „rznąć się do nieprzytomności”, mam rację?

Lomax uśmiechnął się głupio, czerwieniejąc na twarzy. Wyciągnęłam dłoń i poklepałam go po gorącym policzku.

– Tak właśnie trzeba będzie dziś popracować: na własną rękę – powiedziałam, kładąc na stoliku swoją wizytówkę. – Proszę o telefon, jeśli usłyszysz pan coś nowego.

– Ale ja mieszkam tuż za rogiem...

– Przykro mi – przerwałam. – Przeliczył się pan.

Uśmiechnęłam się do niego słodko i wyszłam.

### 41

Poszliśmy na plażę, gdzie do siedzenia wybraliśmy sobie drewnianą wieżyczkę ratownika. Wisiała na niej tabliczka z napisem „Wstęp na wieżyczkę wzbroniony”.

– Łamiemy przepisy – zauważyłam.

Kingsley Fulcrum uniósł olbrzymią głowę, przyglądając się wiszącej nad nami tabliczce. Blask księżyca przemknął po jego kościach policzkowych i zdecydowanie zarysowanym nosie, znikając gdzieś w skłębionych kędziorach sięgających szerokich i muskularnych ramion.

– Wiele ryzykujemy, pojawiając się w takim miejscu

– przyznał. – Jeśli nas złapią, mogą odkryć nasz wielki sekret.

– Zwłaszcza – dodałam – jeśli po zatrzymaniu na policyjnej fotografii wyjdzie na jaw, że jestem niewidzialna.

Kingsley potrząsnął głową.

– Wampiry są dziwne.

– Powiedział facet, który co miesiąc wyje do księżyca w pełni.

Zachichotał cicho. Lekki, chłodny powiew musnął moje bosc stopy. Ocean leżał przed nami niczym

## 42

rozległa równina, odwieczna, zasnuta mrokiem. Drobne fale lizały brzeg białymi językami piany. Daleko na zakrzywionej linii horyzontu połyskiwała mrowiem światła wyspa Catalina, a ciemność rozciągniętą pomiędzy nią a wybrzeżem przebijały reflektory kilkunastu platform wiertniczych. Sama plaża była opustoszała i cicha, chociaż tu i ówdzie widziałam jakąś parkę obściskującą się na kocu; myśleli pewnie, że kryje ich ciemność, i nie przyszłoby im do głowy, że mogą być obserwowani przez wampira, dla którego brak światła to nie problem. Około pięćdziesięciu metrów od wieżyczki jedna para kotłowała się na piasku, wyczyniając zapewne jakieś nieprzyzwoite rzeczy.

Kingsley odwrócił się w moją stronę. Zawsze podobał mi się jego profil: grzbiet nosa przechodzący gładko w krzywiznę czoła. Prawdziwie rzymskie rysy. I niezwykle seksowne.

– Zostałaś prywatnym detektywem po przemianie w wampira? – zapytał.

– Tak.

– To by znaczyło, że zdjęcie do licencji zrobiłaś już jako wampir.

- Zgadza się.
- Jak ci się to udało?
- Miałam tego dnia gruby makijaż – odparłam z uśmiechem, dumna z siebie jak nie wiem co. Długo się wtedy zastanawiałam, co zrobić.

### 43

- Więc na zdjęciu widać tylko makijaż?
- Otóż to. I specjalnie mrugnęłam, kiedy fotograf je robił.
- Żeby nie było widać, że pod powiekami nic nie ma.
- Właśnie.
- Mogłaś założyć kolorowe soczewki kontaktowe
- zauważył Kingsley.
- Ale i tak nie byłoby widać białek oczu. Skinął głową.
- Złożyłaś w ofierze swoją próżność.
- Wyszłam na tym zdjęciu jak ostatnia kretynka, ale przynajmniej przypominam człowieka. Gdy przyjrzeć się uważnie, na szyi jest jedna dziura, bo tam przegapiłam kawałek skóry, ale mało kto patrzy w tamto miejsce.
- Pewnie – przytaknął Kingsley. – Wszyscy patrzą na kretynkę, która zamknęła oczy do zdjęcia. Walnęłam go pięścią w ramię, aż się zakołysał.
- Au! – Pomasował mięsień i uśmiechnął się do mnie szeroko, a jego duże zęby błysnęły w świetle odbitym od połówki księżycowej tarczy. Kingsley Fulcrum był wziętym adwokatem z hrabstwa Orange. Przed kilkoma miesiącami zatrudnił mnie, abym znalazła człowieka, który próbował go zamordować. Trafił przy tym na trudny moment w moim życiu: jakby było mało, że przyłapałam męża na zdradzie, to

### 44

- jeszcze ten sam mąż, łądak czystej wody, miał czelność wyrzucić mnie z domu.
- Oględnie mówiąc, był to dla mnie naprawdę niełatwy czas. Pozostawił po sobie rany, wciąż jeszcze świeże i bolesne. Dużo czasu upłynie, zanim się zagoją. Nie był to więc najlepszy moment na nowe uczucie czy też romans z barczystym, bykowskim adwokatem, który co miesiąc obficie linieje.
- Jakaś parka tam się bzyka – rzucił Kingsley, oglądając się przez ramię. – Jedno z nich ma chyba na

imię „Och, kochanie”.

Miał lepszy słuch ode mnie, a to już naprawdę coś.

– Nie podsłuchuj. – Trąciłam go łokciem, uśmiechając się szeroko.

Ale on przechylił tylko głowę na bok i ciągnął dalej:

– A nie, przesłyszałam się. Ma na imię „O, Boże”.

Trąciłam go jeszcze raz. Potem siedzieliśmy przez jakiś czas w milczeniu, blisko, ocierając się o siebie.

Jego udo było prawie dwa razy szersze od mojego.

Ubrani byliśmy podobnie, w dżinsy i swetry.

Czułam, że Kingsley pragnie mnie dotknąć, wyciągnąć rękę i położyć swoją szeroką jak łopata dłoń

na moim kolanie. Z całej siły starał się opanować.

Leżeć, mały.

#### 45

Wciąż błędziłam wzrokiem po czarnym oceanie, który dla mnie bynajmniej nie był aż tak bardzo czarny. Powietrze mieniło się świetlnymi drobinkami, zlanymi na tle nocnego nieba w smużące pobłyski. Często zastanawiałam się, czym właściwie są te jasne smugi. Nie mogąc mieć pewności, wypracowałam sobie pewną roboczą hipotezę, mianowicie, że jestem w stanie zobaczyć energię pod postacią fizyczną. Być może jest mi dane zajrzeć za kulisy rzeczywistości, poznać mechanizmy funkcjonowania naszego świata. Mogłam się jednak mylić.

Kingsley wciąż patrzył na mnie, z trudem powstrzymywał się, aby nie zrobić tego, na co miał największą ochotę. To znaczy: rzucić się na mnie i wziąć tutaj i teraz, na szczycie tej wieżyczki ratowniczej.

Trzymał jednak swoje zwierzęce instynkty w ryzach.

Inteligentny facet. Koniec końców nie zrobiłam nic, co mogłoby go zachęcić do rzucania się na mnie.

– Później, Kingsley – powiedziałam spokojnie, kładąc lekko dłoń na jego kolanie. – Jeszcze nie jestem gotowa.

Skinał potakująco swoją olbrzymią, kudłatą głową, ale nie odezwał się ani słowem. Poczułam wyraźnie, jak buzująca w nim energia gaśnie, rozprasza się w jednej chwili. Co tam poczułam: ja widziałam na własne oczy, jak ta energia bije od niego i porwana podmuchem księżycowego wiatru rozplywa się

## 46

w tłumie srebrzystych duchów surfujących po nocnym niebie Kalifornii.

Kingsley odetchnął głęboko. Miałam wrażenie, że nieco oklapł, jakby uszło z niego powietrze. Żał mi go było, tak się nakręcił... Delikatnie położył dłoń na mojej dłoni. Jeśli przeszkadzała mu lodowata skóra, to nie pokazał tego po sobie.

Siedzieliśmy, trzymając się za ręce. Chłonełam niesamowite ciepło bijące z jego wielkiej łapy i opowiadałam mu o sprawie, której się podjęłam.

– Jerry Blum to niebezpieczny człowiek – powiedział, gdy skończyłam.

– Ze mnie też jest niebezpieczna dziewczyna.

W oddali zamajaczyła sylwetka samotnego biegacza, który wyłonił się spod wielkiego mola w Huntington Beach. Nawet z takiej odległości widziałam wyraźnie, że jest to człowiek olbrzymiej postury, a znajdował się przecież dobre sto metrów od nas.

Kingsley nagle oderwał wzrok od mojego uda i przekrzywił głowę, nasłuchując. A potem odwrócił się i zauważył biegnącego mężczyznę, który, przynajmniej na moje ucho, poruszał się całkiem bezgłośnie.

Zaintrygowało mnie to.

– Słyszysz go? – zapytałam.

– Tak i nie – odparł Kingsley, wciąż oglądając się przez ramię. – Usłyszałem jego psa.

## 47

Spojrzałam jeszcze raz. Racja: u stóp zbliżającego się mężczyzny podrygiwało futrzaste stworzenie wielkości szczura. Szczura na sterydach. W porównaniu z tym dryblasem było drobnusieńkie. Nie wiedzieć dlaczego zrobiło mi się ciepło na sercu, gdy zobaczyłam, jak wielki facet biega z taką psiną.

– A co właściwie zlecił ci twój nowy klient? – zapytał Kingsley. – Masz unieszkodliwić jednego z najgroźniejszych przestępców Zachodniego Wybrzeża?

– Za unieszkodliwienie będzie musiał zapłacić ekstra.

– Jeśli się tego podejmiesz, narazisz siebie i swoją rodzinę, Sam. Pamiętaj, że Blum nie gra fair.

– Nie narażę swojej rodziny – powiedziałam. – A poza tym ja też nie gram fair. Wiesz przecież, że gryzę.

– Świetny żart – prychnął z przekąsem. – Sam,



nie podoba mi się to. Typowe zlecenie dla prywatnego detektywa wygląda inaczej. Nawet FBI nie znalazło jeszcze żadnego haka na tego człowieka, a ty przecież działasz w pojedynkę.

– Ale za to jestem ostra jak diabli.

– Zgadzam się, tylko powiedz mi: dlaczego ja się martwię o twoje bezpieczeństwo, a ty nie?

– Bo mnie trochę lubisz. – Uroczo zatrzepotałam powiekami.

– Lubiłbym cię bardziej, gdybyś zrezygnowała z tego śledztwa.

#### **48**

Nagle na plaży pod nami pojawiło się jakieś małe stworzenie, kudłate i brzuchate. To był ten sam piesek, którego widzieliśmy przedtem, tyle że teraz ciągnął za sobą smycz: miniaturowy szpic, słodki ponad wszelkie pojęcie. A może nawet jeszcze bardziej. Merdał ogonkiem z zawrotną prędkością i kręcił się wkoło jak szalony, pozostawiając na piasku ślad niczym samochód na torze wyścigowym. Nie odrywał przy tym ślepek od Kingsleya.

– Patrz, lubi cię – powiedziałam.

– No proszę. Kto by się spodziewał?

Kingsley wydał z siebie cichy gardłowy dźwięk i piesek momentalnie usiadł przed nim nieruchomo: tylko łypał, dyszał i merdał.

A z ciemności wychyłała postać w czarnej, prze poczonej koszulce napakowanej mięśniami, których starczyłoby dla dwóch albo i trzech facetów – ewentualnie jednego Kingsleya Fulcruma. Był to ten sam wysoki mężczyzna, którego zauważyliśmy kilka minut wcześniej. Zbliżył się do nas. Utykał lekko, ale widać było, że mu to nie przeszkadza.

– Bierz, Ginger – powiedział, uśmiechnięty od ucha do ucha. Nie znać było po nim żadnego skrepowania.

Jego pies zerwał się z piasku, zakręcił dwa kółka i znów usiadł przed Kingsleyem. Mężczyzna delikatnie poklepał ulubieńca po łepku. – Dobra sunia. – Spojrzał na nas. – Czy przestraszyli się państwo chociaż trochę?

#### **49**

– Ja byłem przerażony – zadeklarował Kingsley.

– Ja chyba popuściłam w spodnie – dodałam.

Mężczyzna wyprostował się, a wilgotna koszulka opięła jego tułów, ukazując wyćwiczone mięśnie

brzucha, czyli tak zwany kaloryfer. Niezłe ciacho, pomyślałam.

– Ginger zazwyczaj ucieka od obcych – powiedział nieznajomy. – Coś mi mówi, że boi się własnego cienia. No, ale cień ma przy kości. Sam się go trochę boję.

Kingsley zsunął się z wieżyczki, lądując bezgłośnie na piasku; zrobił to zdecydowanie zbyt zgrabnie i zbyt cicho jak na faceta tej postury. Ginger ani drgnęła, chociaż jej merdający ogonek przyspieszył, był już chyba blisko prędkości światła. Adwokat pochylił się i podrapał suczkę pomiędzy sterzącymi uszami. Ginger, jeśli można tak powiedzieć, miała minę zadurzonej nastolatki na koncercie rockowym. Ja miałam taką samą, stojąc pod sceną, na której grali Rolling Stonesi.

– Świat się kończy – powiedział nieznajomy ze szczerze zdziwioną miną. – Ja musiałem czekać trzy miesiące, zanim pozwoliła mi dotknąć uszu.

– Pewnie ma złe wspomnienia z wieku szczenięcego – odparł Kingsley, dalej głaszcząc Ginger.

– Gdybym miał się domyślać, to powiedziałbym, że zanim znalazła nowy dom, poprzedni właściciel

## **50**

znęcał się nad nią. Mógł być mniej więcej pana wzrostu, więc teraz ona nie lubi mężczyzn, pan jednak jest wyjątkiem, chociaż nie może za panem nadażyć na tych krótkich nóżkach i dostaje od pana za mało przysmaków. – Poklepał suczkę jeszcze raz i wstał. – Ale to tylko moje domysły.

– Gratuluję domyślności. Wszystko się zgadza.

Moja partnerka uratowała Ginger z łap pewnego sadysty.

Jego, oczywiście, nie udało się już uratować.

Powiedzmy tak: kiedy z nim skończyłem, odnalazł w sobie pokłady głębokiego szacunku dla wszystkich żywych stworzeń.

Spojrzałam z uśmiechem na Kingsleya, a on odpowiedział tym samym. Na pierwszy rzut oka było widać, że człowiek, który stał przed nami, potrafi zrobić bliźniemu poważną krzywdę.

– A gdybym dawał Ginger więcej przysmaków – ciągnął dalej nieznajomy – to musiałbym ją chyba toczyć.

Parsknęłam, a Kingsley zaśmiał się serdecznie.

– Ja pana skądś znam – powiedział, wyciągając dłoń.

– Nie pierwszy raz to słyszę – odparł wysoki mężczyzna, podnosząc Ginger z piasku. Suczka natychmiast schowała się za jego pękatym bicipsem, od którego nie mogłam oderwać oczu.  
Kingsley zmrużył oczy. Zamyślił się na chwilę.

## 51

– Grał pan w futbolowej reprezentacji UCLA.  
– Jedynej uczelni na świecie – przytaknął nieznajomy. Adwokat strzelił palcami.  
– Szykował się pan do kariery zawodowej, ale złamał pan nogę.  
– Przykre są takie wypadki, prawda? – rzucił mężczyzna beztroskim tonem. – A pan to oczywiście słynny Kingsley Fulcrum, gwiazda palestry, jak również internetowa sensacja.  
Kingsley roześmiał się głośno, a ja mu zawtórowałam. To była prawda: przed kilkoma miesiącami ktoś usiłował go zastrzelić, i to pod sądem miejskim. Całe zajście, dziwaczne i autentycznie zabawne, zarejestrowały kamery przemysłowe, dzięki czemu zobaczył je cały kraj, a może nawet świat. „Kingsley Fulcrum, człowiek, który nie umiał umrzeć”. Cały świat widział, jak zamachowiec pięć razy strzela do niego z bliska, a kule trafiają go w głowę i szyję.  
Panowie pogawędzili sobie przez chwilę. Przyglądając im się, zauważyłam, że są dokładnie tego samego wzrostu. Nieznajomy był muskularny i silny z wyglądu, ale Kingsley miał w sobie dziką brutalność, z którą nie mógłby się mierzyć żaden człowiek. Nawet były futbolista.  
Potem rozmowa zeszła z bezsensownych tematów okołofutbolowych na aktualne. Dowiedziałam się, że wysoki nieznajomy pracuje obecnie jako prywatny detektyw, co od razu mnie zainteresowało. Gdy Kingsley powiedział, że ja też się tym zajmuję, mężczyzna skinął głową i wyciągnął z kieszeni dresów mosiężne etui na wizytówki. Otworzył je i podał mi jedną.  
– Gdyby potrzebowała pani pomocy – umysłowej albo fizycznej – proszę dzwonić. Umiem być przydatny na oba sposoby.  
Spojrzałam na wizytówkę. Jim Knighthorse. Nazwisko wydawało mi się znajome. Chyba już je gdzieś słyszałam. Może w wiadomościach? Na wizytówce było też zdjęcie pana Knighthorse’a, z uśmiechem

tak szerokim, że ledwie mieścił się w kadrze.  
Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ten człowiek pała do siebie szczerą miłością.

– Niezłe zdjęcie. – Mrugnął do nas. – Znam się na tym.

I tak moje wrażenie się potwierdziło.

**53**

7

Było jeszcze rano, zdecydowanie zbyt wcześnie jak dla mnie, ale nie dbałam o to.

Słońce stało już wysoko na niebie i prażyło niemiłosiernie, a ja siedziałam w swojej furgonetce na parkingu pod szkołą, do której chodziły moje dzieci, niedaleko centrum Fullerton. Stałam pod wysoką jakarandą, która wyglądała żałośnie, bo nie miała prawie wcale liści, ale dawała jednak trochę cienia.

Z braku laku...

Skulona za kierownicą, kryłam się przed światłem dnia za zasłonami przeciwsłonecznymi opuszczonymi we wszystkich oknach. Twarz miałam wysmarowaną kremem z najmocniejszym filtrem, dłonie ukryte w rękawiczkach z cienkiej skóry, a na głowie kolejny kapelusz z szerokim rondem, który czasami potrafił przeszkadzać w prowadzeniu samochodu. W ciągu ostatnich sześciu lat, wiedzona czystym instynktem przetrwania, kupiłam wiele takich kapeluszy.

Co by się stało, gdybym wystawiła się na dzieńne światło?

Nie miałam pojęcia i bynajmniej nie miałam ochoty tego sprawdzać. Wiedziałam tylko tyle, że

**54**

promienie słoneczne sprawiają mi fizyczny ból, nawet przy właściwym zabezpieczeniu. Podejrzewałam, że wystawiona na ich działanie musiałabym zmarnieć i umrzeć. Najprawdopodobniej w męczarniach.

To by było tyle w temacie nieśmiertelności.

Jak widać, była to nieśmiertelność warunkowa.

Zmarnieć i umrzeć... Zamyśliłam się nad tymi słowami, skurczona na fotelu kierowcy.

Miałam kiedyś normalne życie. Dorastałam tutaj, w hrabstwie Orange, byłam cheerleaderką i grałam w softball, skończyłam kryminalistykę na college'u

w Fullerton i znalazłam pracę w urzędzie federalnym.

Marzenia i ambicje? Było ich całe mnóstwo.  
Na przykład – małżeństwo i rodzina. To i inne marzenia  
udało mi się zrealizować.

Życie było piękne. Miłe. I całkiem proste.

Gdyby ktoś mi powiedział, że pewnego dnia na  
mojej liście codziennych obowiązków znajdą się następujące  
pozycje: 1) Kupić zapas kremu z najmocniejszym  
filtrem, 2) Sprawdzić, czy rzeźnia w Norco  
zgodzi się na bezpośrednie regulowanie należności...  
To pewnie odesłałabym tego kogoś do książek Anne  
Rice.

Siedziałam za kierownicą, zwinięta w kłębek, jak  
najdalej od okna, pogrzebana pod kapeluszem i grubą  
warstwą kremu, uciekając przed każdym promyczkiem,  
jaki mógł wpaść przez szybę. Potrząsnęłam  
głową, raz, drugi i kolejny, aż skończyło się na tym,  
że ukryłam twarz w dłoniach i rozpłakałam się cicho.  
A łzy rozmazały mi krem na policzkach.

Cholera jasna.

To prawda, nie wiedziałam, co we mnie siedzi ani  
z jakiej krwi się wywodzę, ale co do jednego miałam  
absolutną pewność: kiedy zechcę zobaczyć się z moimi  
dziećmi, to nikt i nic mnie nie powstrzyma. Ani  
Danny, ani słońce.

Otworzyłam drzwi i wysiadłam z furgonetki.

**56**

**8**

Sapnęłam spazmatycznie, zataczając się na miękkich  
nogach.

Wyciągnęłam dłoń, aby przytrzymać się gorącego  
zderzaka. Rozpalona blacha momentalnie oparzyła  
mnie przez cienką rękawiczkę. Może wampiry  
z powieści Stephenie Meyer wybrały właściwe rozwiązanie?

Może powinnam zamieszkać na północy,  
w stanie Waszyngton, gdzie jest zimno i pada, a zza  
szarych chmur nigdy nie widać nieba?

Może kiedyś. Ale jeszcze nie teraz. Teraz musiałam  
zająć się rzeczywistością, nie fikcją literacką.

Wzięłam się w garść i ruszyłam przez spokojny  
parking, na którym stały głównie samochody nauczycieli  
i zarządu szkoły. Z opuszczoną głową, zgarbiona  
i utykająca, musiałam wyglądać jak pijana.

Podmuch wiatru lekko zburzył mi włosy, przylepiając  
kilka kosmyków do twarzy grubo wysmarowanej

kremem. Nie próbowałam ich odlepić. Myślałam tylko o tym, że muszę uciekać do cienia. Jak najszybciej.

Przyspieszyłam kroku; kolejny podmuch wiatru przyniósł ze sobą znajome zapachy ze szkolnej

**57**

stołówki. Znajome, bo dokładnie takie same jak w czasach, kiedy ja chodziłam do podstawówki.

Po przejściu przez spieczony słońcem parking wskoczyłam na chodnik i chwilę później skryłam się pod okap dachu. Stałam, dysząc ciężko.

Co za koszmar...

Trzymając się cienia i sunąc dłonią po pokrytej stiukiem ścianie, aby nie stracić równowagi, dotarłam w miarę szybko pod wejście do sekretariatu.

Skup się, Sam.

Musiałam sprawić wrażenie opanowanej i jak najzupelniej normalnej. Szkolny personel nie lubi, kiedy rodzice świrują.

Skóra paliła mnie żywym ogniem. A przecież przeszłam tylko przez szkolny parking. Chciało mi się płakać.

Nie ma płakania.

Wciągnęłam głęboko powietrze, zatrzymując je w płucach na kilka minut. Tak, minut. Potem wypuściłam je z powrotem. Skórę miałam podrażnioną, jak otartą do krwi. Drżącą ręką odlepiłam włosy od twarzy, poprawiłam kapelusz i otworzyłam drzwi do sekretariatu, przywołując na twarz dyżurny uśmiech.

Zwyczajna mamusia, która przyszła zobaczyć swoje dzieciaki.

F

**58**

Kilka minut później byłam już w gabinecie dyrektora; okazało się, że narobiłam sobie problemów.

Dyrektor szkoły miał na nazwisko West i był miłym człowiekiem lat około pięćdziesięciu pięciu. Siedział za biurkiem, dłonie złożone razem. Ubrany był w białą koszulę z długimi rękawami, a w mankietach miał nefrytowe spinki ozdobione indiańskimi motywami.

O ile wiedziałam, nie miał w żyłach indiańskiej krwi.

Dyrektor West zawsze był dla mnie uprzejmy. Na samym początku, tuż po mojej przemianie, od razu

poszedł mi na rękę. Otrzymałam specjalny przywilej odbierania dzieci sprzed samego wejścia do szkoły, co w praktyce oznaczało, że mogę parkować tam, gdzie szkolny autobus, a dzięki temu unikać długich kolejek i siedzenia na słońcu dłużej, niż to było konieczne.

Porządny człowiek. Byłam mu bardzo wdzięczna.

Ale teraz najwidoczniej uprzejmość się skończyła.

– Nie możesz zobaczyć się z dziećmi, Samantho.

Przykro mi.

– Nie rozumiem?

– Nie dalej niż pół godziny temu zadzwonił do mnie Danny. Twój mąż, czy też raczej były mąż, powiedział, że zawarłście niepisaną ugodę, na mocy której nie będziesz już więcej odbierać dzieci ze szkoły.

– Zgadza się, ale...

## 59

– Mówił też, że zgodziłaś się na nadzór podczas wszystkich spotkań z dziećmi. Czy to prawda?

Wiedziałam, że dyrektor West to dobry człowiek.

Serce mu się krajało, że musi mówić mi takie rzeczy, było to widać. Skinęłam głową, odwracając wzrok, a on westchnął głęboko i odsunął się razem z fotelem, zakładając nogę na nogę.

– Pod nieobecność Danny’ego nie mogę pozwolić ci na spotkanie z dziećmi, Samantho. Przykro mi.

– Ale przecież ja jestem ich matką.

Przyglądał mi się przez długą chwilę, a potem dodał:

– Danny mówił też, że dzieci nie są bezpieczne w twoim towarzystwie i że pod żadnym pozorem nie wolno zostawiać cię z nimi sam na sam.

Potrząsnęłam głową. Po policzkach lały mi się łzy.

Nie mogłam dobrać głosu ze ściśniętego gardła.

Dyrektor mówił dalej:

– Sam, jesteś ciężko chora. Widzę to. Każdy by zauważył. W jaki sposób i dlaczego stanowisz zagrożenie dla swoich dzieci – tego nie wiem. Nie wiem też, co się dzieje pomiędzy tobą a Dannym, ale posłuchaj mojej rady i następnym razem, zanim zgodzisz się na podobne warunki, najpierw zasięgnij porady prawnika. Dla mnie nigdy nie byłaś zagrożeniem dla swoich dzieci. Jesteś chora, to się zgadza, ale poza tym zawsze uważałem cię za świetną matkę, chociaż nie mnie to oceniać...

W tym momencie rozkleiłam się zupełnie i wybuchnęłam płaczem. Już od bardzo dawna nie wylałam aż tylu łez. Dookoła mnie zebrał się tłumek sekretarek, potem dołączyła recepcjonistka, a nawet szkolna pielęgniarka. Dyrektor West przyglądał mi się z drugiej strony biurka. Przez łzy widziałam, że też ma mokre oczy.

Ale w końcu je otarł i wstał z fotela. Objął mnie delikatnie za ramiona, powtórzył, że bardzo mu przykro, a potem wyprowadził z gabinetu.

**61**

**9**

Nienawidzę facetów, napisałam.

Nawet mnie?

Ty chyba też jesteś facetem, Kieł?

Tak, ale czarującym jak jasna cholera.

Roześmiałam się głośno, chociaż absolutnie nie było mi do śmiechu. Siedziałam przed komputerem na miękkim hotelowym fotelu. Powinno mi być wygodnie, ale nie; twarde drewniane poręcze uwierały mnie boleśnie. Sam fotel właściwie też nie był zbyt wygodny. Może powinnam złożyć zażalenie?

A może powinnaś się po prostu uspokoić, pomyślałam.

A najlepiej byłoby chyba znaleźć sobie jakieś mieszkanie i wstawić do niego własne fotele.

Niezły pomysł, ale jednak należało go odłożyć na trochę później.

Skąd mam wiedzieć, że jesteś czarujący, i to jak jasna cholera?, napisałam. Nigdy nie pokazałeś żadnego swojego zdjęcia.

Więc musisz uwierzyć mi na słowo.

Na słowo? Facetowi? Nigdy w życiu! :-)

Czarującemu facetowi, nie zapominaj.

Podobno.

**62**

No, dobrze, Luna. Mów, czym się tak martwisz.

Człowiek podpisujący się „Kieł” był moim internetowym powiernikiem. Przed kilkoma laty, gdy szalała moda na czatowanie, poznałam go na czacie miłośników wampirów. Potem przerwaliśmy się na AOL, zachowując jednak stare nicki: on „Kieł950”, a ja „Luna”. Jak dotąd nie zdradziłam mu jeszcze żadnych zbyt osobistych szczegółów swojego życia, choć nieraz mnie wypytywał. Co prawda nie pozostawałam



mu dłużna: oboje byliśmy sobie wściekle ciekawi, miałam jednak powody, aby nie zdradzać swojej tożsamości, on zresztą podobno też. Mój powód był dość oczywisty: na samym początku znajomości wyznałam mu, że jestem wampirem. Uwierzył mi bez zastrzeżeń, co dobrze świadczyło o jego charakterze, nieco gorzej natomiast o zdrowiu psychicznym. Napisałam zatem o wyprawie do szkoły i o tym, jak Danny na każdym kroku rzuca mi kłody pod nogi.

Zawsze możesz go zabić, napisał Kiel.

Czasem sama już nie wiem, kiedy mówisz poważnie.

Po długiej chwili milczenia odpisał:

Żartowałem, oczywiście.

To dobrze, bo zaczęłam się martwić.

Tak czy inaczej, ciągnął, to byłby koniec wszystkich twoich problemów.

### 63

I początek tysiąca kolejnych, odpowiedziałam, dodając szybko: Nie jestem morderczynią.

Takie słowa z ust wampira...

Jestem dobrym wampirem.

Niektórzy twierdzą, że wampir nie może być dobry.

Tak? Czemu nie mogę być dobra?

Bo w twojej naturze leży popęd do zabijania i picia krwi. Najlepiej świeżej krwi ofiary, która przed chwilą jeszcze żyła.

Nikogo nie zabiję. Wolę umrzeć z pragnienia.

Odmawiając sobie świeżej krwi, nie osiągniesz pełni mocy istot twojego rodzaju.

Mam być jeszcze silniejsza? Dziękuję, wystarczy mi już w zupełności.

Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

A skąd ty tyle wiesz o wampirach? Powiedziałeś mi kiedyś, dawno temu, że jesteś człowiekiem.

Bo jestem. Ale kocham wampiry i wszystko, co się z nimi wiąże.

Dlaczego tak je kochasz?

Mam swoje powody.

Powiesz mi kiedyś jakie?

Kiedyś.

Ale nie przez internet.

Otóż to, przytaknął. Nie przez internet.

W takim razie jak i gdzie?

Oto pytanie za milion dolarów.

**64**

Postanowiłam zmienić temat.

Więc co mam zrobić z Dannym?

I znów na długą chwilę zapadła cisza. Często zastanawiałam się, co Kiel wtedy robi. Idzie do łazienki?

Odbiera komórkę? Zastanawia się, co odpisać, odchylony w tył, z rękami założonymi za głowę?

Po około pięciu minutach w okienku komunikatora pojawiła się odpowiedź:

Danny ma w ręku wszystkie atuty.

Przemyślałam to szybko. Zdażyłam już wcześniej dojść do tego wniosku, ale chciałam sprawdzić, co Kiel chowa w zanadru.

Słucham dalej, napisałam.

Może już czas mu je odebrać?

Zgadzam się. Masz może pomysł, jak to zrobić?

Na pewno coś ci przyjdzie do głowy. A powiedz mi, jak u ciebie ostatnio z jasnowidzeniem?

To się nasila, jest mocniejsze niż kilka lat temu. Czemu pytasz?

Niektórzy jasnowidze, kiedy szukają odpowiedzi na jakieś pytanie, używają pisania automatycznego.

Co to jest?

Siadasz sobie z kartką i długopisem. Zaczynasz stawiać pytania. I czasem dzieje się tak, że odpowiedzi przychodzą same, a długopis po prostu... zaczyna pisać.

Roześmiałam się szczerze.

Żartujesz.

Nie, nie żartuję. W ten sposób możesz zdobyć wiedzę.

O czym?

O wszystkim.

Zastanowiłam się nad tym. Coś ścisnęło mnie lekko w okolicy splotu słonecznego.

Więc jak mam to zrobić?, zapytałam.

Poszukaj w sieci.

W porządku, poszukam.

Świetnie. Daj znać, jak ci idzie. Dobrej nocy, Luna.

Dobranoc, Kiel.

**66**

**10**

Poszukałam więc w sieci.

W normalnych okolicznościach wyśmiałabym taki

bdurny pomysł (pisanie automatyczne – mam w to uwierzyć?), ale fakt, że w moim życiu zaszła ostatnimi laty bardzo dziwna odmiana natury egzystencjalnej, dawał do myślenia. Postanowiłam przynajmniej spróbować.

Poza tym takie rozwiązanie dawało sporo przyjemnych możliwości. Kto by nie chciał mieć przewodnika z zaświatów, zwłaszcza w moim położeniu?

Zajrzałam na kilka stron internetowych; ich autorzy twierdzili, że pisanie automatyczne przebiega w całkiem prosty sposób. Trzeba usiąść spokojnie przy stole z kartką i długopisem. „Wyśrodkować się”. Oczyszczyć umysł. Wziąć długopis do ręki i... coś może się zdarzyć.

Ale jeśli ja wcale nie chciałam, żeby coś się zdarzyło? Może wołałam dusić to w sobie, czymkolwiek „to” było?

Z pewnym niepokojem położyłam na stole notatnik i długopis. Wyłączony laptop schowałam do pokrowca.

## 67

Ja, stół, długopis i kartka.

Patrzyłam na długopis, a gdy mi się znudziło, przeciągnęłam mięśnie szyi i wykręciłam sobie palce. Hotelowym korytarzem przeszło dwoje ludzi; ich głosy narastały w miarę zbliżania się do drzwi mojego pokoju, a gdy je minęli, zaczęły cichnąć.

Wzięłam długopis w palce.

Nad stołem wisiała lampa z kloszem i nagle ta lampa mrugnęła jeden raz. Jeszcze nigdy jej się to nie zdarzyło. Zmarszczyłam brwi. Na jednej ze stron, które przejrzałam, wspominali, że światła migoczą w obecności duchów.

Lampa mrugnęła ponownie, a potem jeszcze raz.

I wyłączyła się. A potem włączyła. I znów wyłączyła.

I tak dalej, na przemian.

– O rany... – Opadłam na oparcie krzesła z nerwowym westchnieniem.

Lampa migotała już na całego: jasno, ciemno, jasno, ciemno.

Inne światła nie zachowywały się w ten sposób:

lampka obok drzwi działała bez zarzutu, podobnie jak oświetlenie korytarza, widoczne przez szparę nad progiem. Tylko ta jedna żarówka, tuż nad moją głową. Nagle, bez ostrzeżenia, mrugająca lampa wpadła

w szal. Włączała się i gasła w takim tempie, że byłam bliska ataku padaczki.

– Dość! – krzyknęłam. – Rozumiem. Zrobię to.

## 68

Lampa przestała migotać, kiedy tylko wyciągnęłam dłoń z długopisem w stronę kartki. Żarówka zapłonęła wesoło, jakby nigdy nic.

No to mamy jasność, pomyślałam. Naprawdę zaczynam wariować.

Dotknęłam długopisem liniowanego papieru. Zamknęłam oczy. Wyśrodkowałam się, postępując dokładnie według wskazówek z internetu: wyobraź sobie, że do każdej z twoich kostek jest przywiązana niewidzialna srebrna nić sięgająca w głąb Ziemi. Potem wyobraź sobie, że na drugim końcu tych nici znajdują się olbrzymie skały, wielkie ponad wszelkie pojęcie. A potem wyobraź sobie, że podobna nić łączy twój kręgosłup z kolejną taką podziemną skałą.

W ten oto sposób miałam się „uziemić”.

Stały mi przed oczami te srebrne nici, przeciągnięte na wylot przez osiem hotelowych pięter pod moim stopami, przebijające podłogi i łóżka panicznie wystraszonych gości.

Zachichotałam pod nosem. Przepraszam szanownych państwa. Muszę się wyśrodkować.

Wreszcie uznałam, że bardziej się wyśrodkować nie dam już rady. I wtedy dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, co mam robić dalej. Może nic? W końcu to miało być pisanie automatyczne, prawda?

Spojrzałam na długopis w dłoni. Stał nieruchomo, dotykając pustej kartki. Światło nad moją głową

## 69

przestało migotać. To musiało być jakieś przepięcie w sieci.

A może powinnam przestać myśleć?

Tylko że nie wiedziałam, jak to zrobić. Próbowałam nie myśleć o niczym, ale skutek był taki, że myślałam o wszystkim. To było trudniejsze, niż mogłam się spodziewać.

Jeden z internetowych artykułów podawał, że świetnym sposobem na uporządkowanie splątanych myśli jest koncentracja na własnym oddechu. A jeśli ktoś nie musi oddychać? Ten artykuł nie był widocznie pisany z myślą o wampirach.

Tak czy inaczej zmusiłam się do regularnych wdechów i wydechów, śledząc myślami powietrze przepływające pomiędzy wargami i znikające w gardle.

Skupiłam się na wszystkich czynnościach potrzebnych, aby napełnić, a następnie opróżnić płuca.

Nagle w moich myślach pojawiły się dwa mocne obrazy: najpierw dzieci, a potem scenka, w której dusiłam Danny'ego gołymi rękami.

Potrząsnęłam głową, koncentrując się z powrotem na oddechach.

Wdech, wydech. Przez usta do gardła. Napełnić płuca, opróżnić płuca.

I wtedy zauważyłam coś niezwykle interesującego.

Leciutkie drżenie przedramion.

Otworzyłam oczy.

## 70

Drżenie nasiliło się, teraz to już był dygot na całego.

Nie sprawiał mi jednak żadnych przykrych doznań, przeciwnie, czułam się tak, jakby ktoś delikatnie mnie masował, w niewiadomy sposób stymulując moje mięśnie. To było coś w rodzaju łagodnych elektrowstrząsów.

Obserwowałam swoją rękę, zaintrygowana.

Co ciekawe, każdy skurcz mięśni poruszał także długopisem, a na kartce pojawiały się różne kreski i kulfony. Bezsensowne gryzmoły, nabazgrane jak kura pazurem.

W pewnym momencie ręka się uspokoiła, a ja odniosłam bardzo dziwne wrażenie, że od tej chwili coś w niej siedzi. Coś obcego połączyło się z moją kończyną.

Na kartce przestały pojawiać się gryzmoły.

Wszystko zamarło.

Chwila przerwy...

I znów poczułam mrowienie, a mięśnie ręki ożyły z gwałtownym skurczem. Patrzyłam zafascynowana, jak długopis w moich palcach zaczyna się poruszać i rysować na papierze jakieś dziwaczne koła.

Jedno za drugim, kół przybywało z każdą chwilą.

Duże, małe, te ciasno ściśnięte, tamte zakreślone szeroko, swobodnie. Jedne krzywe, inne idealnie okrągłe.

W krótkim czasie koła wypełniły całą stronę, a gdy na papierze zabrakło miejsca, moja dłoń znów się uspokoiła.

Drugą ręką wyrwałam kartkę z notatnika, aby dostać się do następnej, czystej.

Dłoń natychmiast zadygotała i zamrowiała, a długopis, tak jak poprzednio, ruszył po papierze. Ale to już nie były koła.

Tym razem na kartce pojawiły się słowa. Dwa słowa, ściśle rzecz biorąc.

*Witaj, Samantha.*

**72**

**11**

Wbiłam wzrok w dwa słowa, które pojawiły się na kartce.

Czy to ja je napisałam, czy też może wmówiłam sobie, że ręką i długopisem poruszyła jakaś „inna siła”? Kiedy tylko to pytanie przemknęło mi przez myśl, moje ramię znów zadrżało jak porażone lekkim prądem, a długopis przesunął się po papierze, pozostawiając na nim trzy kolejne słowa:

*Czy to ważne?*

Pismo było zamaszyste, wyraźne i czytelne, litery lekko zaokrąglone i duże, sięgające od jednej błękitnej linii do drugiej.

– Czytasz w moich myślach? – zapytałam na głos.

Ręka drgnęła i na kartkę spadły dwa zdania:

*Myśli są rzeczywiste, Samantha. Bardziej rzeczywiste, niż to się ludziom wydaje.*

Patrzyłam w zdumieniu, jak przed moimi oczami pojawiają się ciągi liter. Miałam poczucie, że gdybym zechciała, mogłabym przestać pisać. Nie było w tym żadnego przymusu. „Coś” pisało za moim pośrednictwem, a ja na to pozwalałam. Gdybym zmieniła zdanie, nie byłoby problemu.

**73**

– Kim jesteś? – zadałam kolejne pytanie. Moje serce, pracujące średnio w tempie pięciu skurczów na minutę, zaczęło bić szybciej. Mniej więcej dwa razy.

Dziesięć uderzeń na minutę.

Po pytaniu nastąpiła krótka chwila milczenia, a potem coś skłoniło moją rękę, aby napisała następujące zdanie:

*Jestem*

*kimś bardzo ci bliskim.*

– Czy powinnam się ciebie bać?

*Postąpisz według własnej woli. Ale pozwól, że ja zapytam: czy czujesz strach?*

– Nie.

*Zaufaj więc swoim uczuciom.*

Nabrałam powietrza i trzymałam je w płucach przez kilka minut, wpatrując się w kartki notatnika.

O wydechu niemalże zapomniałam.

– Dziwne to wszystko – mruknęłam.

*To zależy od twojej woli. Może być dziwne, ale może też być cudowne.*

Moja ręka zapisała już pół strony. Sama przechodziła z linijki do linijki, posłuszna łagodnym prądom stymulującym mięśnie.

Z całą pewnością było to dziwne, niesamowite uczucie, nie z tego świata.

– A więc jesteś kimś mi bliskim – powiedziałam i nagle, ni stąd, ni zowąd, naszła mnie myśl, że to jest jakiś idiotyzm: gadam do własnej ręki i kartki

**74**

papieru. – Tylko że dalej nie wiem, kim jesteś konkretnie.

Znów chwila milczenia; miałam silne wrażenie, że istota, która ze mną rozmawia, zastanawia się, ile może mi zdradzić.

*Powiedzmy na razie, że jestem twoją przyjaciółką. Bardzo bliską przyjaciółką.*

– Przyjaciele na ogół nie rozmawiają ze mną za pomocą kartki i długopisu – zauważyłam. – Piszą emaile albo SMS-y.

*Słowa to słowa, prawda? Możesz to nazwać bezpośrednim przekazem spirytystycznym: BPS-em.*

Zaśmiałam się głośno, wbrew samej sobie. Nie mogło być już żadnych wątpliwości: oszalałam.

Spojrzałam na kartkę pokrytą słowami. Te ostatnie wciąż jeszcze błyszczały niebieskim tuszem w świetle wiszącej nad stołem lampy. To nie był mój charakter pisma. Ja nie piszę tak zamasyście, ale raczej ściśle i pochyło.

Wreszcie przerwałam ciszę:

– Nie rozumiem, co się tutaj dzieje.

*Samantho, czy zawsze musisz wszystko rozumieć? Są rzeczy, które najlepiej przyjąć na wiarę. Być może to dobrze, że ten świat ma trochę tajemnic. Ostatecznie, ty też jesteś tajemnicza, prawda?*

Przytaknęłam milcząco. Niespodziewanie zabrakło mi słów, nie mogłam nawet zebrać myśli.

Ogarnęło mnie też niespotykane wzruszenie. Stało

się coś wielkiego i cudownego zarazem, ale trudno mi było to pojąć.

*Zakończmy więc na razie tę rozmowę, Samantha. Wszystko jest w porządku. Prezentacja dokonana, to dobry początek.*

– Nie wiem nawet, jak masz na imię – wyrwało mi się.

Krótką chwilą ciszy. Mrowienie w mięśniach. Odpowiedź: *Sefora. I zawsze jestem blisko. Czekam.*

**76**

**12**

O siódmej wieczorem, wciąż jeszcze trochę oszołomiona po przejściach z automatycznym pisaniem, zadzwoniłam do dzieci.

Danny odebrał natychmiast.

– Wiem o twojej dzisiejszej akcji – oznajmił bez wstępów.

W tle zabrzmiał kobiecy głos, szepczący cicho „A to suka”. Kobieta, która to powiedziała, nie zdawała sobie pewnie sprawy z tego, że ją słyszę. I w ten sposób trafiła na moją czarną listę. Możliwe zresztą, że już od dawna na niej była, bo jeśli dobrze się domyśliłam, był to nie kto inny, ale szparka sekretarka, która rozbiła naszą rodzinę. W takim razie byłby to już jej drugi wpis. Może nie znam życia, ale wydaje mi się, że nie warto pojawiać się na czarnej liście u wampira chociażby jeden raz, a co dopiero dwa.

Danny nie zadał sobie trudu, aby ją uciszyć, nie raczył nawet zauważyć, że się odezwała. Powiedział tylko:

– To było bardzo głupie, Sam.

– Danny, ja tylko chcę zobaczyć moje dzieci.

– Mogłaś się z nimi widywać co sobotę – odparł, sapiąc ciężko. Mój mąż miał charakter. Niemiły

**77**

charakter. Nigdy mnie nie uderzył, bo nie był głupi: nawet przed przemianą w wampira mogłam spuścić mu łomot. Nie warto podnosić ręki na agentkę federalną, doskonale wyszkoloną, a do tego uzbrojoną. –

Ale teraz z tym koniec – dodał po chwili.

– Co to znaczy: „teraz z tym koniec”? – zapytałam, zaciskając zęby.

– To znaczy, że nie możesz już się widywać z dziećmi. Jak mogę ci zaufać po tej dzisiejszej aferze?

I to mówił facet, który zdradzał mnie przez kilka miesięcy.



- Aferze? Spotkanie z synem i córką to ma być afera?
- Mieliśmy umowę. Złamałaś warunki, więc teraz mam obowiązek chronić moje dzieci.
- Słowo „moje” wycodził ze szczególnym naciskiem.
- Musisz chronić je przede mną?
- Tak, oczywiście – odpowiedział bez chwili wahania.
- Jesteś potworem.

Nagle w słuchawce zabrzmiał głos Anthony’ego. Mój synek pytał, czy może ze mną porozmawiać. Kobieta, która przedtem szeptała, uciszyła go ostrym tonem.

Mały zakwilił żałośnie, a ja ścisnęłam słuchawkę tak mocno, że prawie pękła.

- Nie zabieraj mi tych sobót, Danny.
- To jest tylko i wyłącznie twoja wina.
- Zmusiłam się, aby zachować spokój.
- Kiedy mogę zobaczyć się z dziećmi?
- Nie wiem. Zastanowię się.
- Przyjadę w sobotę.
- Jeśli się tutaj zjawisz, to będzie koniec twoich sekretów. Upublicznię każdy dowód przeciwko tobie i będziesz mogła się pożegnać z tym żalnym życiem, które teraz wiesz. A wtedy już nigdy nie zobaczysz swoich dzieci. Więc nie przeginaj pały, Sam.

– Zawsze mogę cię zabić, Danny.

– No proszę, pokazał się prawdziwy potwór. Jeśli mnie zabijesz, to i tak stracisz dzieci. Poza tym nie boję się ciebie.

Miał jakiś atut w rękawie. Mogłam się tylko domyślać, że musi to być taka czy inna broń. Z całą pewnością – broń na wampiry. Na przykład kusza i bełt o srebrnym grocie. Czymś takim w zeszłym miesiącu próbował mnie załatwić łowca wampirów. Zaczaił się i strzelił do mnie, a skończył na pokładzie statku płynącego na Hawaje. Długo by opowiadać. Spojrzałam na zegarek. Moje wyznaczone dziesięć minut dawno już minęło.

- Proszę, pozwól mi jeszcze porozmawiać z dziećmi.
- Przykro mi. Twój czas na dziś się skończył – powiedział Danny i odłożył słuchawkę.

Po tej wkurzającej rozmowie z Dannym wyszłam z hotelu i wkrótce siedziałam już przy stoliku pod restauracją Rembrandt's w Brea, popijając białe wino. Była tam ze mną kobieta, która piła sok. Tak, sok. Truskawkowy. Nazywała się Monica Collins i wyglądała jak chodzące nieszczęście. Siedzieliśmy pod sznurem białych świateł, za prowizorycznym parkanem odcinającym nas od zatłoczonego chodnika prowadzącego do całodobowego klubu fitness. Piłyśmy nasze napoje, a obok nieprzerwanym strumieniem ciągnęli wysportowani ludzie, wszyscy w obcisłych czarnych spodenkach i koszulkach z krótkim rękawem albo bez rękawów. Spoglądali na nas, parę obzartuchów, z nieopisaną pogardą. Prawie wszyscy nieśli taką czy inną torbę sportową, butelkę z wodą i ręcznik. Połowa miała białe kabelki od słuchawek dyndające w uszach. Byli zadziwiająco podobni w tej swojej różnorodności. Od wina rozbolał mnie żołądek, więc ledwie maczałam w nim usta. Białe wino, woda i krew – mój układ pokarmowy nie toleruje nic innego, wszystko zwracam najdalej po kilku minutach. Wino rzadko

## **80**

mi służy, ale nie unikam go, piję zwłaszcza na spotkaniach z nowymi klientami. Kieliszek schłodzonej hemoglobiny raczej nie służyłby ociepleniu atmosfery. Monica piła już drugą szklanekę soku. Przepraszam: trzecią. W pewnym momencie uniosła dłoń i przywołała kelnera, który zareagował błyskawicznie i podszedł, aby napełnić jej szklanekę słodkim napojem. Uśmiechnęła się z ulgą. Wciąż była to dla mnie postać dość zagadkowa: dorosła kobieta zachowująca się tak, jakby miała czternaście lat i ani dnia więcej. A przecież z pewnością zbliżała się już do trzydziestki. Nikt jednak by się tego nie domyślił, bo żuła gumę balonową, wymachiwała nogami na krześle, chichotała i wlewała w siebie sok, jakby chciała napić się na zapas. Zauważyłam, że jej chichot jest nerwowy, nie wynika z tego, że coś ją naprawdę śmieszy. Miała też coś nie tak z prawym okiem: nie nadążało za lewym, spóźniało się odrobinę, a do tego bez przerwy zezowało gdzieś na moje ramię, jakby siedziała na nim papuga. Monica opisała mi z drastycznymi szczegółami

swoje małżeństwo, które wyglądało tak, że przez dwanaście lat jej mąż (teraz już były) bestialsko ją katował. Kiedy mówiła, odzywałam się rzadko. Obserwowałam swoją rozmówczynię oraz nieustającą procesję ludzi wchodzących do siłowni i z niej wychodzących.

## 81

Monica miała cichy, dziecięcy głosik. Mówiła monotonie, bez cienia emocji. Nie było w tym głosie ekspresji, nie było siły. Często opuszczała wzrok i równie często pochylała głowę. Miałam przed sobą kobietę, która prawdopodobnie przez większą część swojego życia była bezlitośnie maltretowana. Kobiety, nad którymi znęcano się w dzieciństwie, często wybierają sobie agresywnych partnerów. Nie zdziwiłabym się.

Monica przerwała opowieść, kiedy w jej szklance pokazało się dno. Wypiła resztkę soku, siorbiąc przy tym głośno. Ludzie oglądali się na nią, przenosząc potem spojrzenia na mnie. Wzruszyłam ramionami. Skoro Monice absolutnie nie przeszkadzało, że się gapią, to dlaczego ja miałam się tym przejmować? Przełknęła ostatni wysiorbany łyk i zapytała, czy może iść do łazienki.

Zgadza się. Zapytała, czy może.

Odpowiedziałam, że tak, chociaż nie obyło się przy tym bez zająknięcia. Monica uśmiechnęła się radośnie, strzeliła balonem z gumy i odeszła od stolika. Wróciła po kilku minutach... i natychmiast zamówiła kolejny sok.

Ciąg dalszy opowieści był następujący: zostawiła męża, a wtedy on poprzysiągł sobie, że ją zabije. Był to odtąd cel jego życia. Monica uzyskała sądowy zakaz zbliżania się, ale on najwidoczniej niewiele sobie

## 82

robił z postanowień sądu. Zjawił się w Anaheim, w mieszkaniu, które wynajęła. Tam właśnie doszło do pierwszej próby morderstwa.

Tutaj przerwała, żeby wyłowić z soku truskawkę. Usiłowałam wyobrazić sobie, jak taka osoba mogła mieszkać sama i prowadzić dorosłe życie. Nie udało mi się. Monica miała na oko trzydzieści lat, ale wyglądała na opóźnioną w rozwoju i nieprzygotowaną do wejścia w dorosłość. Zaczęłam się nad tym zastanawiać, a ona tymczasem podjęła opowieść.

Czekał na nią w kuchni. Najpierw poobijał ją trochę o ściany, a potem zaczął okładać kluczem francuskim.

Od jednego z ciosów pękła jej czaszka. Kiedy miał dość, zostawił ją, żeby umarła.

Tylko że ona nie umarła. Chirurdzy połatali ją za pomocą stalowych płytek, gwoździ i śrub. Zaczęła cierpieć na padaczkę pourazową, straciła też wzrok w prawym oku. To by wyjaśniało ten brak koordynacji, który zauważyłam. Monica była w połowie niewidoma. Jej mąż został zatrzymany już kilka godzin po tej napaści. Nie trafił jednak do więzienia: miał, jak się okazało, dobrego adwokata, który wyciągnął go z aresztu po paru tygodniach. Podobno jakimś niewiadomym sposobem przekonał sędziego, że jego klient w żaden sposób nie zagraża już swojej byłej żonie.

### 83

Tej samej nocy klient uderzył ponownie.

Monica wciąż jeszcze nie odzyskała zdrowia, więc mieszkała u rodziców. Jej eks-mąż włamał się do ich domu, tym razem uzbrojony w młotek. Zaczynałam podejrzewać, że musiał dostać od kogoś kartę podarunkową do sklepu z narzędziami. Zachowałam jednak te podejrzewania dla siebie.

Tak czy inaczej świeżo wypuszczony na wolność aresztant zabił ojca Moniki i trwale okaleczył jej matkę.

Dziewczyna ocalała dzięki rottweilerowi swoich rodziców. Owszem, pies także przeżył.

Monica nagle umilkła. Na parking pod restauracją wjechał powoli biały cadillac, stary model z przyciemnianymi szybami. Na wysokości naszego stolika tak jakby jeszcze zwolnił. Monica milczała, bawiąc się słomką. Powiedziałam jej, że przykro mi z powodu śmierci jej ojca. Skinęła głową i dalej bawiła się słomką. Czekałam cierpliwie. To nie był jeszcze koniec. Zadzwoiła dziś do mnie, musiała więc mieć powód.

Odsunęła od siebie szklankę. Najwidoczniej osiągnęła już swój limit spożycia soku truskawkowego.

– Próbował wynająć kogoś, żeby mnie zabił – powiedziała.

– Nakryli go przy tym.

– Kto go nakrył?

– Ludzie w więzieniu.

### 84

– Strażnicy?  
– Właśnie, strażnicy. Nie udało mu się. – Zachichotała nerwowo.

– Boisz się – zauważyłam.  
Przytaknęła skinieniem głowy, a w jej oczach błysnęły łzy.

– Dlaczego tak bardzo mu zależy, żeby zrobić mi krzywdę? Nie ma już dość?

– Współczuję ci – powiedziałam.

– To jest straszny człowiek – szepnęła. – Po prostu podły.

Z każdym słowem jej głos cichł coraz bardziej.

Zaczął jej drżeć podbródek, a potem dłonie. Współczułam z całego serca tej dziewczynce w ciele kobiety.

Nie mieściło mi się w głowie, czemu ktoś chciałby skrzywdzić takie łagodne stworzenie. Ta opowieść mogła mieć jakieś drugie dno, nie wydawało mi się to jednak prawdopodobne. Wszystko wskazywało, że Monica jednak ma rację. Ten człowiek po prostu był podły. Wstrętny i podły.

– Odezwałam się więc do detektywa Sherbeta – podjęła. – On jest dla mnie bardzo dobry. Zawsze mi pomaga. Kocham go. – Uśmiechnęła się na myśl o poczciwym detektywie, którego ja również poznałam i polubiłam. – To on mi poradził, żebym się z tobą spotkała. Mówił, że jesteś mocniejsza, niż na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, ale nie

**85**

zrozumiałam, o co mu chodziło. Powiedział, że mnie obronisz.

– W Kalifornii prywatny detektyw ma też uprawnienia do ochrony osób – potwierdziłam.

– To ty jesteś też ochroniarzem? – W jej głosie zabrzmiał respekt. Rozpromieniła się, choć w jej oczach wciąż jeszcze błyszczały łzy.

– Tak – odparłam. Mój ton był chyba odrobinę zbyt chełpliwy, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Monica klasnęła w dłonie.

– Nosisz broń?

– Noszę, kiedy trzeba.

Jeszcze przez chwilę uśmiech nie schodził z jej twarzy, lecz potem sposepniała. Jej zdrowe oko zmierzyło mnie uważnym spojrzeniem; drugie, to uszkodzone, nie patrzyło już tak badawczo.

– Nie mogę zapłacić – powiedziała. – Nie mam pieniędzy. Odkąd mnie pobił, nie jestem w stanie pracować w piekarni, ale może moja mama pomoże mi znaleźć jakieś pieniądze. Detektyw Sherbet mówił, że na pewno zrobisz to, co trzeba, ale znowu nie zrozumiałam, o co mu chodziło.

Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową, biorąc ją za rękę. Jej dłoń, choć lepka od potu, była wyczuwalnie ciepła. Monica wzdrygnęła się lekko, czując mój lodowaty dotyk. Spojrzałam jej w oczy, a ona ze wszystkich sił starała się wytrzymać moje spojrzenie.

– Nie przejmuj się pieniędzmi, kochanie. Nie pozwolę już nikomu zrobić ci krzywdy. Od dzisiaj jesteś bezpieczna. Obiecuję ci to.

I wtedy Monica zaczęła płakać.

**87**

**14**

Pojechałyśmy do mnie.

Monica rozglądała się po skromnym hotelowym pokoju, jakby naprawdę można było znaleźć tam coś ciekawego. Czułam, że się trochę uspokoiła, a w każdym razie mniej już chichotała, co uznałam za zdrowy objaw.

Przysiadła w końcu na rogu łóżka, tuż obok fotela, który zajęłam ja, a który nagle zrobił się zaskakująco wygodny. Pod ręką, na biurku, leżał zamknięty laptop. Gdzieś tam był Kieł. Ciekawe, co teraz robi, pomyślałam. Ciekawe też, jak zwykle spędza wieczory. Zresztą byłam go ciekawa tak ogólnie i często o nim myślałam. A Kingsley? O nim też myślałam, ale ten temat był nieco łatwiejszy do przemyśleń, bo wiedziałam, gdzie mieszka i że wpadłam mu w oko.

Trochę dalej, na okrągłym stoliku, leżał notatnik zawierający zapis mojej rozmowy z... czymś. A przynajmniej początek tej rozmowy.

– Naprawdę tutaj mieszkasz? – zapytała Monica.

– Aktualnie tak.

– I mąż tak po prostu wyrzucił cię z domu?

– Coś w tym rodzaju.

**88**

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, ale był to nerwowy uśmiech. Czułam, że chichot był blisko, ale jakimś sposobem udało jej się nad nim zapanować.

– U mnie było odwrotnie – powiedziała.

– Mąż nie chciał, żebyś odeszła.  
– Właśnie. – Tutaj w końcu zachichotała. I zaraz westchnęła. Siedziała tak na rogu łóżka i bujała stopami, które ledwie sięgały podłogi. Była niziutka i przeurocza. Niewinna. Miła. I zagubiona. Wpadła w niewłaściwe ręce, w zły związek. Oczyma duszy widziałam tego zwyrodnialca, któremu się wydawało, że mała Monica Collins jest jego własnością. Jak trofeum. Maleńka statuetka. Jest moja, należy do mnie. Właściwy mężczyzna dałby jej bezpieczeństwo, miłość i troskę.

Ale ona trafiła na niewłaściwego.

– A dlaczego mąż cię wyrzucił, jeśli wolno spytać?

– zapytała Monica.

– Nie wolno – odparłam.

Zachichotała, rumieniąc się i odwracając wzrok.

– Przepraszam bardzo...

Położyłam dłoń na jej kolanie. Należało z nią postępować delikatnie. Nie nabyła umiejętności społecznych właściwych dla swojego wieku.

– Nic się nie stało – powiedziałam. – Po prostu to jest bardzo świeża rana i chwilowo wołałabym o tym nie rozmawiać. Nie zrobiłaś nic złego.

## 89

Monica energicznie skinęła głową. Poklepałam ją po kolanie, a ona spojrzała na mnie i znów skinęła głową, a potem opuściła wzrok. Bardzo brakowało jej pewności siebie. Była zagubiona. Bezradna. Kto mógłby skrzywdzić taką dziewczynę? Zdążyłam już zniecierpliwienie jej byłego męża, i to naprawdę poważnie.

– Sam, mogę cię o coś spytać?

– Jasne, skarbie.

– Nie powiedziałaś mi... No wiesz... Jak będziesz mnie bronić? – Nerwowy chichot. – Mogę o to pytać?

– Możesz. – Znów poklepałam ją uspokajającym gestem po kolanie, jak własną córkę. Na myśl o córce przypomniałam sobie, że w sobotę mogę nie zobaczyć mojej małej Tammy i jej brata. Przez krótki moment byłam na granicy łez. Uspokoiliłam się jednak, biorąc głęboki wdech i odpowiedziałam na pytanie Moniki: – Przez cały czas będziesz albo ze mną, albo z kimś, komu całkowicie ufam. Nawet na chwilę nie pozostaniesz bez opieki.

Zmrużyła oczy podejrzliwie, zacięła mocno usta.

– A co to za znajomi?

– Dobrzy ludzie. Honorowi. Mam do nich bezgraniczne zaufanie. Z nimi będziesz bezpieczna, kiedy mnie nie będzie w pobliżu.

– A gdzie ty będziesz?

– Czasami mam... sprawy do załatwienia.

**90**

Skinęła głową ze zrozumieniem. Jak interesy to interesy.

– I teraz właśnie ma tu przyjechać jeden z tych twoich znajomych?

– Tak.

– Bo musisz wyjść?

– Otóż to. Mam pracę.

– A ja nie mogę iść z tobą? – zapytała głosem małej dziewczynki proszącej mamę, żeby zabrała ją ze sobą na zakupy.

– Tym razem nie.

– No dobrze. – Nadała się, niezadowolona, że tak od razu ją zostawiam. Mnie też się to wcale nie podobało, ale źle by się stało, gdyby zobaczyła albo wzięła udział w tym, co miałam tej nocy do załatwienia.

– Chad to dobry człowiek – zapewniłam ją. – Polubisz go.

Znów skinęła głową.

– Ale wrócisz dzisiaj?

– Wrócę.

Uśmiechnęła się i machnęła stopami. Miała na sobie białe szorty. Jej nogi były smukłe i opalone. I pocięte licznymi bliznami. O nic nie pytałam, ale wyglądało na to, że ktoś bardzo mocno bił ją paskiem.

– Jak długo zostanę pod twoją opieką? – zapytała Monica.

– Dopóki będzie trzeba – odpowiedziałam, ciesząc się w duchu, że moja klientka nie ma dzieci, a szef piekarni, gdzie pracuje, dał jej długi urlop. Później dowiedziałam się, że to właściwie nie jest piekarnia, ale cukiernia z pączkami; nic dziwnego, że Sherbet tak ją polubił.

Ktoś zapukał do drzwi: trzy razy, szybko, przerwa i jeszcze raz. To był Chad, poznałam go po tym umówionym sygnale, który wbili nam do głowy na przeszkoleniu.

– To on, mój dawny kolega z pracy – powiedziałam, pochylając się i jeszcze raz poklepując Monicę



po kolanie. – Jesteś w dobrych rękach, gwarantuję.  
Uśmiechnęła się i strzeliła balonem z gumy.

– Wierzę ci.

**92**

**15**

Siedziałam na balkonie u Stuarta Younga, który mieszkał na drugim piętrze i miał z okien widok na skrawek plaży Balboa. Samego oceanu nie można stąd było jednak podziwiać, zaledwie migotliwy poblask rosnącego z nocy na noc półksiężyca na ciemnych falach.

Stuart poczęstował mnie winem, ale mój żołądek wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po tych kilku łykach, które wypiałam wcześniej, i bolał, poprosiłam więc o wodę. Usiedliśmy na balkonie, spoglądając na cichą, opustoszałą ulicę, przy której stały apartamentowce, jeden podobny do drugiego. Ulica za ulicą szeregi identycznych budynków. Niewyjaśnioną zagadką pozostawało to, w jaki sposób, przy mojej fatalnej orientacji w terenie, udało mi się trafić do Stuarta.

W zasadzie nie była to aż tak wielka zagadka. Wyczułam właściwy budynek, a w nim jego mieszkanie.

Mój szósty zmysł nabierał mocy.

Stuart, gdy już się spotkaliśmy, wyglądał tak, jakby przed chwilą płakał. Wcale mnie to nie zdziwiło.

A jego nie obchodziło, że to widać, i ani myślał przeproszać.

Nos miał czerwony, opuchnięty. Jego idealnie

**93**

kształtną łysą czaszkę oblepiała cieniutka warstewka potu. Mógł to być skutek działania alkoholu, ponieważ u nas nigdy nie jest zbyt upalnie. I dlatego właśnie takie mieszkanie jak to musiało kosztować niedużą fortunę, niezależnie od tego, czy z okien widać morze czy też nie.

Stuart popijał słabe piwo ze schłodzonej szklanki.

Piwo... Jedyna rzecz, za którą nigdy nie tęskniłam po przemianie. Ohyda. Wolę wino.

– Trzymasz się? – zagadnęłam.

– Gorzej być nie może – odpowiedział i, o dziwo, uśmiechnął się do mnie.

Wypiłam łyczek wody, przekrzywiając lekko głowę, aby lepiej zobaczyć wąziutki skrawek oceanu.

– Jak się mocno wyteży wzrok, to go widać – zapewnił Stuart. – Możesz mi nie wierzyć, ale zapłaciłem

za ten kawałeczek oceanu. Co najmniej z pięćdziesiąt tysięcy.

– Ale to jest ładny kawałeczek oceanu – powiedziałam. Zaśmiał się, unosząc szklankę do ust. Piwo chyba mu smakowało. Nic zresztą dziwnego.

– Dowiedziałam się z dobrego źródła – dodałam, nie patrząc na niego – że samolot twojej żony rozbił się na skutek sabotażu. Takie są nieoficjalne ustalenia. Stuart przestał pić.

#### 94

– Jeśli naprawdę tak było, a wszystko na to wskazuje – ciągnęłam – to oznacza, że twoja żona, pozostali pasażerowie oraz załoga samolotu zostali zamordowani. Stuart wyprostował się, zajrzał do oszronionej szklanki. Dość skąpa reakcja, trzeba przyznać, ale z drugiej strony podejrzewał przecież, że właśnie tak było.

Mówiłam więc dalej:

– Wszyscy wiemy, kto skorzystał na tej katastrofie. Jerry Blum, który nie tylko uniknął procesu, ale też odzyskał wolność. Kiedy zabrakło świadków, wycofano wszystkie zarzuty przeciwko niemu.

Skinął głową, zaciskając zęby, aż zadrżała mu szczęka.

– Śledztwo w sprawie przyczyn katastrofy wciąż trwa – powiedziałam po dobrych kilku minutach milczenia.

– I może ciągnąć się latami. Ale nawet jeśli władze zdołają ustalić, kto zestrzelił samolot albo podłożył w nim bombę, to podejrzewam, że nie znajdą zbyt wielu dowodów wskazujących na to, że Jerry Blum maczał w tym palce.

Stuart odstawił szklankę na zakurzony okrągły stoliczek stojący pomiędzy nami, a potem odwrócił się, spoglądając na mnie.

– A nawet jeśli znajdą się dowody, żeby oskarżyć go o morderstwo mojej żony – powiedział – to kto zagwarantuje, że świadkowie znowu nie zginą tragicznie?

– Popieprzone błędne koło – przyznałam.

– I tak można bez końca.

Skinęłam głową.

– A jeśli nie doczekam się sprawiedliwości? – zapytał.

– Nigdy?

– Zawsze jest szansa, że znajdą jakieś obciążające dowody łączące go z katastrofą – odparłam.

– Albo i nie.  
– Albo i nie – zgodziłam się.  
– Raczej będzie tak, że on znów się wykręci,  
a moja żona... – Urwał i rozplakał się nagle, zakrywając  
twarz dłońmi. Poklepałam go po ramieniu, dodając  
kilka słów współczucia. Płakał dalej, więc nie  
cofałam dłoni.  
Kiedy wreszcie udało mu się opanować, powiedział:  
– Chcę, żebyś czegoś posłuchała.

**96**

**16**

Stuart wstał, rozsunął drzwi balkonowe i zniknął  
w mieszkaniu. Wrócił po chwili, niosąc w dłoni  
BlackBerry. Usiadł obok mnie, tam gdzie przedtem,  
i dotknął kilku klawiszy, a urządzenie niemalże  
natychmiast zapytało go elektronicznym głosem, czy  
chce uzyskać dostęp do automatycznej sekretarki.  
Nacisnął jakiś klawisz, więc, jak zrozumiałam, chciał.  
Głos zapytał następnie, czy użytkownik życzy sobie  
odsłuchać nagrane wiadomości. Stuart nacisnął kolejny  
klawisz i uniósł telefon głośnikiem do góry, wyciągając  
dłoń nad okrągłym stolikiem i stojącą na nim  
szklanką z piwem.  
– Stu! – rozległ się oszalały z przerażenia głos kobiety.  
– Stu, posłuchaj. Stało się coś złego, bardzo złego.  
O Boże! Stu, słuchaj, samolot miał jakąś awarię.  
Poważną. Słyszałam wybuch, tuż za oknem. W skrzydle.  
Skrzydło wybuchło. Widzę to teraz. Rozwalone,  
pali się całe. Nie, to niemożliwe... O Jezu! Stuart!  
– Głos zamarł, a gdzieś w tle dał się słyszeć kobiecy  
wrzask. Przeróżający, skręcający trzewia wrzask. –  
Stu, my się rozbijemy. Wszyscy już o tym wiedzą. Pilot  
nie może... Nie panuje nad samolotem.

**97**

Kolejna pauza. Tym razem w tle odezwał się  
trzeszczący głośnik. To mówił pilot. Poleciał wszystkim  
zając miejsca, zapiąć pasy bezpieczeństwa i zachować  
spokój. A potem poprosił, aby przygotować  
się do lądowania awaryjnego.  
– Mój Boże, Stu. Jezu, Jezu Chryste... Tak bardzo  
mi żal, że nie mogę z tobą porozmawiać, kochany.  
Potrzebuję cię teraz. Chcę cię usłyszeć. Tak się  
boję. Tak bardzo. To się nie dzieje naprawdę. – Ktoś  
zawył wniebogłosy. – Słyszałam cię, Stu. Słyszałam

twój głos, kiedy włączyła się poczta głosowa. Przynajmniej ten ostatni raz... Przynajmniej jeszcze ten jeden raz cię usłyszałam. Uwielbiam słuchać twojego głosu, kochany. Kocham cię. Bardzo cię kocham. Za chwilę zginę. – Ktoś odezwał się do niej histerycznym tonem, ale nie odpowiedziała. – Wszyscy już wariują, Stu. Szaleją ze strachu. Ten wybuch... Coś wybuchło w samolocie. W skrzydle. To Jerry Blum, to on, Stu. Jestem pewna. To on za tym stoi. Nie wiem, jak to zrobił, ale udało mu się załatwić nas wszystkich. Skurwiel. O Boże... – Głos załamał się, zadławił łkaniem, a potem kobieta na krótką chwilę opanowała się, żeby powiedzieć tylko: – Kocham cię, najdroższy. Zawsze będę cię kochać. I połączenie się urwało.

F

**98**

Stuart nie ocierał łez płynących po policzkach. Wpatrywał się bez słowa w telefon, który wciąż leżał na jego otwartej dłoni. Dłoń drżała. Wreszcie poruszył niechętnie kciukiem i wcisnął klawisz, po czym starannie schował BlackBerry do kieszeni jasnej marynarki.

– Przesłałem to nagranie na pocztę głosową pod innym numerem – powiedział – a potem do FBI. Poprosili mnie, żebym skasował oryginał. Posłuchałem.

Ale nie przyznałem się, że mam jeszcze kopię. Nawet kilka kopii, w różnych formatach. Jak oni w ogóle śmieli kazać mi skasować ostatnie słowa mojej żony do mnie, skurwysyny?

Długo siedzieliśmy w milczeniu, a w moich uszach wciąż rozbrzmiewał przerażony głos tej kobiety z samolotu, jak zacinająca się płyta. Współczułam jej z całego serca. I jemu też. Moje serce wręcz pękało z żalu.

– Bardzo mi przykro – odezwałam się wreszcie.

Stuart tylko skinął głową, pogrążony we własnych myślach. Błądził wzrokiem po widocznym z okna skrawku plaży, skąd dochodził szum fal rozbijających się o brzeg. Zdziwiłabym się, gdyby on, śmiertelnik, mógł usłyszeć szum fal z tej odległości. Zresztą dobrze się złożyło, bo mieszkanie, w którym słycać ocean, byłoby pewnie ze dwa razy droższe. Nad dachówkami apartamentowca po drugiej stronie ulicy

**99**

śmignęły dwie mewy; widziałam ich wrzecionowate, alabastrowe sylwetki tak wyraźnie jak w dzień. Przemknęły po czarnym nocnym niebie, ciągnąc za sobą smugę trzeszczącej energii, rozjarzonej jak ektoplazma, jak płonący ogon komety. W moich oczach noc lśniła żywym blaskiem, a uszy też odbierały całą gamę przeróżnych dźwięków.

– A nawet gdyby FBI znalazło ostatecznie dowody, aby skazać Bluma – odezwał się wreszcie Stuart – to i tak ten drań może w jakiś sposób uniknąć kary. Przytaknęłam w milczeniu, a on potrząsnął głową.

– To jest... potworne uczucie: wiedzieć, że skurwiela ją zabił, pozwolił jej spłonąć żywcem. – Oddychał szybko, głęboko. – Pieprzone bydlę, nienawidzę go. Wiesz co? Olać cały ten proces, olać dowody. Olać wszystko. Chcę go dostać w swoje ręce, sam na sam, na dziesięć minut. Tylko ja i on. Dziesięć minut.

Zaczął się nakręcać, a ja – zaczęłam się zastanawiać.

– Ale on jest nietykalny – opamiętał się Stuart. – Nikt go nie ruszy. Ani policja, ani FBI, ani żaden sąd. Nikt.

– Dla mnie nie jest nietykalny – wpadłam mu w słowo, zaskoczona jak jasna cholera tą deklaracją. To nie było przemyślane. W najmniejszym stopniu. Stuart błyskawicznie odwrócił głowę.

– Słucham?

## 100

Postanowiłam brnąć dalej. A co mi tam.

– Mówię, że dla mnie Jerry Blum nie jest nietykalny. Zmrużył oczy.

– A co to dokładnie ma znaczyć, Sam?

– Że mogę ci go osobiście dostarczyć do rąk własnych.

– Nie całkiem rozumiem.

To był szalony pomysł. Nawet trochę za bardzo szalony. Ale Stuart, cierpiący, wściekły i sfrustrowany, był całkowicie bezradny. Chyba że...

– Naprawdę chcesz stanąć oko w oko z Jerryem Blumem, człowiekiem, który zabił ci żonę?

– Oddałbym za to życie.

– A więc co byś powiedział, gdybym zaproponowała, że ci go przyprowadzę?

– Powiedziałbym, że zwariowałaś.

– To możliwe, Ale tylko trochę.

– Tyle że nie wyglądasz i nie mówisz jak wariatka.

– Cieszę się.

Mój wariacki pomysł coś w nim jednak poruszył,  
a przynajmniej – pomógł mu zapomnieć o cierpieniu.

Stuart odwrócił się całkowicie w moją stronę.

– Jak chciałabyś to zrobić? – zapytał.

– Mam kontakty – odparłam wymijająco.

– I przez te kontakty jesteś w stanie dotrzeć do  
Bluma?

**101**

– Tak – potwierdziłam. – Wcześniej czy później.

– I będę mógł stanąć z nim twarzą w twarz?

– Sam na sam. – Skinęłam głową.

– Jeden na jednego?

– *Mano y mano* – potwierdziłam. Znaczyło to chyba  
„facet i facet”, ale w końcu skąd niby mam wiedzieć  
takie rzeczy, do diabła?

– A jego goryle? – zapytał Stuart. – Cyngle, płatni  
mordercy?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Tylko ty i on. Nikogo więcej.

– A czy ktoś jeszcze będzie o tym wiedział?

– Tylko ty, ja i Jerry Blum.

W kącikach jego ust zaigrało coś łudzaco podobnego  
do uśmiechu, ale potem wstrząsnął głową  
i uśmiech zniknął.

– Bardzo chciałbym ci uwierzyć – westchnął Stuart

– ale nie mogę nie zauważyć, że to nic więcej jak  
czysta fantazja...

– Przeprowadzę ci go – przerwałam mu. – Daj mi  
dwa tygodnie.

Długo wpatrywał się we mnie twardym wzrokiem,  
aż wreszcie skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

Uśmiech doskonale mu zrobił: jego piękna łysa głowa  
wyglądała teraz wręcz powalająco.

– W porządku, wierzę ci – powiedział. – Sam nie  
wiem dlaczego, ale ci wierzę.

Rozsiedliśmy się wygodnie w fotelach tarasowych,  
wsłuchani w szum wiatru i kuchenne odgłosy dobiegające  
z piętra pod nami. Ktoś robił sobie późną kolację.

Wkrótce na balkonie zapachniało smażonym  
bekonem. Boże, jak ja kiedyś uwielbiałam jeść śniadanie  
na kolację.

Stuart obrócił głowę w moją stronę.

– A jeśli go zabiję? – zapytał.

– Każdy wcześniej czy później musi umrzeć –  
odparłam.

– Twarda z ciebie kobieta – zauważył.

– I z każdą chwilą coraz twardsza.

**103**

**17**

Równo o północy siedziałam z laptopem na kolanach w swojej furgonetce zaparkowanej niedaleko Ritza-Carlton w Laguna Niguel. Nie, nie mam w zwyczaju kręcić się w pobliżu takich hoteli. Po prostu było to dobre miejsce do zrobienia tego, co sobie zaplanowałam. Jedyny pięciogwiazdkowy hotel w hrabstwie Orange stoi na skarpie, chociaż moim skromnym zdaniem, jest to raczej klif. Mój samochód stał w najdalszym końcu hotelowego parkingu dla gości. Mała kobietka w dużej furgonetce: raczej trudno by mi było zwrócić na siebie uwagę.

Mała kobietka, która za chwilę miała się pokazać w kompletnym stroju Ewy.

Przez uchylone okna wpadał przyjemny szum fal załamujących się na równych, gładkich, piaszczystych plażach, które rozciągały się u stóp stromego klifu; postanowiłam, że jednak będę się trzymać tej nazwy.

Zastanowiłam się przez chwilę nad tym, w co właściwie się wpakowałam – a im dalej od Stuarta i jego rozpaczy, tym wyraźniej zdawałam sobie sprawę z tego, że to był naprawdę szaleńczy pomysł.

**104**

Przemyśl to, Sam: obiecałaś, że złapiesz jednego z najgroźniejszych gangsterów Zachodniego Wybrzeża, aby łagodny jak baranek wdowiec mógł się na nim wyżyć.

No tak. Miewałam już lepsze pomysły.

Owszem, Stuart w chwili obecnej całkiem słusznie się obawiał, że nigdy nie doczeka sprawiedliwości.

Nawet gdyby sąd oficjalnie uznał, że to nie była przypadkowa katastrofa, Blum mógł jeszcze przez długie lata cieszyć się wolnością i trafiłby za kratki, dopiero gdy federalni znajdą dowody jego winy. To jednak samo w sobie było wysoce wątpliwe – przecież kiedy samolot ze świadkami się rozbił, siedział w kiciu i czekał na proces.

To się nazywa porządne alibi. Jak cholera.

A ty w takiej sytuacji postanowiłaś, że przyprowadzisz mordercę na konfrontację ze zwykłym człowiekiem,

który wyróżnia się w zasadzie chyba tylko tym, że ma idealnie kształtną łysą głowę. Stuart był, mówiąc oględnie, drobnej budowy. Jerry Blum mógłby go zabić gołymi rękami. Dla takiego bandyty to pewnie raczej nie pierwszozna. Zresztą nie wiadomo nawet, czy w ogóle uda mi się dotrzeć do tego Bluma. W interesach zawsze najlepiej obiecać mało, a załatwić dużo. A co ja zrobiłam? Naobiecowałam klientowi... że zorganizuję mu spotkanie z mordercą, aby mógł go załatwić.

**105**

Świetnie.

Potrząsnęłam głową. Naprawdę, miewałam już lepsze plany.

Jerry Blum musiał trafić za kratki. W jaki sposób? Obojętnie. Konfrontacja Stuarta z gangsterem to nie był najszczęśliwszy pomysł, ale w tamtej chwili nie wpadłam na inny. Tymczasem najlepiej chyba odłożyć planowanie tego „pojedyńku” na kilka dni; może jeszcze przyjdzie mi do głowy jakaś inna koncepcja. Zabębniłam palcami po kierownicy. Mam raptem półtora metra wzrostu z hakiem, ale za to niezwykle smukłe palce. Czy to coś złego zachwycać się własnymi dłońmi?

Teraz, oczywiście, każdy palec kończył się mocnym, twardym paznokciem. Nie wyglądało to jak szpony, nic z tych rzeczy: były po prostu grube i lekko spiczaste. No dobrze. Niech będzie: wyglądało to jak szpony. Miałam szpony u rąk.

Czasami nienawidzę swojego życia.

Zdażyłam już obdzwonić różne osobiste kontakty i zdobyć adres luksusowej fortecy Jerry’ego Bluma w Newport Beach. Gangster miał tam olbrzymią posiadłość nad oceanem, a w zasadzie na położonej niedaleko brzegu wysepce, połączonej mostem ze stałym lądem.

Monitor włączonego laptopa jarzył się jasnym światłem. Wstukałam adres do serwisu satelitarnego

**106**

Google’a, aby przyjrzeć się tej wyspie z lotu ptaka i zapisać sobie w pamięci szczegóły ukształtowania terenu. Nie było ich zbyt wiele. Na północnym krańcu skrawka lądu rozsiadła się olbrzymia posiadłość



sięgająca od brzegu do brzegu, tak że na południu pozostały już tylko ze dwa hektary lasu. Dla mnie ten las był sporym ułatwieniem.

Ptak umie ukryć się w lesie.

A olbrzymi wampir-nietoperz?

Kiedy już wbiłam sobie do głowy wszystkie zdjęcia satelitarne, wyłączyłam laptopa i rozejrzałam się dookoła. Wybrałam odległy, ustronny sektor hotelowego parkingu, więc wszędzie panował spokój. Szybko zrzuciłam dzinsy, bluzkę i całą resztę. Gdy szmatki po kolei znikwały, czułam się wyjątkowo bezbronna, a chociaż siedziałam za kierownicą dobre pół godziny, winylowe pokrycie fotela było zimne, prawdopodobnie dlatego, że moje ciało temperaturą przypominało szczątki kopalne.

Nagle, tuż obok mnie, zatrzymał się rodzinny SUV, tak wielki, że weszłoby do niego chyba z pół Teksasu. Skuliłam się za kierownicą, marząc o niewidzialności. Kilka minut później, gdy cała rodzinka, sztuk cztery, wysypała się z wozu i ruszyła w stronę hotelu, znikając mi z oczu, otworzyłam drzwi i ostrożnie wysiadłam.

Goła jak noworodek.

Szybko przecięłam połąć gładkiego betonu, pokonałam barierkę i niskie, karłowate zarośla, aby wreszcie stanąć na samym skraju klifu, który okazał się naprawdę bardzo stromy. Kto się upiera, żeby mówić na to „skarpa”, może mnie cmoknąć w cztery litery.

Z tej wysokości wydawało się, że do ziemi jest niewyobrażalnie daleko. Cieniutki zygzak piany ubijanej rytmicznym uderzaniem fal bielił się wzdłuż gładkiej plaży. Dostrzegłam na niej parę spacerującą wzdłuż linii przyboju i trzymającą się za ręce. Gdyby przypadkiem spojrzeli teraz w górę, mieliby szansę zobaczyć coś bardzo niezwykłego. Coś, co do końca życia prześladowałoby ich w koszmarach.

Niech więc lepiej, dla własnego dobra, nie patrzają teraz w górę.

Wzięłam głęboki oddech, napelniając płuca tlenem, który był mi w zasadzie zbędny, i rzuciłam się w dół, zamykając oczy.

**108**

**18**

Odbiłam się z całej siły, aby odskoczyć jak najdalej

od krawędzi klifu.

Przez jedną krótką chwilę szybowałam majestatycznie z twarzą wzniesioną ku gwiazdom: normalna mama dwójki dzieci, która codziennie skacze nago z klifu pod Ritzem w Laguna Niguel.

Nocne powietrze przecinały smugi jasnego światła, trzaskały wyładowania energii i syczały wężowe języki tajemniczych błyskawic, tajemniczych, bo skrytych przed wzrokiem śmiertelników. Nie przed moim.

Zawisłam na chwilę w powietrzu, błędząc wzrokiem po czarnym oceanie...

A potem jak kamień runęłam w dół: głowa naprzód, ramiona rozłożone szeroko. Figura odwróconego krzyża.

Nade mną huczał wiatr. Zbocze klifu zamazywało mi się w oczach, setki różnokolorowych warstw skalnych zlepionych w szalonym pędzie.

Zacisnęłam powieki i natychmiast błysnął pod nimi ogień, rażąc ten zmysł, który najczęściej nazywa się „trzecim okiem”. Płomień rósł błyskawicznie

**109**

i płonął oślepiająco, zalewając blaskiem wszystkie moje myśli, pożerając cały umysł. A w objęciach tego płomienia pojawiła się nagle niewyraźna, ciemna sylwetka. Potworny, przerażający kształt.

Spadałam coraz niżej. Wiatr wciąż świszczwał mi w uszach, szarpał włosami, które łopotały za mną niczym czarna, postrzępiona peleryna. Szum fal narastał w szybkim tempie. Zbyt szybkim. Za kilka chwil, nie dłużej, musiałam roztrzaskać się o potężne głazy zalegające u stóp klifu.

Czy w ten sposób mogłam umrzeć? Nie miałam pojęcia, ale też nie spieszyło mi się, żeby to sprawdzić.

Ciemna postać zarysowała się nieco wyraźniej, groteskowe kształty nabrały ostrości. A ja natychmiast poczułam, że coś mnie do niej potężnie przyciąga.

Wizerunek rozrósł się gwałtownie, pochłaniając gorejący płomień. Chociaż... Nie: to nie on się rozrastał. To ja pędziłam mu na spotkanie.

Wciąż szybciej i szybciej.

A potem stopiliśmy się w jedno, bestia i ja.

Zachłysnęłam się powietrzem i otworzyłam oczy, wykręcając całe ciało, szarpnięte oporem olbrzymich,

skórzastych skrzydeł, które wyrosły mi wzdłuż boków. Były to grube błony, które w jednej chwili wydęły się niczym spadochron. Czysta energia swobodnego spadku była tak wielka, że w zasadzie powinny oderwać się od ciała.

Ale jednak się trzymały, i to mocno. Moje ramiona też wyszły cało z tej próby.

Zwolniłam znacznie, ale i tak jeszcze za mało.

Głazy w dalszym ciągu zbliżały się z olbrzymią prędkością, a wiatr wył mi w uszach i smagał po twarzy.

Instynktownie zmieniłam ułożenie ramion – i to już nie był swobodny spadek, tylko pikowanie.

A po chwili mogłam powiedzieć, że lecę.

Otarłam się o głazy na wybrzeżu i śmignęłam ponad gładką plażą, mijając w pędzie spacerującą parę.

Oboje poderwali głowy, ale mnie już nie było. Pozostał cień mrocznej skrzydlatej tajemnicy na tle bezgwiezdnego nieba.

I znów uderzyłam swoimi wielkimi skrzydłami, wzbijając się jeszcze wyżej, wysoko ponad czarną gładź oceanu.

**111**

**19**

Kolejny ruch skrzydeł wyprowadził mnie następne sto metrów w górę. Do Newport Beach było mniej więcej szesnaście kilometrów. Łądem, po wirażach Pacific Coast Highway, samochód pokonuje tę drogę w jakieś dwadzieścia minut. Ptak, który leci prosto jak strzełił, potrzebuje ich raptem kilka.

Olbrzymi wampir-nietoperz też leci prosto jak strzełił.

Wkrótce wpadłam w całkiem ciepły prąd powietrza, któremu dałam się porwać, aby lecieć niemalże bez wysiłku. W dole, daleko pode mną, ciągnęła się zygzakowata linia ciemnego wybrzeża, usiana światłami licznych rezydencji, jednych z najokazalszych, jakie można spotkać w hrabstwie Orange.

Pewnego wieczoru, przed sześcioma laty, wyszłam o zmierzchu, aby pobiegać sobie po lesistym parku Hillcrest w Fullerton. Trudno tam znaleźć porządną ścieżkę krajobrazową. Pora najprawdopodobniej nie była odpowiednia na jogging w lesie (w hrabstwie Orange nie ma innych lasów), ale ja byłam świetnie wyszkoloną funkcjonariuszką agencji federalnej

i miałam przy sobie broń.

## 112

Niczego nie zauważyłam. Nie ostrzegł mnie nawet żaden dźwięk.

Biegłam, rozglądając się uważnie, aby nie zaskoczył mnie jakiś podejrzany typ albo wystający z ziemi korzeń (w takiej właśnie kolejności), kiedy nagle jakaś siła oderwała mnie od ziemi i cisnęła mną o drzewo.

Byłam bliska utraty przytomności, ale wyczułam, że od tyłu podbiega do mnie jakieś szybkie stworzenie.

W saszetce na pasku miałam broń; chciałam ją wyciągnąć, ale w tym momencie to stworzenie mnie dopadło. Było silne i tchnęło od niego grozą.

Zanim ogarnęła mnie ciemność, uświadomiłam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze: umieram. Po drugie: ten, kto mnie napadł, nosił na szyi precyzyjnej roboty złoty medalion. Medalion wysadzany rubinami.

F

Wiatr obmywał moje ciało, które po przemianie przyjęło doskonale aerodynamiczny kształt. Nagle z bliżej nieokreślonego kierunku dobiegło buczenie syreny przeciwmgłowej. Nie miałam pojęcia, że w południowej Kalifornii są urządzenia przeciwmgłowe. O mgłę w tych rejonach także nie słyszałam.

Przechyliłam się lekko w prawo, opuszczając prawe ramię i unosząc lewe. Tuż przede mną, nieświadoma

## 113

mojej obecności, leciała mewa. Szybowałyśmy razem na północny wschód, trzymając się linii wybrzeża. Moja pierwsza myśl „tamtej” nocy była częściowo słuszna: w pewnym sensie naprawdę umarłam.

Umarłam i narodziłam się na nowo.

A złoty medalion, w wyniku szeregu niezwykłych wydarzeń, których wciąż jeszcze nie potrafię ogarnąć, trafił w moje ręce. Było to raptem przed sześcioma tygodniami.

Wampir z medalionem. Cóż za banał, pomyślałam, schodząc powoli w dół. Pode mną, niczym garście brokatu, migotały światła nad zatoką Newport oraz długie, rzęście oświetlone molo.

Ale przecież wampir, który mnie napadł, mógł dać początek takim banałom.

Do diabła, on mógł być nawet wcieleniem tego

stereotypu.

F

Znaleźli mnie dwaj inni miłośnicy joggingu. Jak dowiedziałam się później, zgłosili na policję, że w parku leżą zwłoki.

Ocknęłam się następnego dnia rano w szpitalu św. Judy w Fullerton, otoczona bliskimi, znajomymi oraz funkcjonariuszami z dochodzeniówki. Byli tam też śledcy federalni, czyli moi koledzy z pracy.

#### 114

Ranę miałam jedną, za to paskudną. Stworzenie, które mnie zaatakowało, brutalnie rozerwało mi szyję; udało mu się niemalże odseparować mięsień czworoboczny grzbietu.

Ta rana powinna być śmiertelna.

Nie było żadnych śladów gwałtu. Niczego mi nie ukradziono. Nawet broń była na miejscu, w saszetce. Straciłam też potworną ilość krwi, co udało się wyjaśnić jedynie w taki sposób, że musiał mnie pogryźć kojot, zwierzę często spotykane na północy hrabstwa Orange. Ubytek krwi był o tyle dziwny, że na miejscu zajścia nie znaleziono zbyt wiele jej śladów. W tym również dopatrzone się kojota łasego na moją hemoglobinę. A od kiedy to kojoty wolą krew od surowego mięsa?

Kojoty rzeczywiście wolą mięso, ale innego wyjaśnienia nie było. Owszem, zgłosiłam, że napastnik nosił złoty medalion i że rzucił mną o drzewo. Te zeznania nie zostały wzięte pod uwagę. Oczywiście moi znajomi z wydziału dochodzeniowego śmiali się, że pewnie pokąsał mnie wampir, ale te żarty szybko szły w zapomnienie.

W lokalnych gazetach ukazały się artykuły na mój temat, wywołując masowe łowy na kojoty. Samozwańczy łepiciele mocno przetrzebili populację tych zwierząt.

#### 115

Lekarze pracowali długie godziny i założyli setki szwów, aby załatać rany na mojej szyi i ramieniu. Obawiali się poważnego zakażenia i założyli mi sztywny aparat ortopedyczny na kark. Dwie doby później wyszłam ze szpitala.

Następnego dnia rano zauważyłam dwie rzeczy: swędzenie pod bandażami, które dręczyło mnie bez

przerwy od samego początku, zupełnie ustało, a wraz z nim przeszedł ból szyi.

Danny oglądał kreskówki z Anthonym, który miał wtedy dopiero dwa latka; Tammy była w szkole. Korzystając z okazji, zamknęłam się w łazience i zajrzałam pod bandaż.

To, co tam zobaczyłam, było dla mnie początkiem nowego życia.

Moja rana zagoiła się całkowicie. A to przecież było niemożliwe. To było wbrew naturze.

Siedziałam zamknięta w łazience, na brzegu wanny.

Kiedy Danny zapukał i zapytał, czy wszystko w porządku, odpowiedziałam, że tak. Skłamałam.

Coś było bardzo, bardzo nie w porządku.

Mój mąż nie odszedł, czekał pod samymi drzwiami, a ja słyszałam każdy jego oddech, jakby stał tuż obok mnie. Mogłam rozpoznać tak ciche odgłosy przez drzwi? Jak to było możliwe? A to – czyżby się właśnie podrapał? Kiedy w końcu odszedł, słyszałam kolejno każde szurnięcie stóp na wykładzinie.

Wyraźnie. Jakby stapał po podłodze z twardych desek.

Ogłupiała i struchlała z trwogi usiadłam w wannie i skuliłam się, podciągając kolana pod brodę.

F

Jeszcze tego samego dnia, gdy już wyszłam z łazienki, starannie ukrywając przed Dannym zagojoną ranę – i zastanawiając się, dlaczego coś mi każe unikać wystawiania się bezpośrednio na światło słoneczne – po raz pierwszy poczułam, że mój żołądek domaga się czerwonej cieczy.

Co się ze mną dzieje, do diabła?, myślałam.

**117**

**20**

Z lotu ptaka widać było wyraźnie, że posiadłość Jerry'ego Bluma jest jedną z największych w promieniu wielu kilometrów. A w takiej okolicy jak Newport Beach to już naprawdę coś.

Nie była to zwyczajna posiadłość, lecz ni mniej, ni więcej samodzielna wyspa, połączona mostem z wyspą Balboa.

Z wyspy na wyspę. Niezły czad.

Tak naprawdę Balboa to wcale nie jest wyspa, tylko długi półwysep pełen olbrzymich – przesadnie wręcz olbrzymich – rezydencji, modnych barów i restauracji.

Ale cóż, nazwa „długi półwysep Balboa”  
nie brzmi już tak samo.

Tak czy inaczej ci, którzy są zdania, że mieszkają  
na wyspie Balboa, bardzo się mylą.

Tak tylko mówię...

Inaczej sprawy się miały z panem Jerrym Blumem,  
który mieszkał na prawdziwej wyspie, całkowicie  
prywatnej, połączonej prywatnym mostem z południowym  
krańcem wyspy Balboa.

Minęło mnie kilka niedużych samolotów; jedne  
przemknęły górą, inne dołem. Nie obawiałam

### **118**

się wykrycia przez radar; stwór, który nie odbija się  
w lustrze, najprawdopodobniej nie odbija także fal  
radiowych. A gdyby nawet na ekranie radaru pojawił  
się olbrzymi namiar w kształcie nietoperza, to kontrola  
ruchu powietrznego naprawdę miałaby się nad  
czym zastanawiać.

I na jawie, i we śnie. A te sny byłyby koszarne.

Podkuliłam odrobinę ramiona, aby obniżyć lot nad  
prywatną wyspą Jerry’ego Bluma. Mknęłam po niebie,  
a wiatr bił we mnie bezlitosnymi podmuchami.

Cieniutka błona – gogle dla wampira – chroniła przed  
nimi moje oczy.

Nie wiem, z czyich rąk wyszło stworzenie, w które  
czasami się zamieniam, ale ten ktoś wykonał kawał  
naprawdę dobrej roboty. Porządnie wszystko  
przemysłał.

Nie wiem, kim był ten ktoś. Nie wiem, dlaczego  
zostałam stworzona. Nie wiem, skąd wzięła się ta  
czarna, latająca istota.

Wiedziałam jedno: muszę poznać odpowiedzi na  
te pytania.

Jeszcze przyjdzie taki dzień, pomyślałam.

Bo na razie trzeba było wziąć się do pracy.

Nawet wampir-nietoperz musi zarabiać na życie.

F

### **119**

Przelatując nad wyspą, wypatrzyłam sobie duże  
drzewo i przysiadłam na jednej z grubszych gałęzi.  
Z tego miejsca miałam dobry widok na tyły rezydencji  
i jej wschodnie skrzydło.

Czasami zastanawiam się, czy naprawdę umarłam  
tamtej nocy, przed sześcioma laty. Może tym właśnie

jest śmierć: urzeczywistnieniem koszmarnego snu, który żadną miarą nie może być prawdziwy? Może śmierć sama w sobie jest jak sen, pełna cudów i fantazji? Gruba gałąź zatrzeszczała, mocno obciążona. Jak mocno? Tego nie wiedziałam, ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że w tej postaci waży ponad dwieście dwadzieścia kilogramów.

Urosła nam dziewczynka.

Rozległa posiadłość była cicha i spokojna, chociaż wszędzie krążyli wartownicy w szortach i hawajskich koszulkach. Wysoki mur, zabezpieczony na szczycie drutem kolczastym, otaczał cały teren. Wszędzie widać było kamery, ale to mnie w ogóle nie obchodziło.

Po obu stronach głównej bramy stały dwa duże lincolny. Siedzieli w nich uzbrojeni goryle, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Na tyłach rezydencji, za ogrodzeniem, pobłyskiwały wody zatoki, a za nimi – światła Newport Beach. W ogrodzeniu była furтка, a za nią zaczynały się drewniane schody prowadzące do hangaru dla łodzi i mola. Obok hangaru cumował osiemnastometrowy jacht. Pokład był pusty, ale w kilku bulajach paliło się światło.

Tkwiałam na tej gałęzi w kompletnym bezruchu przez dobrych kilka godzin. Moje potężne, umięśnione nogi nie zdrętwiały, nie musiałam ani razu zmieniać pozycji. Mogłabym pewnie tak sterczeć przez całą noc, dopóki słońce nie wzejdzie albo gałąź się nie złamie; zależy, czego doczekałabym się najpierw.

Ale tej nocy w domu Jerry'ego Bluma panował spokój. Gospodarz wyjechał pewnie na jakiś kurs doskonalenia zawodowego: ćwiczenia ze ściągania haraczu albo mordowania ludzi. Gangsterstwo to sztuka, która wymaga nieustannej praktyki.

Jeszcze tutaj wrócę, pomyślałam, po czym zeskoczyłam z gałęzi, wzbijając się w powietrze.

**121**

**21**

Czekając, aż strażnik na obchodzie sobie pójdzie, okrążyłam swoją furgonetkę raz, a potem drugi. Kiedy w końcu się oddalił, wylądowałam bezszelestnie na skalistym urwisku. Złożyłam skrzydła. Jak zwykle grube, skórzaste błony zwisły bezwładnie aż do samej ziemi. Musiałam uważać, żeby na którąś nie nadeptać; już mi się to zdarzyło i trzeba



powiedzieć, że nie jest to najładniejszy widok na świecie. Kobieta-wampir potykająca się o własne skrzydła – taki obrazek nie nadaje się raczej na okładkę romantycznego horroru. Nigdzie na świecie tego nie kupią.

Słony wiatr smagał szczyt urwiska. Okiem duszy znów ujrzałam ten sam ogień co poprzednio. Tym razem w płomieniach nie było jednak potwora (oczywiście mój były mąż powiedziałby co innego). Na jego miejscu stała teraz naga kobieta.

Śliczna, niewysoka, o krągłych kształtach i długich czarnych włosach.

To była jedna z niewielu okazji, gdy miałam szansę zobaczyć własną twarz bez grubej tapety.

Rzecz jasna ta podobizna miała niewielkie rozmiary

**122**

i nadawała się najwyżej na komputerowy awatar, ale tak czy inaczej – to byłam ja i zawsze lubiałam się jej przyglądać.

Nie wyglądałam zresztą źle. Uważam, że Danny chyba zwariował. Pomyśleć tylko: mógł do końca życia mieć młodą żonę, która w ogóle się nie starzeje. Zapewne co jakieś dziesięć lat musielibyśmy się przeprowadzać i od nowa zawierać znajomości, a on musiałby pogodzić się z faktem, że mam lodowatą skórę i odżywiam się krwią, ale...

No dobrze, być może wcale nie jestem aż takim łakomym kąskiem, ale mimo wszystko uważam jednak, że dużo stracił.

Cholerny drań.

I kiedy tak patrzyłam na ten wizerunek siebie samej, stercząc na skraju urwiska niczym ożywiony gargulec z piekła rodem, ponownie przyszła mi do głowy pewna myśl, która już od około miesiąca nie dawała mi spokoju.

To było niesamowite, ale wciąż zależało mi na Dannym.

Owszem, ten człowiek zamienił moje życie w koszmar. Nie zapominajmy, że jeszcze do niedawna próbowaliśmy jakoś sobie radzić, a gdyby nie jego romans, wciąż byłabym przy nim. Bo zamierzałam przy nim pozostać do końca swoich dni.

A właściwie – do końca jego dni.

**123**

Ale on też zamienił się w potwora – cóż za ironia.  
Jednak chociaż mnie zdradzał, wcale się z tym zresztą  
nie kryjąc, i ranił mnie tak, jak nikt w całym życiu,  
to moje uczucia do tego łajdaka wciąż jeszcze nie  
zgasły.

Owszem, umiałam zrozumieć, dlaczego tak postąpił.  
Jestem wybrykiem natury, więc postanowił się  
wycofać. Ale czy musiał się przy tym tak nade mną  
pastwić? Czy naprawdę nie mógł okazać mi współczucia  
i miłości? Czy musiał przez cały czas być dla  
mnie taką świnia? A ja – czy często chciałam zrobić  
mu krzywdę?

Odpowiedź na te wszystkie pytania brzmiała: tak.  
Cztery razy tak.

Usiadłam na skraju klifu, wodząc wzrokiem po  
roztaczającej się u jego stóp plaży. Byłam sama: ani  
za mną, ani nigdzie dookoła nie było zupełnie nikogo.

W tej postaci słuch miałam fenomenalny.

Danny był ojcem moich dzieci. I choć bolało mnie  
to bardzo, musiałam jednak przyznać, że w tej konkretnej  
sytuacji wybrał najwłaściwsze rozwiązanie.

Ilu ojców odebrałoby dzieci takiej matce jak ja?

Prawdopodobnie wielu. Ilu mężów szukałoby ciepła  
w ramionach innej? Też pewnie wielu.

Mężczyzna, który zechciałby przejść przez to, co  
ja muszę przechodzić, byłby kimś nadzwyczajnym.

A Danny taki nie był.

Przyjrzałam się okiem duszy kobiecie otulonej  
płomieniem. Stała całkiem biernie, naga jak nowo narodzone  
dziecko, odwzajemniając moje spojrzenie.

Kochałam ją całym sercem. Życie rozdało jej słabe  
karty, ale ona ze wszystkich sił starała się radzić sobie  
jak najlepiej.

Po chwili zaczęłam się do niej zbliżać. Jej sylwetka  
rosła szybko, widziałam coraz więcej szczegółów.

Potem nagle kobieta z płomienia pomknęła mi na  
spotkanie, a ja – w mgnieniu oka znalazłam się sama  
na skraju urwiska, naga, zziębnięta i zalana łzami.

U moich stóp, w skłębionej ciemności, fale biły w kamienie,  
niestrudzenie ścierając je na piasek.

**125**

**22**

– Chyba się w niej zakochałem – oznajmił Chad.

Dochodziła czwarta rano. Staliśmy tuż za drzwiami

mojego pokoju. Chad miał za sobą piekielnie długą noc, coś mi jednak mówiło, że rozkoszował się każdą jej minutą.

– Dziękuję ci, Chad – powiedziałam. – Mam u ciebie dług wdzięczności.

– Ja nie żartuję – odparł. Był wysokim facetem, miał, lekko licząc, metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Kiedy się ledwie dobija metra sześćdziesięciu, prawie każdy wygląda jak słup telefoniczny. Z wyjątkiem, oczywiście, Toma Cruise’a.

– Ona w sobie coś ma – dodał Chad.

– Jest bezbronna i urocza – odparłam. – A ty jesteś mężczyzną. Rachunek jest prosty.

Rozmawialiśmy szeptem, bo Monica spała na moim łóżku, a poza tym dochodziła już czwarta rano, byliśmy w hotelu i nie mieliśmy perfidnych charakterów.

Chad obejrzał się na śpiącą dziewczynę. Podążyłam za jego wzrokiem. Schowana prawie cała pod kołdrą, była maleńka, podobna do dziecka. Drobne ciało w dużym łóżku.

## 126

– Jasne – zgodził się Chad – ale to jeszcze nie wszystko.

I umilkł. Znając go, wiedziałam, że nie przywykł do okazywania emocji. Trzeba go było zachęcić, jak większość facetów. A przynajmniej tych, którzy nie podpisywali się „Kieł”.

Zabrałam się więc do zachęcania.

– Czujesz przemożną potrzebę, aby ją chronić, pomagać jej. Aby ją uratować.

Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

– Zgadza się. Skąd wiedziałaś?

– Bo ja poczułam to samo – odparłam.

Chad skinął głową, oglądając się jeszcze raz na śpiącą Monicę.

– Jak można tak skatować człowieka?

– Różne sukinsyny chodzą po tym świecie.

Na to nie odpowiedział od razu. Kiedy pracowaliśmy razem, rozmów nie było wiele, ale milczenie nigdy nas nie krępowało. Wiedziałam, że Chad odzywa się tylko wtedy, gdy ma coś do powiedzenia. Każde jego słowo musiało być starannie przemyślane.

– Zabiję go – oświadczył – jeśli tylko spróbuje zbliżyć się do niej na mniej niż kilometr.

- To chyba miłość – uśmiechnęłam się. – A zostawiłam was samych na jak długo? Sześć godzin?
- Prawie przez cały czas gadaliśmy.
- To znaczy: ona mówiła, a ty słuchałeś.

### 127

Chad uśmiechnął się szeroko, nie odrywając wzroku od postaci przykrytej kołdrą.

- Coś w tym rodzaju – przyznał.
  - Uciekaj i prześpij się trochę, zakochany bez pamięci
  - poradziłam – bo zaraz się jej oświadczysz, chociaż śpi.
  - Trochę się wygłupiłem, co?
- Zamiast odpowiedzieć, wzruszyłam tylko ramionami.
- Pierwszy raz trafiło mnie coś takiego – mruknął.
  - To teraz już wiesz, co to jest miłość od pierwszego wejrzenia. Na razie.

Skinął głową i kazał dzwonić, kiedy tylko będę potrzebowała pomocy. Obiecałam mu to solennie, ale i tak trzeba go było praktycznie wygonić na korytarz. Po zamknięciu drzwi miałam ochotę sprawdzić przez wizjer, czy mój były kolega z pracy przypadkiem nie całuje progu, ale powstrzymałam się jednak.

Kiedy Monica spała, wyjęłam laptop, żeby jeszcze trochę popracować. Jeśli chodzi o szczegóły, szukałam informacji o godzinach odwiedzin w więzieniu stanowym dla mężczyzn w Chino, w hrabstwie San Bernardino, a potem weszłam na stronę kancelarii prawniczej swojego byłego męża – chyba głównie dlatego, że niedawno myślałam o tym sukinsynu.

Danny był typowym sędzią szpitalnym, czyli

### 128

adwokatem specjalizującym się w odszkodowaniach powypadkowych. Różnił na kasę firmy ubezpieczeniowe... zresztą różnił nie tylko firmy i nie tylko na kasę.

Wrzuciłam do wyszukiwarki nazwisko „Danny Moon”, żeby dowiedzieć się więcej o tym nadzwyczajnym prawniczym sędziu. Sieć była pełna wzmianek o nim; najczęściej chodziło o jakąś prowadzoną przez niego sprawę, która znalazła finał w sądzie. Bo trzeba wiedzieć, że Danny sądów nie lubił. Był leniwym sukinsynem, a w jego kancelarii zawsze robiło się wszystko, żeby tylko uniknąć rozprawy. Czasami jednak negocjacje brały w łeb i trzeba było iść do sądu. A Danny i jego firma musieli pracować jak prawdziwi

prawnicy. Trudno było z nim wtedy wytrzymać;  
wciąż zrzedził i marudził.

Biedny chłopczyk.

Następnie zajrzałam na jego profil na Facebooku.  
Na ogół w ogóle nie wchodzę na Facebooka – nie  
mam żadnych nowych zdjęć, które mogłabym tam  
wrzucić, prawda? Nie skasowałam jednak swojego  
konta, bo moja córka się tam udziela, a ja lubię wiedzieć,  
czym się zajmuje.

Nie, Danny i ja nie jesteśmy znajomymi na  
Facebooku.

Widać rozwód to wystarczający powód,  
aby usunąć kogoś z listy znajomych. Można chyba  
powiedzieć, że znajomość ze mną została unieważniona.  
Tak czy inaczej Danny miał publiczny status konta.  
Może nie orientował się w zawłościach facebookowej  
dyskrecji, a może w ogóle mu to wisiało.

A nie powinno.

Jego fotogaleria była absolutnie profesjonalna, idealna  
prezentacja szanowanego prawnika. Z jednym  
tylko wyjątkiem: znalazło się tam pewne bardzo nieprofesjonalne  
zdjęcie. Ktoś uwiecznił Danny'ego na  
impresji. Ale nie było to pierwsze lepsze party, tylko  
ni mniej, ni więcej wielkie otwarcie klubu ze striptizem  
w Riverside.

Co szanowany prawnik robił na otwarciu szemranej  
knajpy w Riverside?

Nie miałam pojęcia, ale postanowiłam, że muszę  
się dowiedzieć.

**130**

**23**

Do wschodu słońca pozostało już niewiele czasu.  
Czułam wyraźnie, że słabnę z każdą chwilą.  
Uprzedziłam Monicę o swojej „przypadłości”, to  
znaczy: powiedziałam jej, że cierpię na rzadką chorobę  
skóry, która nie pozwala mi wystawiać się na  
światło słoneczne. To, oczywiście, tłumaczyło dziwne  
godziny pracy. Monica obiecała, że w ciągu dnia  
nie będzie mi przeszkadzać i nie ruszy się sama dalej  
niż do drzwi. Kazałam się obudzić, gdyby czegoś  
potrzebowała, ale uprzedziłam, że niełatwo mnie  
wyrwać ze snu: najlepiej potrząsnąć, ale tak porządnie,  
z całej siły. Może nawet więcej niż jeden raz. Powiedziałam  
jej, że może robić, co chce, byle tylko nie

wychodziła z pokoju, nie odsłaniała okien i nikomu nie otwierała.

Zgodziła się na wszystko. Mogłam mieć tylko nadzieję, że dla własnego dobra dotrzyma obietnicy.

Moje ciało zaczęło odmawiać posłuszeństwa. I to w szybkim tempie. Czułam się bezbronna, bezwolna i wycieńczona. Jednakże nawet gdy byłam u kresu sił, nikt nie zdołałby mnie zabić – chyba że przebiłby mi serce kołkiem.

### **131**

Taka słodka, urocza istotka... Czemu ktoś miałby chcieć zrobić jej coś takiego?

Wampir jest nieśmiertelny, ale o tej godzinie, czyli tuż przed wschodem słońca, czuje się jak zwykły człowiek. (A propos: nie sypiam w trumnie. Wystarczy mi łóżko i ciemność, a do tego cisza i spokój).

Mój organizm wyłącza się etapami. Pierwszy z nich to faza osłabienia, która zaczyna się mniej więcej pół godziny przed wschodem słońca. Drugi etap następuje dziesięć minut przed ukazaniem się pierwszych promieni.

Zawsze przebiega brutalnie. Dopada mnie krańcowe wyczerpanie i przemożna senność. Staram się wtedy położyć, bo wiem, że za kilka minut będę nieprzytomna.

Natomiast w trzeciej fazie jest to już konieczność: muszę się położyć i zasnąć. Nie mam innego wyjścia.

Aktualnie byłam w połowie drugiej fazy. Słońce miało wzejść za kilka minut. I właśnie wtedy na monitorze laptopa otworzyło się okno komunikatora internetowego.

Hej, Luna, nie śpisz?

Nie śpię, ale zaraz zasnę.

Pierwsza faza czy druga?, chciał wiedzieć Kiel.

Druga. Prawie trzecia.

Więc mam tylko kilka minut.

Zgadza się.

### **132**

Miło mi, że czasami jestem ostatnią osobą, o której myślisz przed snem.

Już mi to kiedyś mówiłeś.

W drugiej fazie zapadania w sen wyrażam się zazwyczaj krótko i rzeczowo. Nie jestem w nastroju do flirtów. Znużenie nasila się z każdą chwilą. Uczucie jest takie, jakbym umierała.

Miło mi też, że mogę ci się wtedy przyśnić.

Rzadko miewam sny. A poza tym, o czym właściwie mam śnić? O literkach w okienku?

Długa chwila milczenia. Jeszcze trochę i będzie po zawodach. Czułam, jak ogarnia mnie otępienie. Jeśli Kieł szybko czegoś nie napisze, to resztką sił zdołam najwyżej wyłączyć komputer i doczołgać się do kanapy w pseudosalonie mojego hotelowego mieszkania.

Więc może powinniśmy się kiedyś spotkać. Co ty na to, Luna?

Teraz ja z kolei zamilkłam. Opadłam na oparcie fotela, mając dziwne uczucie, że coś chce się ze mnie wyrwać. Trudno było mi zgadnąć, czym jest to „coś”. Na pewno była to część mojej istoty. Możliwe, że dusza, o ile wciąż jeszcze ją miałam. Od utraty przytomności dzieliły mnie już tylko sekundy.

Przez wąską szparkę pomiędzy zasłonami dostrzegłam, jak promienie wschodzącego słońca rozjaśniają niebo.

Kieł, ty mówisz poważnie?

Tak.

Zabębniłam palcami po blacie biurka. Mój mózg zasnuł się mgłą, myśli poszły w rozsypkę.

Powiedziałeś: spotkać się?, zapytałam.

Tak. Idź już spać, Luna. Dobrej nocy, chociaż jest dzień.

Dobranoc, Kieł. Dobranoc i dzień dobry.

**134**

**24**

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytałam Monicę już chyba po raz dziesiąty.

Przytaknęła skinieniem głowy, ale widać było, że jest trochę wstrząśnięta. Trudno się dziwić. Znajdowałyśmy się w więzieniu dla mężczyzn w Chino.

W poczekalni razem z nami siedziało kilka osób.

Specjalnie prosiłam naczelnika zakładu o późną porę odwiedzin; zgodził się, podobnie jak sam zainteresowany, czyli więzień. To są właśnie przywileje, na które mogą liczyć pracownicy – nawet byli pracownicy – agencji federalnych.

Poczekalnia była urządzona zwyczajnie i mniejsza, niż się spodziewałam. Siedziałyśmy na plastikowych fotelikach pokrytych podpisami wydrapanymi przez członków różnych gangów. Trzeba mieć jaja,

żeby zostawić taki autograf w więziennej poczekalni. Monica na pierwszy rzut oka była zdezorientowana i bliska omdlenia; po raz kolejny zadałam sobie pytanie o sens ciągnięcia jej tutaj ze sobą. Oprócz Chada nie miałam do kogo zwrócić się o pomoc, a on akurat nie mógł dzisiaj z nią zostać. I kiedy zastanawiałam się na głos, czy nie zadzwonić do prywatnego

### 135

detektywa, którego ja i Kingsley poznaliśmy na plaży, Monica sama powiedziała, że czuje się na siłach, aby pojechać ze mną.

– Bo przecież zostanę w poczekalni, prawda? – zapytała. – Nie muszę go oglądać?

Tak więc teraz, gdy siedziałyśmy w tej poczekalni, wzięłam ją za rękę, zapominając na chwilę o swojej lodowatej skórze. Monica wzdrygnęła się, ale potem ścisnęła mocno moje palce.

– Przepraszam – powiedziałam. – Zawsze marzną mi dłonie.

– Mnie też. Nie przejmuj się. – Kolejny uścisk, tym razem mocniejszy. Spojrzała na mnie. – Co mi powiesz?

– Przekonam go, żeby zostawił cię w spokoju. Pokiwała głową, opuszczając wzrok. Nie chciałam wspominać, że następnym razem strażnicy mogą się nie zorientować, że jej były mąż próbuje znaleźć za murami więzienia kogoś, kto na nią napadnie. Jego rozmowy telefoniczne były nagrywane, ale ze światem zewnętrznym można się komunikować na różne sposoby.

– Jak chcesz go przekonać? – zapytała Monica.

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. – Będę grać na wyczucie.

– Wiesz, że trafisz na jego listę do odstrzału?

– Nie martwi mnie to.

Monica wciąż trzymała mnie za rękę. Jej dłoń drżała, zauważyłam to. Trzeba było jej nie zabierać... Jednak mogło jej to wyjść na dobre. Dostała szansę, aby stawić czoło swojemu strachowi.

W tym momencie grube drzwi wiodące w głąb więzienia otworzyły się i do poczekalni wszedł młody, poważnie wyglądający facet w mundurze strażnika.

– Pani Samantha Moon, proszę – powiedział.

Ścisnęłam jeszcze raz dłoń Moniki.



– Niedługo wrócę – obiecałam.

**137**

**25**

Ciężkie metalowe drzwi stały otworem. Ira Lang wszedł do rozmównicy, prowadzony przez eskortę. Były mąż Moniki był średniego wzrostu i miał około czterdziestu pięciu lat. Pomarańczowy kombinezon więzienny słabo na nim leżał: materiał zwisał z jego wąskich ramion, a nogawki łopotały w okolicach kostek. Wyglądało to jak sflaczały balon koloru dyni. Na głowie Langa były jeszcze resztki włosów, ale w odróżnieniu od mojego klienta, Stuarta Younga, nie miał idealnie kształtnej czaszki. Wprost przeciwnie, prawdę mówiąc. Jego głowa była nieforemna i dziwnie spłaszczona, a do tego żłobiły ją głębokie bruzdy biegnące od czoła aż na potylicę. Nie mogłam zrozumieć, co Monica widziała w tym facecie. Przez dzielącą nas grubą szybę z pleksiglasu obserwowałam, jak strażnik sadza więźnia na krzesło naprzeciwko mnie. Zauważyłam, że go nie rozkuł; kajdanki pozostały na miejscu, połączone długim, luźnym łańcuchem z pasem na biodrach. Lang miał akurat tyle swobody ruchów, aby podnieść leżącą przed nim czerwoną słuchawkę i przyłożyć ją do ucha. Zrobiłam to samo.

**138**

– Nie znam cię, kurwa – rozpoczął rozmowę skazaniec. Wiedziałam, że słucha nas naczelnik więzienia. Zgodził się na to spotkanie, bo był gotowy na wszystko, aby tylko pozbyć się problemu. Ira Lang, opętany szaleńczym pragnieniem zamordowania swojej żony, sprawiał zarządowi zakładu karnego nieliczne kłopoty.

– Nazywam się Samantha Moon. Jestem prywatnym detektywem. Zostałam wynajęta do ochrony twojej byłej żony.

– Do ochrony? Przed czym?

– Przed tobą.

Czasami mój szósty zmysł funduje mi olśnienia i teraz właśnie doznałam jednego z nich: dostrzegłam fale mroku bijące od Iry Langa. Ten człowiek wprost tchnął ciemnością. Był skażony, czułam to: coś krążyło wokół niego, coś żywego, coś nie z tego świata. I to coś trzymało go w swoich szponach. Czym było – nie miałam pojęcia. Zresztą mówię tylko o wrażeniu,

jakie odniosłam, o przeżyciu. Wyczułam coś, ale nie mogłam tego zobaczyć. Tak czy inaczej owo „coś” było czernią, prastarą czernią nabrzmiąłą jadem i nienawiścią. Uczepiło się psychiki Langa, zapuszczając swoje paranormalne pazury niezwykle głęboko. Czułam, że to on sam dopuścił do siebie tę mroczną energię, a drogę do opanowania jego jaźni otworzyło jej życie od urodzenia przepełnione strachem,

### **139**

pogardą i zawiścią. I byłam pewna, że to, co chwyciło go w kleszcze, stoczy walkę, jakiej świat nie widział, aby go z nich nie wypuścić. Będzie się trzymać, dopóki jego nosiciel nie wyda ostatniego tchnienia, a może nawet jeszcze dłużej, będzie go toczył niczym rak, najpaskudniejszy z możliwych.

To wszystko były chwile jasnowidzenia. Wrażenia. Intuicje. Często je miewam. Czasami rzeczywiście są istotne, innym razem okazują się stratą czasu. Nauczyłam się jednak, że należy ufać tym odczuciom.

Na wargi Langa wypełził kpiący uśmieszek.

A w głębi jego oczu przejrzał się przez moment jakiś prastary mrok. Nie miałam pewności, czy ten człowiek jest opętany, ale coś pożerało go od środka, coś obrzydliwego, obdarzonego własnym życiem.

– Jesteś z firmy ochroniarskiej, coś takiego? – zapytał.

– Coś takiego.

Zaśmiał się, ale ten śmiech był suchy, chrypliwy i martwy.

– Dobra, nieważne – skrzywił się. – Kto cię wynajął?

– Nie twój interes.

Ira Lang przestał się uśmiechać. W jego oczach znów mignął jakiś przelotny cień. Nie miałam pewności, czy mi się nie przywidział ani czy sama się przypadkiem nie oszukuję, ale z tym człowiekiem

### **140**

było coś nie tak. Działo się z nim coś złego. Ale potem chwila minęła, a on uśmiechnął się ponownie.

Uśmieszek, o dziwo, miał zabójczy. Cudne zęby. Zrozumiałam nareszcie, co mogła w nim widzieć Monica,

gdy go poznała, młoda dziewczyna, prosto z liceum.

– No, gadaj, kurwa, czego chcesz? – warknął Lang.

– Proszę, co za mistrz słowa – powiedziałam. –

Prawie poeta. Może rzuć tę obsesję na punkcie swojej

byłej żony i zajmij się więzienną twórczością, co?  
Mógłbyś wydać tomik wierszy, pod tytułem, na przykład...

*Kantyki zza krat. Albo Więzienne wersety.*

– Co ty pieprzysz?

– Sama nie wiem – przyznałam się. – To był taki mariaż poezji i pierdła. Improwizacja. Nie najgorsza, ale zdarzały mi się też lepsze.

Lang spojrział na trzymaną w dłoni słuchawkę takim wzrokiem, jakby chciał zapytać, czy się nie popsowała.

– Słuchaj, babo – odezwał się wreszcie. – Mów, czego chcesz, a jak nie, to spierdalaj.

– Ho, ho, ale mi przygadałeś – prychnęłam. –

Zgasił mnie zasraniec, który przez cały dzień nie ma nic lepszego do roboty niż bawić się własnym siusiakiem.

– Goń się, suko – warknął i zaczął się podnosić.

Wtedy powiedziałam:

– Masz się odczepić od Moniki.

#### 141

Było to, rzecz jasna, dość wygórowane żądanie, bo podejrzewałam, że Ira Lang od rana do wieczora – oprócz zabawy siusiakiem – zmaga się w myślach z natrętnym pytaniem: dlaczego jego żona nie chce umrzeć?

Usiadł z powrotem, powoli. Słuchawka w jego dłoni zmieniła ułożenie, a zaskakująco długie palce zacisnęły

się na niej mocno. Lang poruszał się niespiesznie i z ostentacyjnym rozmysłem, każdy gest sprawiał wrażenie wyćwiczonego. Starannie przyłożył słuchawkę do ucha i przez długą, bardzo długą chwilę patrzył na mnie bez słowa. To chyba miało napędzić mi stracha. Myślał pewnie, że cofnę się, przerażona albo chociaż odwrócę wzrok, przetykając nerwowo ślinę. Nie przełknęłam i dalej patrzyłam prosto na niego. Widziałam też wyraźnie, jak dokładnie notuje sobie w pamięci najdrobniejsze rysy mojej twarzy.

– Mam się odczepić od swojej żony? – powiedział spokojnym głosem do słuchawki, ani na chwilę nie odrywając ode mnie oczu.

– Byłej żony – poprawiłam. – Tak, zgadza się.

– A niby dlaczego?

– Bo ja tak mówię.

Najpierw go zamurowało, a potem zaśmiał się krótko. W słuchawce rozległo się głośnie parsknięcie.

Po chwili posypały się kolejne.

– Zabawna jesteś – powiedział.

#### **142**

– Jak chcę, to potrafię.

– I trzeba przyznać: masz jaja – dodał. – Nie bałaś się tu przyjść.

– To chyba najgorszy komplement, jaki kobieta może usłyszeć.

– Co?

– Nieważne. Jak więc będzie: zostawisz Monicę w spokoju?

Zamiast odpowiedzieć, znów zaczął mi się przyglądać.

Słyszałam, jak strażnicy, którzy wyszli na korytarz, rozmawiają ze sobą. Zostawili nas samych, bo było już po godzinach, a ja dostałam specjalną przepustkę na widzenie z więźniem. Na ścianie za moimi plecami tykał zegar. Z oddali dobiegł czyjś krzyk, możliwe jednak, że się przesłyszałam. Chociaż, z drugiej strony, miałam przecież ultraczuły zmysł słuchu.

– Za późno – odpowiedział Ira Lang, przekrzywiając lekko głowę.

– Na co?

– Nieważne. Rzuciła mnie, suka. To był błąd. Wyraźnie jej tego zabroniłem.

– Jak ona mogła? Przecież jesteś taki kochany.

– Właśnie. – Chyba nie dosłyszał. Albo usłyszał to, co chciał usłyszeć. – Dałem jej wszystko. Niewdzięczna suka, nie musiała nic robić, nie przepracowała nawet jednego dnia w życiu.

#### **143**

– Tak to już jest, że ludzie się rozstają. To się zdarza.

– U mnie to się nie zdarza.

Zaczął się nakrecać. Poznałam to po tym, że jego lekko zdeformowane czoło poczerwieniało, a dłoń zacisnęła się na słuchawce tak mocno, że kostki przypominały kręgosłup jakiegoś prehistorycznego szkieletu.

– Zrobię wszystko – wysapał – żeby ta suka zdechła.

Mnie się nie zostawia. Nigdy.

Zrozumiałam, że ta rozmowa prowadzi donikąd.

Szczerze mówiąc, spodziewałam się tego, ale sądziłam, że warto spróbować.

- Pozwolisz, że się nie zgodzę – powiedziałam, zbierając swoje rzeczy.
- Na co?
- Nie „na co”, ale „z czym”. Otóż Monica cię zostawiła i ja też cię teraz zostawię.
- Zapamiętam cię, ty pieprzona pindo.
- Nie posiadam się ze szczęścia.

Już miałam odłożyć słuchawkę, kiedy Lang dorzucił jeszcze kilka słów, być może na własną zgubę:

- Samantha Moon, prywatny detektyw i ochroniarz.

Już cię zapamiętałem, ale to nie wszystko.

Masz jeszcze bliskich i znajomych. A dzieci?

Z korytarza dobiegł odgłos oddalających się kroków.

Najwidoczniej ci, którzy śledzili naszą rozmowę,

#### **144**

uznali, że dalej nie muszą już słuchać. Zacerpnęłam głęboko powietrza i zamknęłam oczy, z całych sił starając się opanować.

Ale ten idiota jeszcze nie skończył. Gadał dalej:

- Aha, trafiłem w czuły punkt. Rozmawiam z mamusią.
- Czy ja dobrze słyszę? Grozisz moim dzieciom?
- Pojętna jesteś.

Otworzyłam oczy, ale zobaczyłam tylko czerwoną mgłę, a w jej oparach – niewyraźne zarysy człowieka za kuloodporną szybą. A potem usłyszałam dudnienie.

Głośne, głuche dudnienie. To dudniło mi w głowie.

Wiedziałam, że jest już pół godziny, a nawet czterdzieści minut po zachodzie słońca. Byłam w pełni sił.

Zbliżyłam twarz do rozdzielającej nas pleksiglasowej szyby i skinęłam na Langa, aby zrobił to samo. Skrzywił usta w zarozumiałym, pewnym siebie uśmiechu, a gdy się pochyłał, z jego martwych oczu wychynęło coś mrocznego, coś ohydnie zwyrodniałego.

- Chcesz mi może coś powiedzieć, głupia suko? – zapytał, gdy dzieliło nas od siebie zaledwie kilka centymetrów.
- Już pewnie żałujesz, że zadarłaś...

Walnęłam pięścią w kuloodporną szybę, wkładając w ten cios całą siłę. Ręka przeszła na wylot, a dookoła zagrzecgotał grad odłamków szkła, poliwęglanu czy jakiego tam jeszcze tworzywa.

Ta szyba mogła zatrzymać kulę, ale nie wampira.

Lang wrzasnął i upadłby na wznak, ale wetknęłam

rękę w wybitą dziurę i chwyciłam go za kołnierz.

Jednym ruchem poderwałam skurwiela z krzesła

i grzmotnęłam jego twarzą w przejrzystą tafelę. Nos złamał się pierwszy, od razu; krew bryznęła na szybę. Dwa albo trzy górne zęby, wybite, zniknęły w głębi ust. Wargi pękły, obie.

Szarpnął się, próbując wyrwać, ale ja jeszcze nie skończyłam.

Co to, to nie.

Dłoń zaciśniętą na kołnierzu jego kombinezonu zalała mi ciepła krew. Trzymając go mocno, raz po raz waliłam jego głową o szybę, wybijając kolejne zęby, łamiąc kości twarzy, czaszki – co tylko dało się rozwalić. I choć krew ściekała już po przezroczyściej tafli, nie przestałam, dopóki nie chwycili mnie od tyłu i nie obezwładnili.

**146**

**26**

Mało brakowało, a zabiłabym dziś człowieka.

Opowiedz mi o tym.

Na prośbę Kła opisałam więc całe zajście, zaczynając od pierwszego wrażenia, jakie zrobił na mnie Ira Lang, a kończąc na tym, jak wynieśli go na noszach. Wyszyły z tego trzy wielkie akapity, ale kiedy wysłałam ostatni, Kiel odpowiedział niemalże w jednej chwili. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak można tak szybko czytać.

Czy w rozmównicy były kamery?, zapytał.

Nie.

Więc to, co zrobiłaś, nie jest nigdzie nagrane?

O ile mi wiadomo, to nie.

Więzienia na ogół instalują monitoring w rozmównicach, prawda?

Nie zawsze. Naczelnik o tym decyduje.

I nie było żadnych świadków twojego... wybuchu?

Nie.

A kiedy przebiłaś gołą ręką kuloodporną szybę, to czy została na niej twoja krew?

Dobre pytanie. Skaleczyłam się, przesuwając dłoń przez dziurę w szybie, ale krwawienia raczej nie było,

**147**

w każdym razie niczego takiego nie zauważyłam. Tak właśnie wyjaśniłam to Kłowi.

To znaczy, że w ogóle nie krwawisz?

Możliwe, odpisałam. Przynajmniej nie z naczyń kończyn górnych.

Obejrzeni cię lekarze w więzieniu?

Chcieli, ale zawinęłam rękę w sweter, a ponieważ nie było krwi, uznali pewnie, że nie wymagam pomocy medycznej. A tamtemu potrzebna była pomoc, i to pewnie pilna?

Naczelnik więzienia, z którym po całym zajściu odbyłam długą rozmowę, przekazał mi wynik oględzin: złamana żuchwa, nos, pęknięty prawy oczodół, kość zatoki i siedem wybitych zębów. W sumie – wielogodzinna operacja i mnóstwo szwów w okolicy ust.

Powtórzyłam to wszystko Kłowi.

Zapadła długa cisza. Obejrzałam się na Monicę, która spała sobie w najlepsze na moim łóżku, obrócona na bok. Miała za sobą długą i pełną emocji noc, to chyba oczywiste. Pojechała do więzienia, w którym siedział jej były mąż i oprawca. Czekala niecierpliwie, podczas gdy ja opisywałam całe zajście naczelnikowi. Chwytała strzępki informacji uronione przez personel i, jak powiedziała mi później, nie mogła uwierzyć własnym uszom: pobiłam sukinsyna tak, że trafił do szpitala, a mało brakowało, żeby w ogóle nie

**148**

przeżył. W drodze powrotnej nie spuszczała ze mnie wzroku, a w pewnym momencie wzięła mnie za rękę i mocno ścisnęła. Nie interesowało jej, w jaki sposób zdołałam przebić kuloodporną szybę ani skąd wzięłam siłę, żeby złapać dorosłego faceta za łeb i walić nim o tę szybę. Po prostu trzymała mnie za rękę i patrzyła.

A ja nie cofałam dłoni przez długi czas, dopóki nie przypomniałam sobie, jaka jest zimna, i nie uwolniłam się delikatnie. Widziałam na jej twarzy łzy, ale Monica jakoś nie robiła wielkiej afery z tego, że płyną. Nie wiedziałam dokładnie, co tak oplakuje, ale to musiała być dla niej noc wielkich emocji.

Nie wspominałam już, że jej podły były groził moim dzieciom. Miała dość przeżyć jak na jeden wieczór.

A co powiedział naczelnik?, chciał wiedzieć Kiel.

Zapytał, dlaczego nie zabiłam gnoja.

Żartował?

Nie sędzę.

I co mu odpowiedziałas?

Że trzeba było powstrzymać strażników jeszcze przez kilka sekund.

Jezu... Pytał o coś jeszcze?

Tak. W jaki sposób przebiłam kuloodporną szybę.  
I co powiedziałaś?  
Że jestem wampirem i jeśli dalej będzie tak drażył,  
to wypiję z niego całą krrrrrew. [tutaj wstawić portret  
Beli Lugosiego w najbardziej kiczowatej roli].

**149**

Luna, tutaj nie ma się z czego śmiać. To, co zrobiłaś,  
było bardzo ryzykowne. I będzie miało konsekwencje prawne.  
Lang może wnieść oskarżenie. Zacznie się śledztwo.  
Może tak, a może nie, odpisałam.

Jak to?

Naczelnik słyszał, jak Lang mi groził.

To były tylko groźby.

Ze strony znanego władzom mordercy. Człowieka,  
o którym wiadomo, że nie cofnie się przed niczym, aby  
spełnić swoją groźbę.

W jego wypadku to nie są zwykłe groźby.

Zgadza się, przytaknęłam.

Jeśli Lang wnieśli skargę, prokurator okręgowy może  
odstąpić od oskarżenia.

Właśnie.

Co tak naprawdę powiedziałaś naczelnikowi, kiedy  
zapytał, jak przebiłaś szybę?

Przypomniałam mu te różne historie o matkach,  
które podnoszą samochody, żeby wyciągnąć spod nich  
przygniecione dzieci i tak dalej.

I on to łyknął?

Chyba nie. Sam był w szoku, tak jak wszyscy.

Czyli koniec sprawy?, zapytał Kiel.

Nie. Lang wyraził się jasno: nie spocznie, dopóki jego  
żona żyje.

Kiedy odpisał, zobaczyłam oczami duszy, jak kiwa  
potakująco głową.

Nie wspominając już o tym, że może próbować spełnić  
groźbę wobec ciebie i twoich dzieci.

Otóż to.

Więc jaki masz plan?

Skoro zaklinał się, że nie spocznie, dopóki nie wykończy  
swojej żony, a teraz być może też mnie i moich  
dzieci, to wydaje mi się, że jest tylko jedno wyjście.

Nie chcę tego słyszeć.

Mimo to dokończyłam myśl:

Być może to ja powinnam odesłać go na spoczynek.

**151**



Podwórce za moim starym domem przylega do parkingu sklepu samochodowego sieci Pep Boys.

Mówiąc „stary dom”, mam na myśli miejsce, gdzie jeszcze przed miesiącem mieszkałam razem z dziećmi i mężem. Dom, z którego jakimś dziwnym trafem zostałam wyrzucona, chociaż to nie ja, tylko mój mąż dopuścił się zdrady.

Dom stoi na samym końcu ślepej ulicy, więc nasze podwórko jest wyjątkowo duże i ma dość dziwaczny kształt. Przewyższa rozmiarami boisko małej ligi baseballowej,

co zawsze podoba się dzieciom i świetnie się sprawdza podczas przyjęć.

Za naszym ogrodzeniem zaczyna się już tamten parking. Fasadę sklepu zdobi ogromny, podświetlany znak firmowy, czyli podobizny założycieli interesu: Manny, Moe i Jack szczerzą zęby w szerokim uśmiechu kochających inaczej. Nie znoszę tego cholernego znaku. Jakie to szczęście, że po zamknięciu sklepu go wyłączają.

Było już dobrze po godzinach, więc w sklepie nie paliły się żadne światła. Dzięki Bogu, westchnęłam w myśli. Manny, Moe i Jack poszli spać. Pewnie do

## 152

jednego łóżeczka. Na łyżeczkę. Chad, mój kolega ze starej pracy, zgodził się (zresztą z wielką radością) posiedzieć z Monicą. Miałam nadzieję, że da jej spać. I że zamiast z nią siedzieć, nie będzie leżał. Oby tylko nie wystraszył dziewczyny. To był świetny facet, chociaż, trzeba przyznać, trochę spragniony uczucia.

Jak my wszyscy, pomyślałam.

Wspięłam się na ogrodzenie i przysiadłam na szczycie, machając nogami. Przeskoczyłam wzrokiem wielką, pustą przestrzeń podwórka, kierując go w stronę domu, tam, gdzie spały moje dzieci.

Bo o tej porze powinny już spać, ale migoczący blask w jednym z okien oznaczał, że Tammy łamie zasadę określającą porę snu – był dzień powszedni, więc rano musiała wstać do szkoły. Od czasu do czasu było słyhać jej chochot. Ja w każdym razie go słyszałam: starała się śmiać cicho, być może zasłaniała usta poduszką, ale wyrywało jej się czasem jakieś parsknięcie.

Najbardziej niezwykle, wręcz niewiarygodne, było

to, że moja córka śmiała się z dowcipów Jaya Leno. Nawet z takiej odległości słyszałam wyraźnie jego nosowy śmiech i głos o niespotykanej wręcz skali, głos, który potrzebował kilku zaledwie słów, aby z wysokich tonów zeskokczyć na sam dół.

Jay Leno? Poważnie?

A od kiedy to moja córka, raptem dziesięciolatka, ogląda jego program? I od kiedy to Leno jest taki

**153**

zabawny, żeby się z niego głośno śmiać? Czasem, jasne, wywoła lekki uśmiech, ale żeby szczerze się śmiać?

Z drugiej strony domu dobiegało ciche pochrapywanie Danny'ego. Nigdy mi nie przeszkadzało, że mój mąż chrapie, bo mam mocny sen. Śpię jak zabita, można by powiedzieć. Tylko że oprócz tego chrapania było słycać coś jeszcze. Jakiś inny dźwięk, świszczący oddech, jakby ktoś wciągał powietrze przez lekko przytkany nos. Temu oddechowi wtórowały sporadyczne pomruki. Damskie pomruki.

Ogarnęła mnie rozpacz. Nowa kobieta mojego męża śpi z nim w naszym łóżku. A to skurwiel. Pewnie leżą sobie razem, nago, zaplątani w siebie, tulą się czule, pieścizotliwie. I tak całą noc.

Jeszcze nie dalej jak przed miesiącem kładłam się w tym samym łóżku, chociaż Danny już od dawna nie sypiał nago i bardzo uważał, aby mnie przypadkiem nie dotknąć.

Skurwiel.

Długo, bardzo długo wpatrywałam się w okno mojej dawnej sypialni, a potem wysiłkiem woli zmusiłam się do wyszukania innego dźwięku i wkrótce go znalazłam: znów było to cichutkie pochrapywanie, ale tym razem w wykonaniu małego chłopca. Anthony spał sobie w najlepsze; uśmiechnęłam się przez łzy, które płynęły mi po twarzy.

Przez parking u Pep Boys przeciągnął lekki wiatr, przynosząc woń starego oleju samochodowego, świeżego oleju samochodowego i każdego innego rodzaju oleju, jaki tylko istnieje. Gdy się mieszka w takim miejscu, można się przyzwycząić do zapachu oleju samochodowego.

Położyłam splecione dłonie na kolanach i zwiesiłam głowę, wsłuchana w szum wiatru, pochrapywanie

mojego syna i niewinny śmiech mojej córki.  
Siedziałam tak, aż wreszcie śmiech Tammy ustąpił  
miejsca głębokim oddechom świadczącym o tym, że  
ją też zmorzył sen.

Wyciągnęłam komórkę i wysłałam SMSa: *Smutno  
mi.*

Minutę później Kingsley Fulcrum odpowiedział:  
*To wpadnij do mnie.*

*Dobra*, napisałam. I pojechałam prosto do niego.

**155**

**28**

Skręciłam w Bastanchury Boulevard, kierując się na  
wschód. Kręta ulica prowadziła wśród olbrzymich  
domów i trawników rozległych jak boiska, słowem:  
wśród najlepszych rezydencji, jakie można znaleźć  
w hrabstwie Orange.

Minęła już północ, a niebo było bezchmurne. Połyskiwało  
na nim słabiutko i żałośnie sześć gwiazdek,  
którym jakimś sposobem udało się przebić przez kalifornijski  
smog. Najjaśniej błyszczał chyba Mars, tak  
przynajmniej mówił mi kiedyś chłopak na randce,  
jeszcze na studiach. Pewnie po prostu chciał zrobić  
wrażenie, żeby zaciągnąć mnie do łóżka.

A propos wrażenia: Kingsley Fulcrum był najprawdziwszym  
wilkołakiem. Tak mi przynajmniej  
mówił. Może też chciał zaciągnąć mnie do łóżka.

Widziałam, oczywiście, dowody jego likantropii pod  
postacią bujnego uwłosienia, które trzymało się skóry  
jeszcze wieczorem drugiego dnia po przemianie; widziałam,  
więc mu wierzę, wielkiemu dzikusowi. Tyle  
że Kingsley to grzeczny wilczek. Kiedy nadchodzi pełnia,  
zamyka się w specjalnej piwnicy, gdzie urządził sobie,  
jak to nazywa, „schron”, i tam czeka na przemianę.

**156**

Mieszkańcy tej ekskluzywnej okolicy hrabstwa  
Orange powinni się cieszyć. W końcu nie byłoby najlepiej,  
gdyby nagle straszliwy wilkołak zaczął polować  
na tutejsze udoskonalone skalpelem „gotowe na  
wszystko” panie domu. Od razu tutejsze tereny straciłyby  
na popularności.

A może właśnie wprost przeciwnie? Może by zyskały?

Przynajmniej dopóki w tym perwersyjnym serialu  
nie zabrakłoby gwiazd.

Gwiazd?

Nie bądź złośliwa, skarciłam się w myśli.  
Bulwarem Bastanchury zawsze miło się jeździ,  
lecz ostatnio ta droga nabrała dla mnie szczególnego  
uroku, bo prowadziła do atletycznie zbudowanego  
wilkołaka. Skręciłam w lewo, wjeżdżając na długi,  
kręty podjazd wysypany pokruszonymi muszlami,  
a potem minęłam żywopłot, który rozpaczliwie domagał  
się strzyżenia, chociaż, rzecz jasna, mogło też  
być tak, że Kingsley celowo go zapuszczał, bo zależało  
mu na wywołaniu dreszczy u patrzącego. A może  
po prostu nie życzył sobie, żeby jego dom wyglądał  
zachęcająco. Moim zdaniem i jedno, i drugie było  
jego celem.

Wkrótce stanęłam przed dużą, pełną zakamarków  
rezydencją na północnych obrzeżach hrabstwa  
Orange. Zbudowana w stylu neokolonialnym, miała  
potężną bryłę centralną podpartą z obu stron niższymi  
dobudówkami, a pokoiów było tam tyle, że Kingsley  
nie wiedział, co z nimi robić.

Zaparkowałam pod wejściowym portykiem, w kręgu  
żółtego światła. Pod takim domem moja furgonetka  
wyglądała zupełnie niestosownie. Do diabła, ja sama  
też tak wyglądałam.

Dzwonek do drzwi odezwał się gongiem tak głośnym,  
że betonowa podłoga pod moimi stopami aż  
zawibrowała. Chwilę później otworzyła mi postać  
o wyjątkowo niezwykłym wyglądzie. Był to Franklin,  
kamerdyner Kingsleya Fulcruma. Tak właśnie: kamerdyner.  
Wiem, wiem, ja też myślałam, że ta instytucja  
to już przeżytek, lecz widocznie najzamożniejsi  
wciąż jeszcze korzystają z ich usług.

Fajna sprawa.

Natomiast o samym Franklinie nie można było powiedzieć,  
że jest „fajny”. Miał w sobie coś zdecydowanie  
dziwnego. Pierwsza rzecz: lewe ucho znacznie  
większe od prawego. Zresztą nie tylko większe, ale też  
jakby w ogóle... od innego kompletu. To czysty obłąd  
tak myśleć, ale nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że  
to ucho należy do innego człowieka. Najdziwniejsza  
jednak była paskudna blizna, zaczynająca się w okolicy  
gardła i sięgająca aż na potylicę. Byłam pewna, że  
biegnie dookoła jego szyi.

Instynkt podpowiadał mi, że mam przed oczami  
coś niesamowitego, zupełnie niewiarygodnego.

## 158

Kamerdyner Kingsleya Fulcruma był wysoki i barczysty; coś mi też mówiło, że jego oficjalny strój skrywa niepospolitą siłę. Spojrzał na mnie, mrużąc oczy osadzone nad krogulczym nosem, po czym skinął głową i oznajmił, że zaprowadzi mnie do oranżerii. Nie zapytałam, czy zostanę tam poczęstowana oranżadą. Tym razem mu się upiekło. Następny może być już bardziej pechowy. Jeszcze jedno: Franklin mówił z akcentem, na moje ucho – angielskim, choć możliwe, że był to akcent australijski. Nigdy nie umiem powiedzieć, który jest który. Stawiałam jednak na angielski.

Kamerdyner ruszył przodem. Krok miał sprężysty, choć nogi stawiał w dość osobliwy sposób. Weszliśmy do oranżerii, gdzie zamiast butelki oranżady czekał na mnie wielkolud o dzikim wyglądzie, który na mój widok zerwał się z gigantycznego fotela. Trzymał w dłoni lampkę białego wina; nie mam pojęcia, jakim cudem udało mu się nie rozlać ani kropelki. Przybiegł do mnie w podskokach, rozradowany jak szczeniaczek; już myślałam, że skoczy na mnie i zacznie lizać po twarzy. Nie zrobił tego – i dobrze, boby mnie zmiażdżył. Odstawił wino na elegancki stolik i objął mnie. Uścisk miał iście niedźwiedzi; coś trzasnęło mi w kręgosłupie. Potem posadził mnie na sofie, gdzie czekał już kieliszek pełen wina. Po drodze zabrał swój, który wcześniej odstawił.

## 159

Franklin dyskretnie czekał na progu, prężąc swoją wychudłą postać. Kiedy Kingsley go odprawił, skłonił lekko głowę. Zapewne miał to być gest pełen godności, ale wyszło z tego raczej spazmatyczne szarpnięcie, jakby właściciel tej głowy nie był w stanie nad nią do końca zapanować.

Jakoś wcale się nie dziwię, pomyślałam.

Gdy kamerdyner zniknął za drzwiami, spojrzałam na Kingsleya.

– Opowiesz mi kiedyś o tym Franklinie?

Adwokat przypatrywał mi się spod opuszczonych powiek, a powietrze dookoła niego nagle aż zafalowało od gorąca. Jego bursztynowe oczy zapłonęły żółtym ogniem; wyglądał wypisz, wymaluj jak straszycło z leśnych ostępów, prześladowające mnie w snach.

– Może kiedyś – odpowiedział po chwili ochryłym, niskim głosem.

– Miał wypadek? – pytałam dalej. Nagle, nie wiedzieć czemu, poczułam się nieswojo. Sięgnęłam szybko po swój kieliszek i wypłam łyk wina, mając pełną świadomość tego, że jestem pod baczną obserwacją.

– Owszem, niektóre części jego ciała ucierpiały w wypadku – odparł Kingsley, biorąc w palce kosmyk moich włosów leżących na ramieniu. Zaczął bawić się nimi delikatnie, rozcierając pomiędzy olbrzymim kciukiem a równie wielkim palcem wskazującym.

### **160**

Przełknęłam kolejny łyk wina, żałując jak jasna cholera, że alkohol na mnie nie działa i nie mogę się porządnie wstawić.

– Niektóre części ucierpiały? – powtórzyłam.

Niespodziewanie ogarnął mnie silny niepokój, jakiego już od dawna nie czułam. – Co to ma znaczyć?

– To znaczy... Kiedy indziej ci o tym opowiem.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. – Przysunął się bliżej, zawisł nade mną. Jego rozpalony oddech parzył moje odsłonięte ramię. Czułam na sobie jego wzrok. Ten mężczyzna buzował od seksualnego napięcia, które mnie przyciągało, oplątując jak gęsta sieć.

Nie przyjechałam tutaj na szybki numerek. Ani też na wolny. Prawdę mówiąc, od miesiąca nawet się nie całowałam z Kingsleyem, no, może raz albo dwa. Teraz jednak poczułam nagłą ciekawość: jak by to było zrobić z nim coś więcej? Do ciekawości szybko dołączyło podniecenie. I strach, przeraźliwy strach.

Ale...

– Chyba nie jestem jeszcze gotowa – powiedziałam, unikając jego wzroku. Tych wspaniałych, olbrzymich oczu koloru bursztynu, które tak uwielbiałam.

– Drżysz – zauważył.

– A ty dyszysz – odcięłam się. – Prosto na mnie.

Kątem oka zauważyłam, że się uśmiechnął. Wciąż bawił się przy tym moimi włosami.

### **161**

– Kiedy po raz ostatni dotykał cię mężczyzna? – zapytał niespodziewanie.

– Mężczyzna? A co to takiego? Aha, jest taki stwór, coś kiedyś słyszałam...

Kingsley uśmiechnął się szerzej.

– Kiedy po raz ostatni kochałaś się z mężczyzną?

– Czy to nie jest trochę zbyt osobiste pytanie?

Wybuchnął tubalnym śmiechem, tak niespodziewanym i głośnym, że aż podskoczyłam.

– To, że znamy swoje nadprzyrodzone tajemnice, chyba też jest osobiste? – odparował.

– Proszę mi nie wstawiać swojej oszukańczej prawniczej gadki, mecenasie Fulcrum. Krępuję się rozmawiać na ten temat i już.

– Wycofuję pytanie. Było nie na miejscu.

Nie cofnął jednak ręki, nie wypuścił z palców moich włosów. Nie przestał się we mnie wpatrywać, ale wyczułam, że gorąco, które biło od niego falami rozpalonymi jak wybuchy na Słońcu, przygasło odrobinę.

Oddech też był już równiejszy, mniej urywany.

Odstawiłam swój kieliszek i zwinęłam się w kłębek

u boku adwokata, obejmując go ciasno w pasie.

Kingsley otulił mnie swoją ciężką łapą i delikatnie pocałował w czubek głowy.

Dwadzieścia minut później, gdy zdążyłam się już poczuć wygodnie i bezpiecznie, powiedziałam:

– Sześć lat.

– Co sześć lat? – mruknął półprzytomnym głosem.

Chyba zaczął przysypiać.

– Sześć lat temu – powtórzyłam.

Z początku milczał, ale potem usłyszałam, że jego puls przyspieszył.

– Za długo – szepnął po chwili.

Przytaknęłam skinieniem głowy i odetchnęłam głęboko, chociaż taka ilość powietrza była mi w zasadzie do niczego niepotrzebna.

Kingsley łagodnym ruchem odsunął mnie na bok i wstał z sofy. Kolana strzeły mu głośno.

– Chodź. – Wyciągnął do mnie rękę. – Jestem wykończony.

Pogadamy w łóżku.

– W łóżku?

– Tak.

Zaprotestowałam – a w każdym razie próbowałam zaprotestować – ale on już mnie złapał za nadgarstek i pociągnął za sobą, w głąb swojej rezydencji, schodami w górę – do sypialni i do łóżka.

A to napalony skurczybyk.

Wylądowaliśmy w sypialni.

Nie zdjęłam ani dżinsów, ani koszulki. Kingsley miał na sobie tylko czarne gimnastyczne szorty. Leżeliśmy na kołdrze: on z dłońmi pod głową, błędząc wzrokiem po suficie, ja na boku, podpierając skroń ręką i obserwując go. W mroku nocy widziałam jego postać wyraźnie, choć nie bez zakłóceń; znaczy to, że moja zdolność widzenia w ciemnościach miała pewne ograniczenia. Drobiniki światła wirowały w powietrzu jak płatki śniegu w blasku samochodowych reflektorów. Byłam do nich przyzwyczajona. Przestałam je wręcz zauważać.

Kingsley był facetem o groźnym, dzikim wyglądzie. Jego nabite mięśniami ciało nie było w niczym podobne do tego, co się widuje w magazynach dla kulturystów. Rzeźba – minimalna, po prostu góra mięśni. Mógł mieć parę kilo nadwagi, co go bynajmniej nie szpeciło. Wręcz przeciwnie: prezentował się doskonale. Prawdę mówiąc, miałam nieodparte wrażenie, że gdyby ważył dokładnie tyle, ile powinien, wyglądałby mizernie. Jego pierś i brzuch, który nie był idealnie płaski i wcale być nie musiał,

#### 164

porastały włosy. Nigdy nie przepadałam za owłosionymi facetami, ale u kogoś takiego jak on było to zupełnie naturalne.

– Mówisz to wszystkim dziewczynom, które do siebie zapraszasz? – przerwałam wreszcie milczenie.

– Niby co?

– „Jestem zmęczony, pogadamy w łóżku”.

– Nie – odparł – ale, jak widać, to niezły tekst.

Muszę go sobie zapamiętać.

– Palant. – Klepnęłam go otwartą dłonią w nagą pierś. Wrażenie było takie, jakbym trąciła tuszę wołową.

– Naprawdę to już sześć lat? – zapytał.

– Tak.

– Kto o tym zdecydował? Ty czy Danny?

– Danny, ale ja też jakby straciłam zapal w tym kierunku i już nigdy go nie odzyskałam. Ale gdyby chciał się ze mną kochać, to zrobiłabym dla niego wszystko. Co moje, to i jego, tak zawsze myślałam.

– Ale on nie dążył do tego.

– Nie.



– A czy w ogóle cię dotykał po tym, jak to się stało?

– Nie w ten sposób.

Powiedziałam Kingsleyowi, że zdarzały się nam momenty bliskości. Czasami namiętnie się całowaliśmy, bywało też, że seks był o krok, ale on wtedy zawsze się wycofywał. Dostawał dreszczy, a raz czy dwa nawet zwymiotował.

### 165

– Zwymiotował?

– Tak – potwierdziłam. – Niezbyt miły finał gorącego pocałunku z własnym mężem.

– Przykro mi.

– Mnie też.

Przez jakiś czas leżeliśmy w milczeniu. Kingsley nie zamknął oczu, wciąż błędził wzrokiem po suficie. Jego miarowo falująca pierś przypominała mi silnik potężnej ciężarówki pracujący na jałowym biegu.

– Więc seks w ogóle przestał cię interesować? – zapytał wreszcie.

– Nie myślę o sobie w kategoriach seksualnych – odpowiedziałam. – Jeśli mam być szczerą, uważam siebie za potwora. A seks nie jest dla potworów.

– Kiedy ostatni raz miałaś orgazm?

Byliśmy sami, w środku nocy, leżeliśmy w łóżku.

Rozmawialiśmy niemalże szeptem. Kiedy usłyszałam to pytanie, moja wrodzona potrzeba dyskrecji dała znać o sobie delikatnym ukłuciem. To była jednak dorosła rozmowa, a pytanie nie wydawało się nieuzasadnione, co najwyżej zbyt osobiste.

– Patrz wyżej – odpowiedziałam, chociaż wcale nie musiałam tego robić.

– Sześć lat? – upewnił się.

Skinęłam głową bez słowa. Wiedziałałam, że Kingsley widzi mnie w ciemności. Na pewno zauważył ten gest albo go wyczuł.

### 166

– Cholernie długo – mruknął. – Brakuje ci tego?

– Nie myślę o takich rzeczach. Jeśli mam być całkiem szczerą, to brak orgazmu jest na samym końcu listy moich zmartwień. Poza tym i tak chyba już nie jestem do tego zdolna.

– Skąd wiesz? Próbowowałaś?

Poczułam, że oblewam się rumieńcem. Wampir, który się czerwieni! Dobrze sobie. Ale co odpowiedzieć

na takie pytanie? Nigdy nie rozmawiam o swoim życiu seksualnym. Z nikim, nawet z siostrą, jedną z nielicznych osób znających mój supertajny sekret.

– Nie – powiedziałam szczerze. – Nie próbowałam.

– Nie próbowałaś czy nie chciałaś?

– Nie chciałam nawet próbować.

– Bo uważasz się za potwora. A seks, orgazm i w ogóle normalne, prawdziwe życie – to wszystko jest nie dla potworów.

Nie odpowiedziałam, bo co miałam powiedzieć?

Byłam całkowicie pewna, że w tych sprawach jestem zimna jak nieboszczyk.

Kingsley odwrócił się na bok, spojrzał prosto na mnie.

– Sprawa wygląda tak: od lat karzesz się za coś, co wydarzyło się nie z twojej winy.

– Nie karzę się – zaprzeczyłam. – Próbuję sobie radzić najlepiej jak umiem. Poza tym nie czuję

### **167**

się atrakcyjna, tylko zimna i odrażająca. Czy jest na świecie facet, który chciałby mnie w ogóle dotknąć? Kingsley, jakby w odpowiedzi na to pytanie, położył dłoń na moim lewym biodrze, które zniknęło pod nią niemalże w całości. Był z niego naprawdę kawał chłopa. A potem zrobił coś, czego nawet ja się nie spodziewałam: obrócił mnie delikatnie na plecy i wsunął dłoń pomiędzy moje uda, rozsuwając je lekko. Nawet przez dzinsy czułam, jak niesamowicie gorąca jest jego ręka.

Chwyciłam go za nadgarstek.

– Nie jestem gotowa na seks – oznajmiłam. –

Możliwe, że nigdy nie będę gotowa.

– A kto powiedział, że to ma być seks? – Mrugnął do mnie okiem.

– To co w takim razie robisz?

– Sprawdzam, czy naprawdę jesteś taka zimna. –

Przesunął gorącą dłońią po wewnętrznej stronie mojego uda.

– Wydaje mi się, że powinieneś przestać.

– Wydaje ci się? – odpowiedział cichym, nagle jakby lekko schrypniętym głosem, a jego dłoń wędrowała coraz wyżej po moim udzie. Westchnęłam głęboko, a on w tej chwili uśmiechnął się ponownie.

Drobinki światła tańczyły dookoła niego szalonymi

zygzakami. Jak ómy na haju.

– Proszę... – szepnęłam.

**168**

– O co? – zapytał i łagodnym ruchem wsunął palce głęboko pomiędzy moje nogi. Złapałam go za rękę, próbując ją odepchnąć – co prawda bez wielkiego przekonania – ale ona ani drgnęła. Ściskałam ją jednak dalej, nie puszczając nawet wtedy, gdy gruby środkowy palec poruszył się, delikatnie pocierając dzinsową tkaninę. Nie miałam pojęcia, czy drań wiedział, czego dotyka, ale tak czy inaczej trafił w dziesiątkę.

Miał szczęście.

Westchnęłam jeszcze raz i znów napięłam mięśnie, chcąc odepchnąć jego dłoń, ale to go chyba tylko zachęciło, bo palec zaczął poruszać się szybciej.

– Zaslugujesz na szczęście – powiedział Kingsley.

– Nie jesteś potworem, tylko atrakcyjną kobietą, którą spotkał bardzo dziwny los. Ale ja mam dla ciebie pewną niespodziankę.

– Jaka? – zapytałam. Palce miałam wciąż zaciśnięte na jego dłoni. Już bardzo, bardzo dawno nikt mnie nie dotykał w tym miejscu. Tak dawno... Do diabła, zapomniałam nawet, że można poradzić sobie własnoręcznie.

– Nie jesteś zimna, Samantha – zapewnił Kingsley.

– A właściwie to nawet... – urwał, nieoczekiwanie cofając dłoń, tylko po to aby zabrać się do rozpinania moich dzinsów. Posuwał się naprzód guzik po guziku, z wprawą, jakby robił to setki razy. Co nie było bynajmniej wykluczone.

Skończył i wsunął dłoń do środka. Jego silne, wszędobylskie palce trafiły bez trudu pod bieliznę, podążając w dół niczym żywe, myślące istoty, aż wreszcie się zatrzymały, delikatnie rozchylając moje ciało.

Najdłuższy, środkowy, dotknął mnie niemalże z wahaniem, jakby chciał sprawdzić, czy jestem gotowa.

Byłam. I to jeszcze jak gotowa...

Nagle dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Kingsley przycisnął wargi do moich ust, miażdżąc je w pocałunku, a jego gruby palec wszedł głęboko we mnie.

**170**

**30**

Dziś w nocy miałam orgazm.

Cieszę się, odpisał Kieł.  
Pierwszy od sześciu lat, dodałam.  
Musiał być potężny.  
Popłakałam się. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś przeżyję taką rozkosz.  
Luna, to wspaniała wiadomość. Ale dlaczego myślałaś, że nie możesz odczuwać rozkoszy?  
Bo przez sześć lat jej nie zaznałam.  
A próbowałaś?  
Właściwie to nie. Danny nie chciał mnie tknąć, a nie miałam zupełnie ochoty, żeby dotykać się sama. Trudno czuć się atrakcyjną albo w ogóle myśleć o seksie, kiedy własny mąż się tobą brzydzi.  
Więc dziś postanowiłaś zrobić to sama?  
Zatrzymałam dłoń nad klawiaturą. Wiedziałam, że to, co napiszę, sprawi przykrość mojemu rozmówcy.  
Nie, odpowiedziałam. Byłam z wilkołakiem.  
Na długą chwilę zapadła cisza. W okienku komunikatora nic się nie działo, nie było nawet żadnego znaku, że Kieł pisze jakąś odpowiedź. Wreszcie

**171**

pojawiła się ikona mówiąca, że właśnie odpisuje, a sekundę później na monitorze ukazały się dwa zdania:  
Gratuluję, Luna. Ten facet to prawdziwy szczęściarz. Niedawno, po kilku latach internetowej znajomości, Kieł wyznał mi miłość... choć jeszcze ani razu się nie spotkaliśmy i nie rozmawialiśmy nawet przez telefon. Trudno mi było się zdecydować, co mam właściwie o tym myśleć. Nigdy nie spotkałam się z nikim poznanym w internecie, nie mówiąc już o randkach. Poza tym Kieł był moim przyjacielem, tak czy nie? Znał mnie od podszewki – a podszewkę miałam naprawdę ohydną.  
Przepraszam cię, Kieł. Nie chciałam zranić twoich uczuć.  
Nic się nie stało. Poważnie.  
W końcu jesteś już duży...  
„Duży” to za mało powiedziane...  
Flirtujesz ze mną?  
Ja? Nigdy w życiu!  
Jakoś mnie nie przekonałeś.  
Krótka pauza, a potem:  
Nie śmiałybym flirtować z kobietą innego mężczyzny.

Prychnęłam, chociaż mnie nie widział ani nie słyszał.  
A kto ci powiedział, że jestem kobietą jakiegoś mężczyzny?

**172**

Tak mi się wydawało...

To źle ci się wydawało. Jeszcze się nie zdecydowałam.  
Wciąż nie jestem gotowa. Przerwałam pisanie,  
poszukałam słów. Nie wiem nawet, czy jestem skłonna  
podjąć taką decyzję.

Nadal uważasz się za żonę swojego byłego męża?  
Może trochę. Wciąż czuję, że coś nas łączy. Może  
chodzi o dzieci.

I nie ma znaczenia, że cię odrzucił na wszystkie  
możliwe sposoby?

No wiesz, to dopiero kilka miesięcy... Chyba potrzebuję  
trochę więcej czasu, żeby się pozbierać.

I znów przez jakiś czas milczeliśmy. Przypomniało  
mi się nagle, że ostatnio wpadłam na pomysł, że  
znów zacznę palić papierosy. Dawno nie paliłam, ale  
co mi tam. Rak płuc mi nie groził, prawda? Czekaając  
na odpowiedź, wyobraziłam sobie, jak zaciągam  
się dymem, tylko po to, żeby mieć co zrobić z rękami.  
Ciekawe, jak mój organizm zareagowałby na nikotynę.  
No cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.  
Kieł dał znak, że coś pisze, czekałam więc cierpliwie,  
zerkając na Monicę, która leżała na łóżku  
z książką. A czytała, ni mniej, ni więcej, tylko powieść  
o wampirach. Może i ja powinnam się zapoznać  
z taką literaturą? Mogłabym się czegoś nauczyć.

**173**

Kieł skasował wiadomość i zaczął pisać od początku.  
Nigdy się nie dowiem, co napisał. Chwilę później  
na monitorze pojawiły się słowa:

Luna, obiecaj mi jedną rzecz.

Dobrze, postaram się.

Proszę, obiecaj mi, że zanim zwiążesz się z tym wilkołakiem  
– albo w ogóle z jakimś facetem – najpierw  
spotkasz się ze mną.

Z nikim nie zamierzam się wiązać.

Obiecaj.

W porządku, zastanowię się. Ale muszę przyznać, że  
nie bardzo cię rozumiem. Myślałam, że się przyjaźnimy.  
Przyjaźń jest wtedy, kiedy dwie osoby chcą tego samego:  
być przyjaciółmi.

A kiedy jedna z nich nagle zapragnie czegoś więcej?,

zapytałam.

To wiele zmienia, odpowiedział.

Kieł, ja nie chcę, żeby coś się zmieniło. Lubię z tobą rozmawiać. Mogę ci się wygadać. Jesteś dla mnie przyjacielem, psychologiem i powiernikiem w jednym.

Chcę być kimś więcej, Luna.

Na długą chwilę zapadło milczenie. Dookoła rozbrzmiewały typowe hotelowe odgłosy: trzaśnięcie drzwiami, dzwonek windy za rogiem korytarza, nieustanne buczenie setek klimatyzatorów użerających się z gorącym kalifornijskim powietrzem. Wyciągnięta na łóżku Monica pośliniła palec i przewróciła stronę. Kiedy poruszyła ramieniem, na jej szyi ukazała się cienka, wybruszona żyła. Wbiłam w nią roztargnione spojrzenie. Widziałam z daleka, jak pulsuje.

Jesteś tam, Luna?

Jestem.

Chcę się z tobą spotkać. Za dwa tygodnie.

Wyprostowałam się gwałtownie na krześle. Serce, które na co dzień jest mi prawie niepotrzebne, załomotało o zebra. W ustach zaschło w jednej chwili.

Dwa tygodnie? Sięgnęłam po butelkę z wodą i wypłam trochę, wpatrując się w te dwa zdania. Upłynęło trochę czasu, nim wreszcie odpisałam:

Dobrze. Za dwa tygodnie.

**175**

**31**

Umówiłam się z moją siostrą w Fullerton, w naszym ulubionym barze Hero's.

Usiadłyśmy we trójkę przy barze: ja, Mary Lou i Monica. Długi kontuar był obity blachą, a wysokie stołki miały winylowe siedzenia. Tego dnia za barem pracował nasz faworyt w dziedzinie mieszania drinków, młody, mniej więcej trzydziestoletni facet. W awansie na naszego „faworyta”, oprócz umiejętności fachowych, pomogło mu też to, że był całkiem przystojny.

Popijałyśmy zgodnie białe wino. Moja siostra uwijała się nieco szybciej od nas – zaczęła już trzeci kieliszek. Był piątkowy wieczór, więc lokal pękał w szwach. Tak się złożyło, że był to również biurowy „piątek na luzie”, więc Mary Lou, która pracowała w niedużej agencji ubezpieczeniowej w Placentia, zjawiała się w dzinsach i jasnożółtej koszulce. Dla

niewtajemniczonych: piątek na luzie jest to coś w rodzaju małego święta państwowego dla pracowników wszystkich biur. W całym miesiącu są tylko cztery takie dni, a świętuje je się, przychodząc do pracy w dżinsach, T-shirtach i trampkach, jak również

## 176

spożywając specjalnie zakupione w tym celu pączki oraz bajgle; dozwolone są także ciasteczka czekoladowe domowego wypieku. O ile dobrze rozumiem, dzień ten zaczyna się zazwyczaj w atmosferze optymizmu i nadziei, która szybko przeradza się w przemożną potrzebę odurzenia się mocnym alkoholem.

Często przypominam mojej młodszej siostrze, że dla mnie każdy dzień jest jak taki piątek na luzie. Teraz też nie omieszkałam tego powtórzyć.

– Chcesz mnie wpędzić w depresję? – zapytała Mary Lou.

– Może bez objawów klinicznych – odparłam – ale chętnie sobie popatrzę, jak ronisz łezkę albo dwie. Poza tym muszę się czymś chwalić. Ostatnio nie mam zbyt wielu powodów do radości.

Mary Lou nie przepadała za swoją pracą. Niestety, zamiast coś z tym zrobić, wołała zrzędzić. Tymczasem ja wyznawałam pogląd, że życie jest za krótkie, żeby zmarnować chociażby minutę w pracy, której nie kocha się całym sercem. Chyba że jest się wampirem, oczywiście. Wtedy wszystkie deklaracje i poglądy można wyrzucić do śmietnika.

Ponieważ jednak była z nami moja klientka, rozmowa z konieczności obracała się wokół zwyczajnych tematów. Trzy dziewczyny, całkiem ładne, siedzą w knajpie i dzielą się sekretami, smuteczkami i żalem.

## 177

Miło.

Mary Lou osuszyła trzeci kieliszek wina i skinęła na barmana. Faworyt pochwycił jej spojrzenie, skinął głową i sięgnął pod kontuar po butelkę. A ja zauważyłam, że moja siostra akurat w tym momencie poprawiła stanik.

– Dlaczego poprawiasz stanik? – zapytałam.

– Nie stanik, tylko cycki – wyjaśniła.

– Szczęśliwe mężatki nie poprawiają cycków pod nosem przystojnych barmanów.

– Szczęśliwe mężatki, w przeciwieństwie do mnie, mają cycki – odcięła się.

– I mężów.

– Idzie tutaj... Cicho bądź!

I rzeczywiście, barman zbliżał się do nas, błyskając zębami w swobodnym, niewymuszonym uśmiechu.

Miał krótkie brązowe włosy. Duże orzechowe oczy. Dołeczki w policzkach i na brodzie. Na przegubach nosił bransolety ze skóry i metalu, które pobrzękiwały, kiedy napełniał kieliszek Mary Lou. Spod zawiniętych do łokci rękawów wyglądały tatuaże pokrywające przedramiona i wybiegające aż na same dłonie. W uszach pobłyskiwały srebrne ćwieki, a na szyi, na skórzanym rzemyku, wisiały dwa olbrzymie zęby rekina.

– Jeszcze kropelkę. – Mary Lou musnęła jego dłoń. – Ślicznie proszę.

## 178

O rany, westchnęłam w myślach, spoglądając na Monicę, która uśmiechnęła się do mnie i wypila łyżek wina. Najwyraźniej ją bawiło, że moja siostra w tak beznadziejny sposób sili się na flirt. Mnie bynajmniej nie było do śmiechu.

– Jak naleję pani więcej, to będę musiał dolać wszystkim klientom – odparł barman. – A wtedy szef mnie wyleje.

– Też coś... Nie ma z panem żadnej zabawy.

Barman puścił do mnie oko i poszedł sobie.

Jak dotąd Monica milczała, a na jej twarzy próżno było szukać jakiegokolwiek wyrazu. Rozumiałam intuicyjnie, o co chodzi: to jej były mąż przemocą wybił jej z głowy wszelkie ślady własnej osobowości.

Przedemną była jeszcze w stanie się otworzyć, ale przed innymi – już nie za bardzo. Miałam zatem powody sądzić, że moja siostra raczej nie przypadła jej do gustu, być może również ze względu na ilości spożywanego alkoholu. Zauważyłam też, że Monica drży na całym ciele, kiedy ktoś głośno się zaśmieje albo ją potrąci. Trzymała się blisko mnie, jak tresowany szczeniak, nigdy nie odsuwała się dalej niż na długość ręki. Przy mnie czuła się bezpiecznie. Zresztą co w tym dziwnego? Przy mnie można było poczuć się bezpiecznie; ja sama się tak czułam.

Piłyśmy i rozmawiałyśmy, ale przez cały czas czujnym



okiem wypatrywałam wszelkich podejrzanych

## 179

znaków. Były mąż mojej klientki, zanim pechowo zderzył się z kuloodporną szybą, dał do zrozumienia, że udało mu się wynająć kogoś do mokrej roboty.

W pewnym momencie Monica dotknęła mojej ręki i nachyliła mi się do ucha.

– Muszę do łazienki – szepnęła.

– W porządku. – Poklepałam ją po dłoni. – Idziemy do łazienki – poinformowałam siostrę.

Mary Lou skinęła głową w odpowiedzi, nie spuszczać wzroku z przystojnego barmana. Wzięłam Monicę za rękę i razem przedarłyśmy się przez zatłoczony bar; trzymała się jak najbliżej mnie. W łazience, o dziwo, było całkiem pusto. Monica zniknęła w kabinie, a ja czekałam, aż zrobi swoje. Przez cały czas dręczyło mnie bardzo przykre uczucie, którego w żaden sposób nie mogłam się pozbyć. Obejrzałam się przez ramię: nic, byliśmy same. Zmarszczyłam brwi w konsternacji.

Szybko wróciłyśmy do baru. Mary Lou siedziała na swoim stolku. Była całkiem blada na twarzy i patrzyła na nas szeroko otwartymi oczami. Kiedy usiadłam obok niej, szepnęła mi do ucha:

– Był tutaj jakiś facet.

– Co za facet?

Potrząsnęła głową. Widziałam, że jest bardzo wstrząśnięta.

– Nie wiem. Przysiadł się i zawołał barmana.

## 180

– I co z tego?

– Potem spojrzał mi prosto w oczy i uśmiechnął się... To był najbardziej przerażający uśmiech, jaki widziałam w życiu.

– Nie jesteś pijana, prawda?

– Nie, do cholery... – Mary Lou znów pokręciła głową. – Miał w sobie coś... paskudnego. Czyste zło. Tak chyba powinien wyglądać morderca.

– Morderca?

– Płatny zabójca.

– Jest tutaj jeszcze?

– Nie, zamówił red bulla, zapłacił gotówką i poszedł.

A zaraz potem wy wróciłyście. Chciał mi się pokazać. Żebyś wiedziała, że was obserwuje.

– I mówisz, że nie jesteś pijana?

– Nie, do jasnej cholery.

W pierwszej chwili chciałam gonić faceta. Być może o to właśnie mu chodziło. Możliwe. Do zachodu słońca pozostała jeszcze dobra godzina, nie byłam więc w pełni sił. Poza tym nie mogłam zostawić Moniki samej.

– W porządku – uspokoiłam Mary Lou. – Zaczekaj chwilę.

Skinęłam na barmana. Zauważył mnie natychmiast. Rozmawiał z kimś, ale rzucił jeszcze tylko parę słów, roześmiał się i szybko podszedł. Zmierzył zdziwionym wzrokiem mój prawie pełny kieliszek.

### **181**

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał.

Przytaknęłam.

– Przed chwilą obsłużył pan mężczyznę, który zamówił red bulla. Widział go pan tutaj już kiedyś? Barman pokręcił głową.

– Nie, a co?

– Ile miał wzrostu, tak na oko?

Wzruszył ramionami.

– Z metr osiemdziesiąt. O co chodzi?

– A wiek?

Znów ten sam gest.

– Trudno powiedzieć. Czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Coś się stało?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziałam. – Czy może mi go pan dokładniej opisać?

Poprosiłam go o to między innymi dlatego, że był raczej trzeźwy. Barman zmierzył mnie uważnym spojrzeniem swoich ogromnych brązowych oczu. Kły rekina wiszące na jego szyi błysnęły białym blaskiem.

Pracował tutaj już od dobrych kilku miesięcy, ale nigdy dotąd nie zamieniliśmy więcej niż parę zdawkowych słów. Mimo to często widziałam, jak mi się przygląda. Chyba mu się podobałam. No proszę.

– Był biały – odezwał się wreszcie. – Szczupły.

Czarne włosy. Czarne oczy. To znaczy, w tym świetle wyglądały na czarne, bo tak naprawdę pewnie były brązowe.

### **182**

– Co jeszcze? – zapytałam.

– Na czole miał napisane: „Zachowuję się w podejrzanym

sposób”. Może być?

– Nie daję panu napiwków za dowcipy.

– Humor u nas jest za darmo.

Odwrociłam się od baru, wodząc wzrokiem od ściany do ściany. Nie czułam żadnego bezpośredniego zagrożenia. Trzeba jednak przyznać, że mój zmysł ostrzegawczy to delikatny instrument. Może zareagować na wiele różnych rzeczy. Jeśli tamten facet naprawdę nie zamierzał zaatakować, to pewnie niczego bym nie wyczuła. Alarm włączyłby się, dopiero gdyby wyskoczył na nas z jakąś kosą.

Spojrzałam z powrotem na barmana, który obserwował mnie z zaciekawieniem.

– Nic więcej pan już nie pamięta?

Uśmiechnął się lekko.

– Zamówił red bulla, nic więcej. To i tak chyba dużo szczegółów.

– Brawo. Dostanie pan kość w nagrodę.

– A o co w ogóle chodzi?

– O ściśle tajne babskie sprawy.

– Rozumiem. – Skinął głową. – I zalecam w tych sprawach ścisłą ostrożność.

Odszedł, żeby obsłużyć kolejnego klienta.

Spojrzałam na Monicę, która nie spuszczała ze mnie wzroku. Oczywiście wszystko słyszała.

– Czy to był jakiś bandzior? – zapytała.

– Nie wiem. – Zmarszczyłam brwi. – Ale nikt cię nie zabije ani nie zrobi ci żadnej krzywdy. Obiecuję.

Uśmiechnęła się – a w każdym razie próbowała – i jeszcze mocniej ścisnęła mnie za rękę.

**184**

**32**

Punkt siódma wieczorem zadzwoniłam do domu.

Danny odebrał telefon i kazał mi czekać. Obyło się bez uprzejmości. Jak zwykle. Słyszałam w słuchawce jego równy, miarowy oddech i wspominałam tamtą chwilę, gdy stanęliśmy obok siebie wśród drzew Arboretum w Fullerton. Nasz ślub był skromny: rodzina i znajomi, w sumie około czterdziestu osób. Słoneczny, piękny dzień. Danny w garniturze wyglądał zabójczo, a jednocześnie czuł się w nim skępowany.

Wciąż krzyżował ręce na brzuchu, usiłując zademonstrować postawę pełną godności, ale i tak widać było, że denerwuje się jak cholera. Kiedy mój ojciec prowadził

mnie do niego, obserwowałam go, a on mnie; im byłam bliżej, tym stawał się spokojniejszy. Przestał wywijać rękami. Uśmiechnął się do mnie tak promiennie, jak nigdy wcześniej i już nigdy później. W słuchawce zapadła głucha cisza, jakby ktoś zakrył ręką mikrofon na drugim końcu linii. Usłyszałam stłumione głosy, potem jakieś skrobanie, a wreszcie głos Danny'ego:

– Masz osiem minut.

– Osiem?!

### **185**

Sekundę później usłyszałam piskliwe:

– Mama!

– Cześć, maluszk!

– Mamo, nie mów tak do mnie. Nie jestem maluszkiem.

– O, przepraszam pana.

– Panem też nie jestem.

– No więc kim?

– Chłopcem.

– Mój duży chłopiec.

To mu się spodobało. Widziałam niemalże, jak podskakuje przy telefonie, przyciskając oburącz słuchawkę do ucha; zawsze tak robił.

– Tata mówił, że nie możesz do nas jutro przyjechać, bo masz dużo pracy.

– To nieprawda...

– To prawda, Sam – odezwał się Danny, który, jak zwykle, przysłuchiwał się rozmowie z drugiego aparatu.

– Masz dużo pracy i nie możesz przyjechać do dzieci.

Zrobiłam głęboki wdech, zatrzymałam powietrze w płucach. Potem powoli je wypuściłam.

– Przepraszam, aniołku – powiedziałam do mojego synka. – Naprawdę mam jutro dużo pracy.

– Ale ty nigdy nas nie odwiedzasz...

– Anthony, koniec gadania. Daj słuchawkę siostrze

– rozkazał Danny.

### **186**

– Dawaj, głupku – zawtórowała Tammy, a Anthony wybuchnął płaczem. W słuchawce rozległ się tupot jego stópek, płacz szybko umilkł w oddali, a na koniec huknęły jeszcze zatrzaśnięte drzwi. Pewnie uciekł do swojego pokoju, żeby wypłakać się w poduszkę.

– Cześć, mamo – przywitała się Tammy.

W pierwszej chwili byłam tak załamana, że nie mogłam mówić.

– Co z Anthonym? Wszystko w porządku? – zapytałam wreszcie, powstrzymując łzy.

– Nic mu się będzie. Zachowuje się jak smarkacz.

– Jak mały chłopiec – poprawiłam.

– Nieważne.

– Bez takiej nonszalancji, młoda damo.

Tammy milczała. Cicho strzelił balon z gumy do żucia. Słyszałam też, jak Danny przestępuje z nogi na nogę. Pewnie sprawdzał czas na stoperze. Tak, tak, na stoperze.

– Co dzisiaj robiliście? – zapytałam.

– Nic.

– A co w szkole?

– Nuda.

– Odrobiłaś lekcje?

– Może tak, a może nie.

– To znaczy, że odrobiłaś czy że nie odrobiłaś?

– To znaczy, że odrobiłam albo nie odrobiłam.

## 187

Wiedziałam, że Danny słyszy, jak jego córka pyskuje mamie; najwidoczniej miał to gdzieś. Nie dopytywałam już więcej o lekcje. Ostatecznie Tammy miała rację. W obecnej chwili nie mogłam w żaden sposób dopilnować nauki ani wyegzekwować przestrzegania domowych zasad. Obie zdawałyśmy sobie z tego sprawę. Podejrzywałam również, że Tammy powiedziała to wszystko specjalnie, żeby sprawić mi przykrość, bo jej też było smutno, gdy nagle mnie zabrakło, i to zupełnie nie wiadomo czemu.

– Tęsknię za wami – powiedziałam. – Nawet nie wiecie, jak bardzo.

– Jakoś dziwnie to okazujesz.

– Niedługo coś wymyślę, żeby częściej się z wami widywać. Obiecuję.

– Hura.

– To było niegrzeczne – upomniałam ją.

– No to co?

– Dla mamy trzeba być grzeczną.

– Nieważne.

Odetchnęłam głęboko, wiedząc, że mój czas szybko dobiega końca. Podejrzywałam, że Danny czasami skraca nasze rozmowy. Inna możliwość była taka, że

gdy rozmawiałam z dziećmi, czas przestawał istnieć.  
Nawet jeśli źle się zachowywały.

– Obiecuję, że przyjadę do was, jak najszybciej  
będę mogła – zapewniłam.

– Może jutro? – zapytała z nieśmiałą nadzieją  
w głosie. Wciąż starała się grać obrażoną królową ciętej  
riposty, ale słysząc było tylko dziewczynkę tęskniącą  
za mamą.

– Jutro nie mogę, aniołku – szepnęłam łamiącym  
się głosem – ale niedługo.

Tammy chciała coś powiedzieć, pewnie coś złośliwego  
albo niegrzecznego. Ewentualnie złośliwego  
i niegrzecznego jednocześnie. Tylko że zamiast tego  
wyszło jej coś innego. Ciche, poszarpane czkawką  
westchnięcie. Moja córka płakała przy telefonie.

– Kocham cię – powiedziałam. – Nawet nie wiesz,  
jak bardzo.

– Ja też cię kocham, mamusiu – pisnęła Tammy  
i rozpłakała się na całego. Ja też. Wreszcie do akcji  
wkroczył Danny.

– Czas kończyć – oznajmił.

– Do widzenia, aniołku – wtrąciłam szybko. – Kocham  
cię!

Tammy zaczęła coś mówić, ale połączenie się  
urwało.

**189**

**33**

Zabrałam Monicę do furgonetki i pojechałyśmy pod  
mój dawny adres. Zaparkowałam dosyć daleko, właściwie  
na drugim końcu ulicy. Było stąd jednak widać  
mój dom. Mówię tak, bo mimo wszystko to wciąż był  
mój dom. Nie wysiadając z samochodu, widziałam  
wyraźnie, kto wchodzi i wychodzi. Najbardziej rzucał  
mi się w oczy Danny i jego nowy wóz, frajerski  
mustang.

Mustang? Tym przecież jeżdżą licealistki.

Widziałam stąd też olbrzymi znak firmowy Pep  
Boys. Sterczał za domem, choć w zasadzie najlepiej  
byłoby powiedzieć, że nad nim wisiał. Nie palił się  
jednak, wszystkie światła w sklepie były zgaszone.  
Chłopcy już spali. Podobno grzecznie.

Nie było jeszcze zbyt późno, więc po okolicy kręciło  
się trochę ludzi, którzy spacerowali z wózkami,  
z psami albo biegali. Zauważyłam też jedną osobę

uprawiającą power walking.

Okna w moim samochodzie miały przyciemniane szyby z dwóch powodów. Po pierwsze, byłam bardzo wrażliwa na światło – kto by pomyślał – a po drugie, ta zwyczajna, nierzucająca się w oczy furgonetka

**190**

często służyła do obserwacji podejrzanych. Kiedy operacja miała trwać dłuższy czas, chowałam się na tylnym siedzeniu, opuszczając ciemną zasłonę za przednimi fotelami. Miałam wtedy widok na wszystkie strony przez ciemne okna. Sprawiałam sobie nawet przenośną minitoaletę, na wypadek gdyby obserwacja się przeciągała.

Dzisiaj jednak nie spodziewałam się, żeby mogła zajść potrzeba jej użycia. Tego wieczoru wszystko powinno zacząć się szybko. Nazwijmy to przecuciem.

– I to jest prawdziwa detektywistyczna obserwacja?

– zapytała Monica, która siedziała po turecku na siedzeniu obok mnie. Można by pomyśleć, że jeździ ze mną jakaś nastolatka.

– Zupełnie autentyczna – potwierdziłam.

– W tym domu kiedyś mieszkałaś?

– Tak.

– Więc śledzimy twojego byłego męża?

– Jestem prywatnym detektywem – przypomniałam jej. – Mam licencję na śledzenie.

– Naprawdę?

– Na ogół – tak.

– Teraz też?

– Teraz – odpowiedziałam – śledzimy go, bo tak mi się podoba. Żeby mu poszło w pięty.

Monica zachichotała. Gdyby Danny zauważył, że za nim jeżdżę, mógłby złożyć na mnie skargę do

**191**

Kalifornijskiego Biura ds. Instytucji Dochodzeniowych, które wlepiłoby mi wysoką grzywnę, a może nawet rok więzienia. Nie przepadali tam za detektywami nadużywającymi swoich uprawnień.

Dlatego właśnie zaparkowałam samochód aż na drugim końcu ulicy. Raz już śledziłam Danny'ego – i przy okazji odkryłam, że mnie zdradza – ale nie zachowałam koniecznej ostrożności, więc mnie zobaczył.

Tym razem nie zamierzałam ryzykować.

– Jak to jest, kiedy się ma dzieci? – zapytała nagle

Monica, która przez cały czas żuła gumę, dmuchając balony i strzelając z nich w zamkniętych ustach. Tak się robiło, kiedy chodziłam do liceum. Nigdy nie mogłam się tego nauczyć, ale teraz, kiedy sobie o tym przypomniałam, przyszła mi do głowy całkiem niesamowita myśl.

Przecież mogę żuć gumę!

Przynajmniej taką bez cukru. Poprosiłam Monicę, żeby mnie poczęstowała, a ona sięgnęła do swojej małej torebki i podała mi cienki, prostokątny paseczek.

Guma do żucia o smaku cynamonowym, bez dodatku cukru. Nie miałam pojęcia, jak na nią zareaguję, ale nie mogłam się doczekać, żeby to sprawdzić.

Ależ ja jestem żalosna.

Niecierpliwie odwinęłam papierek, wciskając go do popielniczki. Ostre szpilki cynamonowej

## 192

przyprawy przebiły moje otępiałe kubki smakowe, a usta wypełniły się śliną. Przełknęłam ją ostrożnie; był to teraz łyk czystego cynamonu.

Zerkałam co chwila na tablicę rozdzielczą, gdzie był zegarek. Niecałe dwie minuty – tyle musiało upłynąć, żebym się dowiedziała, czy mój organizm odrzuci tę mikroskopijną ilość dodatku smakowego.

Czekałam, pracowicie poruszając szczękami, delektując się cynamonem i gładkością gumy prześlizgującej się po języku. Nagle zadziałał dawno wyuczony odruch: zrobiłam pierwszy od sześciu lat balon, który pękł z głośnym trzaskiem. Monica zachichotała. Gdy odklejałam resztki gumy z nosa i brody, ścisnęło mnie w żołądku.

I tyle.

Tylko ścisnęło.

Obyło się bez sensacji i bóleści. Odczułam tylko jeden wstępny, trochę nieprzyjemny skurcz.

Uśmiechnęłam się szeroko i żułam dalej, zadowolona. Proszę bardzo: wampiry mogą żuć gumę. Firma Wrigley powinna wypromować nowy slogan: „Nasze produkty są takie dobre, że nawet wampir po nich nie rzyga”.

Zapytałam Monicę o markę tej gumy, a ona jeszcze raz wygrzebała opakowanie z torebki. Uśmiechnęłam się znowu. Chyba kupię akcje tej firmy.



– Zobacz. – Monica wyciągnęła rękę, nagle ożywiona.

– Ktoś wychodzi z twojego domu.

Wyciągnęłam lornetkę i wycelowałam ją w tamtym kierunku. Był to mężczyzna, średniego wzrostu.

Danny. Odstawiony jak szczur na otwarcie kanału.

**194**

**34**

Wsiadł do swojego dziewczynskiego mustanga i wyjechał na ulicę, po czym ruszył w naszą stronę, ale

skręcił w lewo, w boczną ulicę, pomiędzy domy. Uruchomiłam silnik, ruszając powoli z miejsca. Monica,

grzeczna dziewczynka, zapięła pas bezpieczeństwa.

Była uśmiechnięta od ucha do ucha. Muszę to przyznać: prywatny detektyw robi dużo fajnych rzeczy.

Dwadzieścia sekund później skręciłam w prawo, w tę samą ulicę, co wcześniej Danny. Na następnym zakręcie dostrzegłam jego samochód: wyjeżdżał na Commonwealth Avenue.

Było kilka minut po dziesiątej. Zaczęłam się zastanawiać, kto został w domu z dziećmi. Po chwili przypomniałam sobie, że przecież mieszka tam ta zdzira, szparka sekretarka mojego męża.

Zacisnęłam palce na kierownicy.

Z wampirem lepiej nie zaczynać. Lojalnie ostrzegam.

Skręciłam więc w lewo na Commonwealth, bez trudu odszukując wzrokiem charakterystyczny kształt tylnych świateł mustanga, niecały kilometr przed nami. W obecnej postaci wzrok miałam wprost

**195**

sokoli. A po przemianie w nietoperza – czyli coś pokrewnego sokołowi, zresztą cholera jedna wie, w co

właściwie się zmieniałam – było nawet jeszcze lepiej.

Dzięki temu mogłam śledzić podejrzanych z większej odległości, niż zazwyczaj robią to detektywi.

Trzeba było jednak uważać, bo można przy tym trafić na czerwone światło, a wtedy śledzony ucieknie.

Na dzisiejszą akcję powinnam chyba wynająć jakiś samochód, ale na to było już za późno.

Sto lat żyjesz, sto lat się uczysz.

Monica kołysała się lekko na siedzeniu obok, nerwowo obgryzając paznokcie. Patrząc kątem oka, dałabym jej najwyżej dziesięć lat – była to zasługa manieryzmów i tego siedzenia po turecku. Dziesięć lat.

Tyle, co moja córka.

Nagle zadzwonił mój telefon.

Cholera jasna. Bałam się sprawdzić, kto dzwoni.

Danny? Zauważył mnie? Tak szybko? Niemożliwe.

Komórka dzwoniła i dzwoniła, aż wreszcie sięgnęłam do centralnej konsoli auta, ciągnąc za telefonem kabel od ładowarki. Spojrzałam na wyświetlacz. To był Kingsley.

– Wrrr! – warknęłam do słuchawki, wyciągając wtyczkę z aparatu. – Tutaj londyńskie zrzeszenie wilkołaków...

– Mało śmieszne – zabrzmiał jego głęboki głos. – Nie przez telefon, bardzo cię proszę.

**196**

– Bo Wielki Brat słucha?

– Coś w tym rodzaju.

– Coś mi się zdaje, że jesteś wkurzony.

– Owszem – powiedział i urwał. Danny skreślił w prawo, w Harbor Boulevard. Bez kierunkowskazu.

Powinnam dokonać aresztowania obywatelskiego.

– Pobiliś mojego klienta – podjął po chwili Kingsley.

– Ciężko. O mały włos go nie zabiłaś.

Byłam pewna, że się przesłyszałam. Skreśliłam w ślad za Dannym.

– Twojego klienta? A kto to taki?

– Ira Lang.

– Słucham? – Z wrażenia prawie upuściłam telefon.

– Bronię Iry Langa – powtórzył Kingsley. – I to już od kilku lat, od pierwszego aresztowania. A teraz mój klient trafił do szpitala ze zmasakrowaną twarzą, całą poskręcana śrubami.

Obejrzałam się na Monicę, która patrzyła prosto przed siebie, wciąż lekko się kołysząc. Pod tym kątem było dobrze widać, że jej lewa powieka mocno opada.

To Ira Lang ją tak urządził. Kluczem francuskim. Za to właśnie po raz pierwszy został aresztowany.

Po tym, co usłyszałam od Kingsleya, poczułam, że brakuje mi powietrza w płucach. Prowadziłam automatycznie, pamiętając tylko niejasno, że jadę za jakimś mustangiem. Danny zwolnił przed

**197**

czerwonym światłem. Pomiedzy nim a nami były trzy samochody. Dzielilo nas jeszcze dobre czterysta metrów.

– No, to mamy problem – powiedziałam.

– Zgadzasz się, Sam. Mój klient poda cię do sądu.

– Tym się akurat nie martwię – odparłam. – Kingsley, pogadamy później. To nie jest dobry moment.

– Wpadnij do mnie, jak będziesz miała chwilę.

– W porządku – obiecałam, rozłączając się.

Monica zerknęła na mnie, zaciekawiona. Podobnie jak większość ludzi, miała coś w rodzaju szóstego zmysłu i, również jak większość ludzi, nie zdawała sobie z tego najmniejszej sprawy. Jednakże coś w moim głosie, w moim zachowaniu, zwróciło jej uwagę.

Zrozumiała, że nie jest dobrze.

Bo nie było. Nie było dobrze, do diabła. Facet, z którym się spotykałam – który dotykał mnie tak, jak żaden mężczyzna od bardzo, bardzo dawna – był, jak się okazało, tym samym adwokatem, który za pomocą prawniczego kruczka wyciągnął z aresztu byłego męża mojej klientki.

A co zrobił aresztant po wyjściu na wolność? Zakatował na śmierć swojego byłego teścia, ojca Moniki.

Monica nie spuszczała ze mnie wzroku. Odwróciłam się do niej, uśmiechając się najpromiennie, jak tylko mogłam w takim stanie ducha. Chyba podziałało, bo odpowiedziała uroczym uśmiechem, który znów nadał jej wygląd dziecka, dziecka wyczekującego dobrych wieści.

Wzięłam ją za rękę, a ona mocno ścisnęła moją dłoń i tak jechałyśmy dalej, trzymając się w bezpiecznej odległości od Danny’ego.

**199**

**35**

Siedziałyśmy w samochodzie na parkingu pod knajpą.

Był to bar ze striptizem. Obskurny, obrzydliwy, zarzygany i zakazany.

Przyjechałyśmy tutaj za Dannym, który z miasta skręcił na autostradę numer pięćdziesiąt siedem, a potem na wschód, na dziewięćdziesiątkę jedynek. Zjechał z niej w Colton, niedużym i niezbyt bezpiecznym miasteczku w hrabstwie Riverside, prawie sto kilometrów od Orange. Nie jest to okolica, gdzie kręci się programy o retuszowanych chirurgicznie mężatkach. Tutaj króluje zbrodnia, rządzą gangi i na każdym kroku czuć prawdziwe zło. Zło, którego nie wypłeni żadna siła.

Lśniący mustang Danny’ego przecinał kolejne ulice, brudne, słabo oświetlone, w niczym nieprzypominające

naszej urokliwej okolicy; zatrzymał się dopiero na samym skraju miasta, pod małym barem ze striptizem.

Zanim tam dotarliśmy, Danny zdażył już wejść do środka. Objechałam cały parking, żeby zlokalizować jego samochód i zaparkować najdalej jak się dało, nie tracąc przy tym z oczu wejścia.

**200**

Uchyliłyśmy okna. Bar dudnił głośną muzyką.

Wejścia pilnowało dwóch czarnych osiłków. W samochodzie kilka miejsc za nami coś się działo; byłam niemalże pewna, że dwie osoby uprawiają tam seks. Chociaż dopiero tutaj przyjechałyśmy, chętnie wskoczyłabym pod prysznic.

Monica jakby skurczyła się w sobie: podciągnęła kolana pod brodę i ciasno oplótła je ramionami. Muszę przyznać, że byłam kompletnie zdezorientowana. Nigdy bym nie przypuszczała, że Danny odwiedza kluby ze striptizem. Z drugiej strony, do niedawna nie miałam też zielonego pojęcia, że jest niewiernym mężem, kłamie jak z nut i w ogóle kawał z niego gnoja.

Kusiło mnie, żeby zajrzeć do środka, ale nie było mowy, żeby zabrać ze sobą Monicę, a za nic w świecie nie zostawiłabym jej samej na tym parkingu.

Siedziałyśmy więc w samochodzie, obserwując wejście do baru. Niesamowite: wciąż czułam zazdrość na myśl, że Danny ogląda inne kobiety i że sprawia mu to przyjemność. Przeszło mi, dopiero gdy przypomniałam sobie, że już od kilku miesięcy sypia z inną kobietą.

Zrobiło mi się niedobrze. Zbrzydziła mnie ta myśl.

Poczułam potworną odrazę.

Monica znów zaczęła się kołysać. Dudniąca muzyka, parking pełen gruchotów, typy spod ciemnej gwiazdy – to było dla niej za dużo. Wyglądała teraz jak mała dziewczynka, która siedzi w swoim pokoju i słucha przez ścianę kłótni rodziców. Słucha, kołysze się i cierpi.

Odczekałam jeszcze pół godziny, jednym okiem obserwując uważnie moją towarzyszkę, a drugim grupki mężczyzn wchodzących i wychodzących z lokalu.

Danny wciąż był w środku.

Nie chciało mi się wierzyć, że jechał taki kawał

drogi, żeby zabawić się w klubie ze striptizem. Przecież nie musiał go daleko szukać. Było ich wiele, może nie aż tak obskurnych, ale za to znacznie bliżej.

Czemu więc wybrał akurat ten grajdoł, o całą godzinę drogi od domu? Nie miałam pojęcia, ale obiecałam sobie, że się dowiem.

Włączyłam silnik i odjechałyśmy.

Monica prawie przez całą drogę powrotną kołysała się na siedzeniu.

**202**

**36**

W hotelu, aby jakoś pocieszyć moją podopieczną, przytuliłam ją mocno i zaparzyłam jej herbaty.

Gdy się uspokoiła, zadzwoniłam do Chada. Mój dawny kolega z pracy aż się palił, żeby znów posiedzieć z Monicą. Podejrzywałam nawet, że czekał niecierpliwie przy telefonie, bo złapał za słuchawkę już po pierwszym sygnale.

Pół godziny później zostawiłam ją pod dobrą (albo wręcz nawet czułą) opieką, sama zaś pojechałam do okazałej rezydencji Kingsleya Fulcruma. Kamerdyner Franklin nie był zachwycony wizytą o tej porze; poprowadził mnie w głąb domu, krocząc sprężyście, ale nieco krzywo, jak zwykle. Tym razem udaliśmy się do kuchni, gdzie przy okrągłym stoliku w kącie siedział Kingsley, zając olbrzymią kanapkę z szynką. Naprzeciwko niego stał kielich pełen czerwonego wina. Był, jak się domyśliłam, przeznaczony dla gościa, czyli dla mnie; niestety, rzadko pijam czerwone wino, bo boli mnie po nim żołądek. Zbyt wiele domieszek.

Kingsley podziękował kamerdynerowi, a Franklin w ociekających sarkazmem słowach zapewnił go

**203**

o swym bezgranicznym oddaniu, po czym zniknął w bocznym korytarzu. Dokąd poszedł – nie miałam pojęcia. Pewnie do kwatery dla służby.

Albo do jakiejś pracowni szalonego naukowca, gdzie stał kamienny stół wyposażony w pasy do krępowania i połączony grubymi przewodami z jakąś średniowieczną anteną zamontowaną na dachu.

Może tak, a może nie.

Kiedy weszłam do kuchni, Kingsley odłożył swoją olbrzymią kanapkę, wstał i objął mnie na powitanie,

a potem lekko pocałował w usta. Z tym całowaniem na powitanie to był mój pomysł, ale teraz odwróciłam głowę, bo nie byłam w nastroju na pieszczoty.

Kingsley wskazał mi krzesło naprzeciwko siebie, a gdy usiadłam, zauważyłam, że w stojącym przede mną kielichu wcale nie ma wina.

Szkło było pełne krwi.

Spod języka momentalnie połała mi się ślina.

Możliwe, że bezwiednie oblizalam też wargi.

Całkiem możliwe.

Kingsley obserwował mnie uważnie.

– Nie masz kłów – zauważył.

– Dziwaczny komplement – skrzywiłam się, nie odrywając wzroku od czary pełnej krwi.

– Zauważyłem to w łóżku, kiedy się całowaliśmy.

Masz normalne zęby.

– Ojej, dziękuję.

## 204

– Myślałem, że wampiry mają kły – drażył Kingsley.

– A ja myślałam, że istnieją tylko w romansidłach dla nastolatek.

Zaśmiał się cicho i nie wrócił już do tematu. Dostrzegłam,

że krew w kielichu zaczyna już lekko

krzepnąć na powierzchni i lepić się do ścianek

z grubego szkła. To była zwyczajna krew. Zwyczajna,

ohydna krew, ale zarazem – jedyny pokarm przyswajany

przez mój organizm. Jedyna substancja, która

miała dla mnie wartość odżywczą. Od sześciu lat

piłem krew dla poprawienia nastroju, tak jak inni jedzą

słodycze. Zresztą, do diabła, musiałam się tego

nauczyć, bo krew była moim jedynym pożywieniem.

Była dla mnie wszystkim. Żołądek wywracał mi się

na lewą stronę.

Ale makabra. Jestem normalnym krwiopijcą.

– Pij, kochanie – powiedział Kingsley. W jego głosie

zabrzmiął dziwny akcent, jakby niemiecki. No,

no...

– Czyja to krew? – zapytałam.

– Czy to ważne? – odparł normalnym już głosem.

Oczywiście miał rację. Odkryłam już dawno, że

pochodzenie krwi jest całkowicie nieistotne. Ludzka,

zwierzęca, ciepła czy zimna, działa na mnie dokładnie

w ten sam sposób: żywi, dodaje sił.

## 205

Wzięłam kielich do ręki i pociągnęłam spory łyk. Krew była ciepła. I świeża. Jakieś stworzenie umarło bardzo niedawno. Krew ma wyjątkową konsystencję, którą uwielbiam i której jednocześnie nienawidzę. Dobra, świeża krew ma boski smak. Ta, którą piję na co dzień, sprowadzana z lokalnej rzeźni, ma mnóstwo obrzydliwych „dodatków”. Zawsze muszę je wypluwać. Pyszności.

Moja umowa na dostawę krwi z rzeźni miała raczej prywatny charakter. Rzeźnia mieściła się w Chino Hills. Przed sześcioma laty udało mi się przekonać właściciela zakładu, że jestem asystentką z wydziału weterynarii i biorę udział w badaniach zwierzęcej krwi. Facet nie zadawał pytań, a ja nie powiedziałam mu już nic więcej. Dostawy były comiesięczne, a rachunki – niebotyczne. Karmnik na kółkach.

Natomiast krew z tego kielicha była idealna, jeśli nie liczyć jednej czy dwóch skrzepniętych grudek. Piłam łyk za łykiem, chwilowo nie mogąc się zmusić, żeby przestać. Słona, metaliczna ciecz oblepiała mi wnętrze ust i wciskała się pomiędzy zęby. Nie przerywałam, żeby zaczerpnąć powietrza, bo w zasadzie nie musiałam w ogóle oddychać.

Piłam duszkiem, łapczywie, z prawdziwą radością.

## **206**

Kiedy naczynie było już do połowy puste, nie miałym wysiłkiem woli odstawiłam je na stół i beknęłam przeciągle.

– Jesteś głodna? – zapytał Kingsley.

– Jak zwykle – przyznałam.

– Często zaspokajasz głód? – zadał kolejne pytanie, a ja w duchu podziękowałam mu za to, że nie powiedział inaczej: „żerujesz”. Nie przepadałam za tym słowem. Zwierzę może żerować albo krwiożerczy potwór, ale nie kobieta na poziomie, absolwentka kryminalistyki, matka dwójki cudownych dzieci i zawodowy prywatny detektyw z wieloma sukcesami na koncie. Jeżeli ktoś taki odżywia się płynnym pokarmem, należy powiedzieć, że pije.

Pije. Diabelski koktajl.

– Głód nachodzi mnie co wieczór. – Wzruszyłam ramionami. – Jak większość ludzi.

– Większość ludzi spożywa posiłki w ciągu dnia – zauważył.

– Wiesz, o co mi chodzi – mruknęłam, z powrotem biorąc w dłoń kielich. – Baranie.

Kingsley uśmiechnął się szeroko.

– Więc pożywasz się codziennie?

– Nie.

– Czemu?

– Bo brzydzi mnie bydlęca krew w torebkach.

## 207

– Widziałem te twoje torebki. – Aż nim zatrzęsło.

– Ohyda.

Przyglądał mi się przez chwilę; olbrzymia kanapka w jego dłoniach wyglądała jak drobny kąsek.

– Więc można powiedzieć – podjął w końcu – że potrafisz obywać się bez jedzenia?

– Tak.

– A jak długo jesteś w stanie znieść głód?

– Trzy, cztery dni.

– I potem musisz coś zjeść.

Przytaknęłam, przechylając kielich do ust, delektując się wspaniale czystą krwią, która rozplywała mi się po języku i podniebieniu.

– A nie martwisz się czasem – ciągnął dalej Kingsley – że jeśli przerwa pomiędzy posiłkami będzie zbyt długa, to głód stanie się bardzo silny i możesz zrobić coś głupiego?

– Na przykład kogoś zabić? – zapytałam.

– No tak, to by było głupie.

– Nie martwię się tym – odparłam. – Nie mam powodu. Na ogół krew zawsze jest pod ręką. Kiedy mocno zgłodnieję, otwieram sobie torebkę i już.

– Ale kiedyś może się zdarzyć, że nie będziesz miała krwi pod ręką.

– To jest możliwe – przyznałam – ale dopóki mam zapas krwi, nie będę się na zapas przejmować.

## 208

I z tymi słowami wypiłam ostatnie krople z kielicha, który od razu umyłam w zlewie. Po zaspokojeniu głodu na widok krwi chwytają mnie mdłości.

Tymczasem Kingsley zapchał usta resztą swojej kanapki, poruszył kilka razy szczękami – co z całą pewnością nie wystarczyło, aby porządnie przeżuć



tak wielką porcję – i przełknął wszystko naraz, odrzucając głowę w tył, jak żuraw.

Usiedliśmy wygodnie na krzesłach, spoglądając na siebie.

– Mamy problem – powiedziałam.

– Wiem. – Kingsley skinął potakująco głową. – Jestem za bardzo seksowny.

Nie było mi jednak do śmiechu. Szczerze mówiąc, najchętniej wydrapałabym mu oczy.

– Wyciągnąłeś Langa na wolność po pierwszym aresztowaniu – wycodziłam.

– Jasne. – Fulcrum wzruszył ramionami. – I to za darmo.

– Jak to?

– Bronilem go z urzędu.

– Myślałam, że jesteś najdroższym adwokatem w tych stronach.

– Bo jestem. Ale czasem, kiedy coś nagle wypadnie albo wszyscy obrońcy są zawałeni pracą, sędzia prosi mnie, żebym przejął jakąś sprawę.

– I przejąłeś.

**209**

– Oczywiście. – Puścił do mnie oko. – Sędziemu się nie odmawia.

– Przecież Lang chciał zamordować swoją żonę – powiedziałam – a właściwie to na chęciach wcale się nie skończyło. Ten gnój nie cofnąłby się przed niczym, żeby ją załatwić.

– W porządku. I ja wyciągnąłem go z aresztu – odparł Kingsley spokojnym głosem. – Jestem w tym dobry.

A gdy szukałam słów, walcząc z narastającym gniewem, on dodał:

– Sam, nie bierz tego do siebie, dobrze? Pierwszy lepszy adwokat, który zna się na swojej robocie, zrobiłby to samo. To wcale nie musiałem być ja.

Ira nie był notowany. Wszedł w konflikt z prawem po raz pierwszy. Otrzymał zakaz zbliżania się do żony...

– A ty, jak widzę, jesteś z siebie dumny, że tak dobrze się spisałeś?

– Zrobiłem to, co do mnie należało.

– A jak się poczułeś, kiedy w wiadomościach powiedzieli, że Lang ponownie napadł swoją żonę i zabił

jej ojca, który stanął w obronie córki?

– Nieszczęśliwie się złożyło, to fakt.

– Ale ty nie wiedziałaś, że tak się stanie?

– Wiedziałem.

– I nie zrobiłeś nic, aby temu zapobiec.

## **210**

– Bo nie pracuję w prewencji, Sam. Ja miałem tylko wyciągnąć go z aresztu.

– Jesteś bydlakiem – oznajmiłam.

Kingsley skrzyżował ramiona na swojej potężnej piersi. Czarna koszulka z krótkim rękawem opinała ciasno jego bicepsy, ramiona i klatkę, a nawet lekko wystający brzuch; tkanina była rozciągnięta do granic możliwości. Nie spuszczał ze mnie wzroku, a jego głęboki głos pozostał zupełnie spokojny.

– Przywiązałaś się do swojej klientki – powiedział.

– Stąd u ciebie te emocje.

– Nie – odparłam. – Dotarło do mnie, że pozwoliłam się dotknąć skończonemu bydlakowi. Stąd te emocje.

– A miałem wrażenie, że mój dotyk sprawił ci przyjemność.

Zerwałam się z krzesła.

– Nie mogę w tej chwili z tobą rozmawiać.

Kingsley też wstał, położył mi dłonie na ramionach, górując nade mną jak wysoka wieża. Czarne, kudłate włosy opadły mu na twarz. Czułam od niego zapach pastrami i dobrej wody kolońskiej. Uświadomiłam sobie nagle, że ten drugi zapach był dla mnie.

Chciał dzisiaj czegoś więcej – przespać się ze mną?

Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym.

– Zostań – powiedział. – Nie jestem twoim wrogiem.

– Nie jesteś – przyznałam – ale łatwo możesz nim zostać.

Zacisnął mocniej palce, ale bez trudu odepchnęłam jego dłonie. Odwróciłam się roztrzęsiona i wyszłam z kuchni.

– Zostań – dogonił mnie jego głos.

Nie obejrzałam się.

## **212**

### **37**

Przeleciałam nad królewską posiadłością bossa narkotykowego.

Znalazłam drzewo, z którego poprzednio

prowadziłam obserwację i usiadłam na tej samej grubej

gałęzi: olbrzymi czarny drapieźnik, który dziwnym przypadkiem lubi ładne buty.

Rozległa rezydencja była jasno oświetlona, Jerry Blum robił, co tylko mógł, aby przyczynić się do wzrostu globalnego ocieplenia. Na całym terenie panował większy ruch niż przed kilkoma dniami. Zauważyłam więcej facetów z giwerami, piękne kobiety i sporo wjeżdżających i wyjeżdżających samochodów. Na oko każdy z nich był opancerzony. Jakaś para zawędrowała pod drzewo, na którym siedziałam.

Mężczyzna zapalił papierosa. Kobieta miała na sobie bluzkę z takim dekoltem, że widziałam przez niego jej pępek. Dobrze się złożyło, że ani jej, ani jemu nie przyszło do głowy, aby spojrzeć w górę.

Obserwowałam ich, siedząc bez ruchu, skulona na grubej gałęzi. Zastanawiałam się, czy czuć ode mnie jakiś zapach. Przed laty czytałam gdzieś, że naoczni świadkowie, którzy widzieli Wielką Stopę, często wspominali ohydny fetor, który poprzedzał pojawienie się tajemniczej istoty. Ja, w każdym razie, niedawno wzięłam prysznic. W ludzkiej postaci, rzecz jasna, ale mimo to żadne z tych dwojga nie zmarszczyło nosa i nie powiedziało: „Tutaj śmierdzi wampirem zmienionym w nietoperza”.

Naprawdę dobrze się złożyło, że nie spojrzeli w górę. Mężczyzna skończył palić papierosa i powiedział, że za parę godzin kończy zmianę, będzie sam u siebie w pokoju, więc może...? Kobieta zgodziła się chętnie.

Oprych o duszy niepoprawnego romantyka kiwnął głową, pstryknął niedopałkiem gdzieś daleko i ruszył przed siebie, a bezwstydną zdzira za nim. Wciągnął ich kontrolowany chaos, który ogarnął gangsterską rezydencję. Coś się tam działo, ale co? Docierały do mnie strzępki rozmów, ale nie sposób było się czegoś z nich domyślić. Raz zobaczyłam samego Jerry'ego Bluma w asyście sporej grupki mężczyzn, wysokich i ciemnowłosych. Szli niespiesznie, z ostentacją, a ja prowadziłam ich wzrokiem od okna do okna, aż wreszcie zniknęli gdzieś w głębi domu.

Wiedziałam, że trudno będzie dorwać go samego.

Byłam jednak cierpliwym potworem, choć może ciężkim i niezgrabnym.

Wiatr powiał mocniej, zakołysał drzewem. Przesunęłam szponiaste łapy na gałęzi, rozłożyłam nieco

skrzydła i znieruchomiałam skulona. Czekala mnie  
cała noc na czatach.

**214**

**38**

Zjechałam z Carbon Canyon Road, szosy wijącej się  
wśród wzgórz i pagórków regionu Chino, na niemalże  
niewidoczną drogę dojazdową.

Stuart Young, mój klient i właściciel precyzyjnej  
łysej głowy, obejrzał się na mnie nerwowo. W odpowiedzi  
uśmiechnęłam się szeroko i mrugnęłam do  
niego.

– Na pewno wiesz, dokąd jedziemy? – zapytał.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparłam.

– Nic dziwnego – zaśmiał się dobrodusznie. –

Skąd masz wiedzieć? W końcu jedziemy nocą przez  
ciemny las.

– Fajnie, co?

Nie groziło nam raczej, że się zgubimy: trawiaste  
wzgórze wznoszące się przed nami oddzielało od  
szosy raptem niecałe pół kilometra dzikiego lasu. Nawet  
gospodyni domowa dałaby radę zorientować się  
w takim terenie. Przedtem jechaliśmy krętą Carbon  
Canyon Road. Mówi się, że jest to skrót z hrabstwa  
Orange do hrabstwa Riverside, ale dla mnie to normalna  
droga, jak wszędzie, tyle że korki tam mniejsze,  
a widoki ładniejsze.

**215**

Moja furgonetka nie była stworzona z myślą o drogach  
gruntowych, ale radziła sobie całkiem nieźle,  
podskakiwała na wybojach, szorując bokami o zarośla,  
aż wreszcie stanęła pod bramą z dwóch poziomych,  
metalowych sztab.

– Chyba zamknięte – zauważył Stuart.

– Poczekaj – powiedziałam i wyskoczyłam z wozu.

Gołą dłonią odsunęłam kolczastą gałąź, która wisiała  
mi na drodze. Ciernie przeorały mi skórę do  
krwi, ale zanim doszłam do bramy, wszystko zdążyło  
się już zagoić.

Pięknie.

Sterczał tam porzewiały słupek, wbity głęboko  
w ziemię. Na słupku wisiał gruby łańcuch zapięty na  
masywną, przemysłową kłódkę. Zastanawiałam się  
często, kto nosi klucze do takich urzędowych zamków,  
kłódek i różnych takich. Jest pewnie gdzieś jakaś

zapomniana przez wszystkich brama, przed którą sterczy facet z wielkim pękiem kluczy i powoli dostaje świra.

Kłódka była wielka i ciężka. Kiedy wzięłam ją w dłoń, łańcuch brzęknął. Odwróciłam się plecami do Stuarta i wsunęłam palec za pokryty plamami rdzy pałąk kłódki, jednym szybkim szarpnięciem wrywając go z obudowy.

– Mamy szczęście! – zawołałam, rzucając całe to żelastwo na ziemię. – Otwarte!

## 216

F

Dotarliśmy na polanę nad brzegiem jakiegoś wąwozu; u stóp skarpy, sześć metrów poniżej, płynęła nieduża, przyjemnie szumiąca rzeczka. Jeszcze milsze były ptasie świergoty rozbrzmiewające wśród drzew. Las, a w zasadzie coś, co na południu Kalifornii uchodzi za las, czyli zagajnik złożony ze strzępiastej kępy dzikiego bzu, kilku pokracznych iglaków, kolczastej opuncji, gęstych zarośli bylicy i agrestu oraz innego zielska, o którym nawet nie wspominali nam w szkole na biologii – powoli tonął w ciemności.

Stanęliśmy na otwartej polanie, otoczeni ścianą drzew. Mój szósty zmysł podpowiadał mi, że kiedyś coś tutaj zaszło, jacyś ludzie fizycznie tutaj cierpieli. Nie mogłam jednak odgadnąć, co to mogło być. Wizje, które podsuwał mi ten szósty zmysł, były w najlepszym razie mgliste. Odebrałam jednak trzask, jakby coś pękło – może kość? – a potem głuchy łomot toczącego się bezwładnie samochodu. Stanęłam na skarpie, spoglądając w dół. Proszę bardzo, na samym skraju były ślady, głębokie bruzdy wyżłobione oponami w miękkiej ziemi. Ktoś tutaj wjechał i spadł na łeb, na szyję, lądując w rzece.

Odwróciłam się do Stuarta.

– Tutaj go przyprowadzę – oznajmiłam mu.

## 217

Mój towarzysz wyszedł na środek polany, rozglądając się dookoła; być może wyobrażał sobie, jak walczy na śmierć i życie z szefem mafii: prawdziwy pojedynek gladiatorów na arenie.

– Dobre miejsce. – Skinął głową. Minę miał niewyraźną, jakby było mu niedobrze.

Nad polaną śmignęła sójka, przesywając cienie  
i półmrok. Zniknęła wśród gałęzi drzew wysoko nad  
naszymi głowami, a mnie przypomniała się stara piosenka  
George'a Harrisona *Blue Jay Way*, o mgle w Los  
Angeles i człowieku czekającym pod adresem z sójką  
w nazwie na przyjaciół, którzy zgubili drogę.  
Mężczyzna stojący obok mnie na leśnej polanie  
także zgubił drogę; cierpienie, żal i wściekła żądza  
zemsty wywróciły jego życie do góry nogami. Spoglądał  
w ciemniejące niebo, które przezierało tu i ówdzie  
pomiędzy splątanymi gałęziami drzew. Jego łysa  
czaszka lśniła matowo w przyćmionym świetle.  
Każdy z nas kiedyś musi się zgubić, pomyślałam.  
I tylko niektórzy szukają drogi dłużej niż inni.  
Czasami może to trwać całą wieczność.  
– Z jednej strony nie bardzo chce mi się wierzyć,  
że naprawdę uda ci się go tutaj sprowadzić – powiedział  
Stuart, nie opuszczając zadartej w górę głowy.  
Jego głos niósł się daleko, aż do najwyższych, powykręcanych  
gałęzi.  
Nie odpowiedziałam.

## 218

– Ale z drugiej – ciągnął – wierzę, że dasz radę.  
Nie jest to zbyt mocna wiara, ale coś mi mówi, że jakimś  
sposobem naprawdę załatwisz mi spotkanie  
oko w oko z największym skurwielem w hrabstwie  
Orange.  
Milczałam nadal, stojąc oparta o zderzak swojej  
furgonetki, z rękoma splecionymi na brzuchu. Wiał  
lekki, gorący wiatr.  
– I tak sobie myślę – podjął znów Stuart – co zrobię,  
jeśli rzeczywiście się z nim spotkam? Co zrobię,  
jeśli Samancie Moon naprawdę uda się go przyprowadzić?  
Opuścił głowę i spojrzał na mnie. Twarz częściowo  
miał ukrytą w cieniu. Ja w takich warunkach widziałam  
dobrze, ale on już raczej nie. Nie mógł  
widzieć więcej niż zarys mojej postaci. Z całą pewnością  
był to atrakcyjny zarys.  
– Odpowiedź na to pytanie jest akurat prosta,  
Sam – rzekł. – Jeśli go do mnie przyprowadzisz, nie  
będę miał litości. Zrobię wszystko, co w mojej mocy,  
aby cierpiał, tak jak ja cierpiałem przez niego. Ale  
najpierw posłucha ostatniej wiadomości, którą nagrała  
mi żona. Chcę, żeby usłyszał jej głos, żeby jej słowa

były ostatnimi, które usłyszy ten skurwiel.  
Nad naszymi głowami, całkiem nisko, przeleciał  
nieduży, jednosilnikowy samolot, dając o sobie znać  
równym, spokojnym warkotem. Jakiś owad usiadł mi

## 219

na rękę. Komar. Strzepnęłam go, żeby przypadkiem  
mimo woli nie stworzyć rasy nieśmiertelnych komarów,  
odpornych na aerozole i zdolnych przeżyć nawet  
rozniesienie na miazgę.

– Ale dam mu szansę – kontynuował Stuart. – Będzie  
mógł walczyć, chociaż moja żona nie mogła. Nie  
wiem jeszcze, jak ma wyglądać ta walka, ale coś wymyślę.  
Milczeliśmy, a tymczasem las rozbrzmiewał odgłosami.  
Drzewa szumiały, poruszane gorącym wiatrem,  
ptaki świergotały, krakały i zawodziły trele. Ze  
wszystkich stron dochodził cichy, buczący szmer mówiący  
o życiu i energii, złożony z łagodnie zmieszanych  
głosów wszelkich żywych, oddychających istot,  
nawet tych najmniejszych. Czasem zaszeleścił liść albo  
jakieś szybkie, małe zwierzę przebiegło po pniu  
drzewa. Raz czy dwa przeleciał nad nami ptak, lawirując  
wśród splecionych gałęzi. W mdłym półmroku  
rozlegało się buczenie owadów, to cichnąc, to przybierając  
na sile.

Stuart zwiesił głowę. Gdy na jego łysej czaszce  
przysiadł jakiś owad, grożąc zaburzeniem idealnej  
harmonii jej kształtu, od niechcenia uniósł rękę  
i trzepnął się w skroń, a potem otarł dłoń o siebie. Co  
za ulga, niebezpieczeństwo zażegnane. I wtedy zauważyłam  
jego łzy; szlochał cicho, prawie niezauważalnie.

## 220

Czekałam, oparta o furgonetkę. Stuart płakał jeszcze  
przez jakiś czas, a potem skinął głową i otarł oczy.  
Jego gładka czaszka lśniła karminowo.

– Zróbmy to – powiedział, jeszcze raz kiwając  
głową.

– Nie musisz tego robić – przypomniałam mu.

– Nie, to jest najlepsze wyjście. Jedyne wyjście,  
Sam. Chcę sprawiedliwości, ale sąd mi jej nie da.

– Jerry Blum to zawodowy morderca. Na pewno  
umie walczyć. I zabije cię, jeśli tylko dasz mu okazję.

– Kilka tygodni temu, po naszej ostatniej rozmowie,  
zacząłem trenować boks.

– Gdzie? – zaciekałam się.

- U takiego niewysokiego Irlandczyka. Mówił, że cię zna. Podobno jesteś wybrykiem natury.
  - Jacky przesadził, jak zwykle zresztą.
  - Opowiadał mi, jak znokautowałaś mistrza z piechoty morskiej.
  - Mistrz sam się prosił.
- Stuart spojrział na mnie. Czerwone plamy powoli znikwały z jego czaszki. Chodząca łagodność: delikatny, drobny facecik. Wątpiłam, że w pojedynkę mógłby pokonać zaprawionego w bojach gangstera.
- Fascynująca z ciebie kobieta – powiedział w pewnej chwili.
  - Podobno – odparłam, postanawiając zmienić temat, zwłaszcza że rozmowa zaczynała krążyć wokół

## 221

- mojej osoby. – Stuart, są spore szanse, że kiedy za kilka dni się spotkacie, to już nie wyjdiesz z tego lasku. To chyba do niego trafiło. Zamyślił się na chwilę.
- No cóż, to dobre miejsce na śmierć, prawda? – odezwał się wreszcie.
  - Wcale nie musisz umierać, Stuart.
  - Nie muszę – zgodził się. – Zawsze mogę go zastrzelić i nawet nie będzie wiedział, co go trafiło. Albo przyjść na to spotkanie uzbrojony po zęby.
- Milczałam. Coraz mniej podobał mi się cały ten pomysł.
- On zabił moją żonę, Sam – mówił dalej Stuart.
  - A najpierw dał jej posmakować strachu. Śmiertelnego strachu. Pomyśl o tym. Przez niego kobieta, którą kochałem, której oddałem całe swoje życie, z którą miałem stworzyć rodzinę, zginęła w płomieniach. Nienawidzę go. Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo go nienawidzę. Owszem, pewnie mógłbym po prostu strzelić mu w łeb i wywalić mózg na wierzch. I może tak zrobię, jeszcze się nie zdecydowałem. Nie wiem. Ale chciałbym go pobić, Sam. Pięściami. Chcę usłyszeć, jak łamie mu się nos. Zobaczyć jego krew. Chcę go walić z całej siły, tak jak jeszcze nikogo w życiu nie biłem. Chcę widzieć w jego oczach ten sam śmiertelny strach, kiedy zrozumie, że już nie wstanie z ziemi, że za chwilę umrze.
  - A gdy go już zabijesz? – zapytałam. – Co wtedy?
- Stuart odwrócił się do mnie, kompletnie zbity z tropu tym pytaniem. O tym, oczywiście, nie myślał



już zbyt wiele. Na jego skroni widniał czerwony ślad. Komar oddał życie, ale zdążył jeszcze przebić mu skórę. Cholerny, mały krwiopijca.

– Nie wiem, Sam. Naprawdę nie wiem – odpowiedział, a potem spojrzał mi prosto w oczy. – Pomożesz, mimo wszystko?

Nigdy nie byłam szczególną zwolenniczką sprawiedliwości wymierzonej w aktach samoobrony obywatelskiej.

Dawno, przed laty, przysięgałam stać na straży prawa. A to, co teraz planowaliśmy, wymagało działania zdecydowanie poza prawem. No i poza tym było kompletnym szaleństwem.

Cóż, żyjemy w szalonych czasach, pomyślałam.

– Pomogę – obiecałam. – Jasne, że tak.

– Dziękuję.

Kiedy to powiedział, nagle przeszył mnie tępy dreszcz, a ze Stuartem stało się coś bardzo dziwnego.

Na jedną chwilę otoczyła go ledwo widoczna, ciemnawa aureola. Błysnęła raz, potem drugi i znikła.

**223**

**39**

Ktoś zapukał do drzwi mojego pokoju w hotelu.

Monica, która czytała sobie spokojnie na łóżku, gwałtownie poderwała głowę, spoglądając na mnie.

Wstałam od laptopa i otworzyłam szufladę nocnej szafki, wyjmując z niej kaburę z małym rewolwerem.

Z bronią w dłoni podkrađłam się cicho do drzwi i stanęłam obok nich. Nigdy nie wolno stawać na wprost wejścia.

– Kto tam? – zapytałam.

– Sherbet.

Na dźwięk tego nazwiska uśmiechnęłam się szeroko.

Polubiłam tego detektywa, który postarzał się na służbie w wydziale zabójstw w Fullerton. Przed kilkoma

miesiącami pomagał mi wyjaśnić sprawę nieudanego zamachu na Kingsleya Fulcruma, a długie

noce w samochodzie, na deszczu, kiedy razem obserwowaliśmy podejrzanych, zbliżyły nas do siebie. Jednakże bynajmniej nie na tyle, abym zdradziła mu mój supertajny sekret.

Przekręciłam klucz w zamku i otworzyłam drzwi.

Na progu stał detektyw Sherbet, kawał chłopa.

W dłoni trzymał przetłuszczoną torbę z pączkami.

**224**

Oddychał głośno przez otwarte usta; domyśliłam się, że dla starszego pana spacer hotelowym korytarzem to było trochę za dużo. Pączki też wcale nie robiły dobrze na kondycję.

– Ma pani wolną chwilę? – zapytał.

– A mogę powiedzieć, że nie mam? – odpowiedziałam pytaniem.

– Nie bardzo.

– W takim razie zapraszam.

Sherbet wszedł do środka i skinął mi głową, ale gdy zobaczył Monicę, pomaszerował prosto do niej i wyciągnął dłoń – druga, oczywiście, była zajęta torbą z pączkami – w której zmieściły się obie jej dłonie.

Monica, gdy tylko go zobaczyła, od razu usiadła na łóżku; wyglądała teraz trochę jak nastolatka rozmawiająca ze swoim dziadkiem.

– Witaj – powiedział detektyw ciepłym tonem. –

Pilnujesz Samantha, jak widzę?

Uśmiechnęła się, a w każdym razie próbowała się uśmiechnąć, bo w następnej chwili wybuchnęła płaczem. Sherbet spokojnie postawił swoją torbę na szafce nocnej, usiadł obok i przytulił dziewczynę, szepcząc coś pocieszającym tonem. Trwało to kilka minut.

Wreszcie detektyw uścisnął Monicę jeszcze jeden raz, poklepał ją po dłoni i wstał, zabierając torbę.

Wyszliśmy we dwoje na balkon, a on zasunął za mną

**225**

drzwi i usiadł na brudnym fotelu. Otworzył swoją torbę i zajrzał do środka, po czym wyciągnął pączka oblanego jasnoróżowym lukrem.

– Myślałam, że nie lubi pan różowego – powiedziałam.

– I w ogóle kolorów tęczy.

– Powoli się przekonuję – odparł, podnosząc „niemęskiego” pączka do ust.

– A propos tęczy – zagadnęłam – co słyhać u pańskiego syna?

Sherbet zastygł z ustami pełnymi ciasta i lukru.

Sapnął głośno przez nos, potem przełknął, patrząc na mnie z ukosa.

– To było poniżej pasa, pani Moon – mruknął.

– Wie pan przecież, że uwielbiam tego dzieciaka.

– Ja też – kiwnął głową. – Na razie wszystko w porządku. Ostatnio przyłapałem go, jak przymierzał

rajstopy mojej żony. Rajstopy – powtórzył z naciskiem.  
– I co pan zrobił? – zapytałam, tłumiąc chichot.  
– Szczerze? Zamknąłem się w swoim pokoju i siedziałem po ciemku z godzinę albo dwie.  
– A więc zniósł pan to całkiem nieźle.  
– Jak chyba każdy ojciec.  
– Ale przecież kocha pan syna.  
Sherbet znów zanurzył dłoń w torbie.  
– Trochę to dziwne, ale Kocham go teraz chyba nawet bardziej.

## 226

– Tak?  
W dłoni detektywa pojawiło się jabłko w cieście, upstrzone resztkami różowego lukru z pochłoniętego przed chwilą pączka. Sherbet pieczołowicie zlizął te słodkie okruszki.  
– Chłopak będzie miał pod górkę w szkole – powiedział.  
– W szkole i w ogóle wszędzie. Będzie potrzebował silnego wsparcia.  
Poklepał się po okrągłym kolanie, ciasno opiętym nogawką. Odniosłam wrażenie, że przytył od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. Pięc, może nawet siedem kilo. Jego głos też nie brzmiał zbyt zdrowo. Kiedy detektyw zajął się swoim jabłkiem, delikatnie wyjęłam mu z dłoni przetłuszczoną torbę. Patrzył z niedowierzaniem, jak wystawiam rękę za poręcz balkonu.  
– Nie – wymamrotał.  
– Tyje pan coraz bardziej, detektywie. I chyba potrzebny już panu respirator. A pączki nie są zdrowe.  
– Jakbym słyszał żonę.  
– Niech pan lepiej jej posłucha – oznajmiłam, wypuszczając torbę z palców. Pięc sekund później dobiegło nas plaśnięcie o chodnik, osiem pięter niżej.  
– Powinienem wlepić pani mandat za zaśmiecanie  
– skrzywił się Sherbet.  
– Proszę bardzo.

## 227

– Nie mogę pisać, ręce mi się lepia. – Zabrał się do tego, co zostało z jabłka w cieście. – Poza tym przyszedłem o czymś pani powiedzieć.  
– Słucham.  
– Zadzwoił do nas facet, który mieszka w tym

hotelu – zaczął, oblizując sobie palce. Czekałam cierpliwie.

– Zgłosił, że od paru dni kręci się tutaj jakiś dziwny typ i ciągle obserwuje. Wysłaliśmy jednego z naszych chłopaków, żeby się rozejrzał i pogadał z gościem.

Tamten próbował się tłumaczyć, ale cała sprawa nieładnie nam pachniała, więc zabraliśmy go na przesłuchanie.

– Rozmawiał z wami?

– Z początku nie chciał, ale proszę mi wierzyć, że koncertowo wchodzę w rolę złego gliniarza.

– Zły gliniarz? Pan? Nigdy w życiu!

Sherbet wyszczerzył zęby w uśmiechu. Na wąsach, swoich policyjnych wąsach, miał drobinki różowego lukru. Powinnam mu o tym powiedzieć, ale wyglądał tak słodko, że postanowiłam tego nie robić.

– No więc – podjął – przycisnąłem gościa i w końcu wszystko mi wyśpiewał.

– To był płatny morderca – powiedziałam.

– Wie pani o tym?

– Nie o wszystkim. Domyśliłam się tego i owego.

– Na przykład?

– Wynajął go Ira Lang.

– Trafiony, zatopiony. – Sherbet wycelował we mnie palec wskazujący, gruby, lepki i błyszczący.

**229**

**40**

Detektyw Sherbet opadł na oparcie fotela i skrzyżował swoje włochate ramiona na tęgim brzuchu. Na ogół nie przepadam za takimi krągłościami i owłosieniem

– nie tylko na rękach – ale u niego ten nadmiar

włosów i dorodna oponka były w sam raz. Były

wręcz, co dziwne, całkiem atrakcyjne. Gdyby nie

miał żony, a ja byłabym ze dwadzieścia lat starsza,

mógłby wpaść mi w oko, poważnie.

Chyba zauważył, że patrzę na jego brzuch; machinalnie

poprawił koszulę, nie zdając sobie najwidoczniej

sprawy, że tusza dodaje mu męskości. Przynajmniej

w moich oczach. Nie mogę ręczyć za wszystkie

kobiety na świecie.

Chyba miałam kompleks ojca, cokolwiek by to miało znaczyć.

– Powiedział mi coś jeszcze – ciągnął dalej

Sherbet, zaglądając przez szybę w drzwiach do pokoju;

Monica siedziała na skraju łóżka, wykręcając

sobie ręce i kołysząc się lekko. Chyba też coś do siebie mamrotała albo może śpiewała. Widziałam, jak potwornie cierpi, i współczułam jej z całego serca.

### 230

– A mianowicie? – spojrzałam z powrotem na Sherbeta.

– Ira Lang nigdy nie odpuści. Będzie próbował ją zabić za wszelką cenę. Podobno kontaktował się w więzieniu z wieloma różnymi ludźmi. Jeden wynajęty zbir wpadł nam w ręce, ale następnego możemy już nie złapać.

– Nie da jej spokoju – przytaknęłam. – Tylko śmierć jednego z nich może to zakończyć.

– Lang czeka na egzekucję, więc w jego wypadku to już niebawem.

– Kilka lat jeszcze poczeka.

– Albo i dłużej – zgodził się Sherbet. – Chyba że, oczywiście, złoży mu pani jeszcze jedną wizytę i tym razem nie przeżyje konfrontacji.

– Groził moim dzieciom – powiedziałam.

– Broni ich pani jak lwica.

– Lwice bronią swoich dzieci nieco inaczej.

Detektyw spojrzał na mnie baczny wzrokiem, jakby chciał coś powiedzieć. Przez chwilę milczał, ale potem chyba się rozmyślił.

– Lang wyszedł już ze szpitala – powiedział, zmieniając temat. – Wrócił do więzienia.

– I tam jest jego miejsce.

– Zgadzam się w zupełności.

Milczeliśmy przez chwilę. Przeworsowany żołądek detektywa rozpoczął trawienie pączków, wydając przy tym smętne odgłosy.

### 231

– Coś sobie przypomniałem – odezwał się wreszcie Sherbet, sięgając po sfatygowaną teczkę, którą przyniósł razem z przetłuszczoną torbą, i wyciągając z niej jakiś nieduży elektroniczny gadżet. – Chcę pani coś pokazać.

– Swoje nowe DVD? – zapytałam.

– Coś w tym stylu – uśmiechnął się szeroko. – Pożyczyłem z pracy.

Przyglądałam się z rozbawieniem, jak usiłuje uruchomić miniaturowe urządzenie swoimi serdelkowatymi palcami: położył je sobie na dłoni, oglądając ze

wszystkich stron.

– Cholernie małe teraz wszystko robią – burknął zrzędliwie.

– Może ja spróbuję, panie detektywie? – zaproponowałam.

Odetchnął z wdzięcznością i podał mi aparacik.

Kiedy dotknęłam przełącznika umieszczonego z boku, urządzenie ożyło z cichym szmerem.

– Mam włączyć odtwarzanie? – zapytałam.

– Tak. – Skinął głową.

Postawiłam odtwarzacz na stole, wciskając klawisz „Play”. Po chwili moim oczom ukazała się wstrętna scena. Nagranie pochodziło z więziennego monitoringu, z kamery zainstalowanej w rozmównicy. Widać na nim było dwójkę ludzi rozmawiających przez słuchawki, rozdzielonych grubą, kuloodporną szybą.

## 232

Obraz na małym ekraniku poruszył się. Podczas odtwarzania Sherbet obserwował mnie uważnie. Nie znoszę, jak się mnie tak obserwuje. W pierwszym odruchu chciałam wyłączyć to cholerne ustrojstwo i cisnąć je na ulicę, w ślad za torbą z pączkami.

Potem przyszło mi do głowy, żeby zbyć sprawę żartem i powiedzieć, na przykład, że kamera dodała mi z pięć kilo wagi. Szybko jednak się rozmyśliłam.

Tego nie można było obrócić w żart.

Myliłam się: w rozmównicy była kamera. Pewnie ukryta.

Poza tym chwyciły mnie mdłości i nie było mowy o dowcipkowaniu, więc mogłam tylko oglądać nagranie – z przerażeniem, a jednocześnie z ciekawością.

Koniec końców rzadko się zdarza, żebym mogła zobaczyć, jak wyglądam.

Tamtego wieczoru miałam, oczywiście, gruby makijaż, bo wiedziałam, że w więzieniu na każdym kroku będą kamery i muszę się postarać, aby nie uchwyciły nawet fragmentu mojego niewidzialnego ciała.

Zawsze zresztą mocno się maluję, gdy spodziewam się monitoringu.

Mimo to obraz był, oględnie mówiąc, ziarnisty.

I bez dźwięku. Na małym monitorze widać było, jak pochylałam się w przód, mówiąc coś do Iry Langa, powoli i wyraźnie. Lang, wsparty łokciami na blacie, patrzył mi prosto w oczy i nawet nie mrugnął. Ani

**233**

razu. Wtedy tego nie zauważyłam. A może tak tylko wyszło na tym ziarnistym nagraniu?

Kamera była zamontowana pod sufitem. Pod tym kątem uchwyciła tylko mój profil, i to niepełny. Pomimo narastającego strachu przed tym, co miało zaraz nastąpić, patrzyłam zafascynowana.

Nigdy w życiu nie wyglądałam tak szczupło jak na tym nagraniu. To chyba dobrze. Były też ode mnie siła i energia. Byłam bardzo daleka od stereotypu wampira, bladego, o niezdrowym wyglądzie. Miałam jednak świadomość, że nie zawsze prezentuję się tak korzystnie. Rozmawiałam z Langiem wczesnym wieczorem. O tej porze wyglądałam lepiej. Tak przynajmniej słyszałam.

A gdybym miała ocenić osobiście – to należało przyznać, że rzucam się w oczy. Czy byłam piękna? Niekoniecznie. Ale zwracałam uwagę.

Nagranie dobiegło do momentu, gdy rzuciłam kilka stanowczych słów, przekrzywiając lekko głowę. Potem wstałam z krzesła i sięgnęłam po torebkę.

A wtedy Ira Lang coś odpowiedział, coś, co sprawiło, że natychmiast usiadłam z powrotem, pochylając się bliżej, do samej szyby. On zrobił to samo, szczerząc się jak idiota, pewien, że jest bezpieczny za grubą taflą szkła.

Moja twarz się zmieniła, wyglądała teraz potwornie. Nagle to już nie byłam ja. Prawdę powiedziawszy,

**234**

nie wiedziałam, kogo oglądam: ta kobieta na nagraniu była obca, jak z innego świata. Poruszała się także jakoś dziwnie. Jej gesty były niezwykle oszczędne, wręcz nieuchwytnie dla oka. Pełne opanowanie, wszystko zaplanowane, niemalże wyćwiczone. Kobieta na tym nagraniu sprawiała wrażenie, jakby bardzo jej odpowiadało siedzenie w kompletnym bezruchu. Ale to byłam ja; poruszyłam się w końcu, kiwając palcem na Langa, żeby zbliżył się jeszcze bardziej. Posłuchał.

To trwało tylko chwilę. Widać było, że siedzę spokojnie – i nagle moja ręka przeszła na wylot przez szybę, chwyciła Langa jak kleszczami i pociągnęła go twarzą prosto na roztrzaskane szkło. Raz, potem drugi, trzeci, następny. To był kompletnie niewytłumaczalny

widok: nieduża kobieta wybiła dziurę w grubej szybie i całkowicie sponiewierała dorosłego faceta, skazanego przestępcę, mordercę, raz po raz waląc jego głową o szklaną tafelę, jakby był szmacianą lalką.

To zdawało się niepojęte. Niezrozumiałe.

A może inaczej: nie można było tego wyjaśnić w żaden normalny sposób.

Sekundę później do salki wpadli strażnicy. Obleźli mnie jak mrówki, więc umknął mi obraz, który zobaczyłam dopiero teraz, na nagraniu: głowa Iry Langa tkwi w wybitej dziurze, rozcięta głęboko skóra

### **235**

na czole zwisa zrolowana jak wieczko puszek sardynek.

Krawędź stłuczonej szyby wrzyna mu się głęboko w gardło, a krew ścieka po szkło, nieprzerwanym strumieniem tryska na blaty po obu stronach. Lang dławi się nią; gdyby natychmiast nie otrzymał pomocy, to z całą pewnością umarłby w ciągu kilku minut.

Sherbet sięgnął do przycisku i z największą łatwością wyłączył odtwarzacz. Potem opadł z powrotem na oparcie fotela, wciąż obserwując mnie uważnie.

– Strażnicy napisali w raporcie, że nie mogli powalić pani na podłogę – powiedział. – Było ich trzech, ale i tak ledwie dali radę.

Milczałam. Nie wiedzieć czemu wciąż miałam przed oczami wyraz swojej twarzy uwieczniony przez kamerę więziennego monitoringu. Obojętna mina, zero mimiki.

– Jak pani sama widziała – kontynuował detektyw – gołą dłonią przebiła pani kuloodporną szybę, ruchem tak błyskawicznym, że prawie umykającym percepcji. Byliśmy pewni, że to twardy dysk przeskokczył, może nawet o parę sekund, ale zegar na nagraniu idzie równo, co do sekundy. Siedzi pani bez ruchu, a dwie dziesiąte sekundy później w szybie jest dziura. I trzeba dodać, że w ciągu tych dwóch dziesiątych sekundy wykonała pani tylko jeden drobny ruch. Odłamki szkła lecą na wszystkie strony, a pani, dokładnie w tej samej chwili, łapie Langa za kołnierz.

### **236**

– Potrząsnął głową. – Tego się nie da wytłumaczyć.

To wbrew prawom fizyki.

Niebo widoczne z balkonu mojego pokoju przecinały



smugi złożone z setek świetlnych drobinek, tryskające we wszystkie strony. Dzięki Bogu, że nie zwracam na nie uwagi, bo chyba bym dostała świra. Najwidoczniej wampiry nie są podatne na nerwicę natręctw.

Detektyw spojrział na mnie.

– Jak pani to skomentuje?

Wpatrywałam się w nocne niebo, wodząc wzrokiem za kaskadami roztańczonych światełek. Nie myślałam już o żartach. Trzeba było rozwiązać ten problem.

– Kamera w więzieniu jest popsuta, panie detektywie, to chyba jasne – odparłam w końcu.

Sherbet skinął głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– A w jaki sposób przebiła pani kuloodporną szybę?

– Szyba była już pęknięta.

– Nie widać tego na nagraniu.

– Sam pan powiedział, że obraz nie jest zbyt ostry.

Skinął ponownie, tym razem odwracając głowę w tym samym kierunku co ja. Wątpię, żeby mógł zobaczyć kłębiące się światelka.

– Dlaczego pokazali panu to nagranie? – zapytałam.

## 237

Detektyw zachichotał pod nosem.

– Żartuje pani? Cały wydział to oglądał. Co tam wydział – połowa chłopaków z całego stanu już to widziała. Niech się pani cieszy, że jeszcze nie trafiło do telewizji.

– Do internetu – poprawiłam. Nagle chwyciły mnie mdłości. No, to na tyle by było unikania rozgłosu, pomyślałam.

– Może pani sobie wyobrazić, jak się zdziwiłem – ciągnął Sherbet – gdy się dowiedziałem, że ta wariatka z nagrania to pani.

– Wyobrażam sobie, że z tego zdziwienia upuścił pan swojego pączka.

– Nie. Aż tak nic mnie jeszcze nie zdziwiło.

– Więc po co pan tutaj przyszedł? – zapytałam.

– Pogawędzić ze starą znajomą.

– Nie jestem taka stara.

Skinął głową po raz trzeci, jak gdyby to była odpowiedź na pytanie, które chodziło mu po głowie.

Siedzieliśmy w milczeniu. Zerknęłam przez ramię do pokoju: Monica włączyła telewizor i oglądała

jakiś program, chyba komediowy, bo słyhać było głośne wybuchy śmiechu. Ona też się śmiała, cicho i niewinnie.

– Jestem po pani stronie – odezwał się wreszcie Sherbet.

– Wiem o tym.

**238**

– Wszystko, co mi pani powie, pozostanie między nami.

– Wszystko?

– Tak.

– Dobrze wiedzieć.

– Martwię się o panią.

Nie spodziewałam się usłyszeć w jego chropawym głosie takiej czułości. Wzruszyłam się do głębi, a gardło

ścisnęło mi się tak, że przez chwilę nie mogłam mówić. Skinęłam więc tylko głową. Oczy zaszyły mi łzami.

– Gdyby chciała pani porozmawiać – dodał detektyw

– gdyby potrzebowała pani przyjaciela albo jakiegokolwiek pomocy, może pani na mnie liczyć. Zawsze.

Łzy przelały się i pociekły mi po policzkach.

Sherbet przygarnął mnie do siebie i mocno przytulił.

Poczułam zapach wody po goleniu zmieszany z aromatem tłuszczu do smażenia pączków i nikłą wonią potu. Ta ostatnia nuta też dodawała mu męskości: koniec końców przez cały dzień walczył z przestępcami.

Po długim dniu facet nie może być absolutnie świeży.

Zniknęłam całkowicie w jego włochatych ramionach.

Przez kilka sekund czułam się – to ogromna rzadkość – bezpiecznie, na swoim miejscu i pod dobrą opieką.

A potem detektyw cofnął się i starannie schował miniodtwarzacz z powrotem do swojej wysłużonej teczki. Delikatnie trącił mnie kciukiem w podbródek, uśmiechnął się smutno i wszedł do pokoju.

Patrzyłam przez szybę, jak rozmawia cicho z Monicą, trzymając ją za ręce; w jednej jego dłoni zmieściły się jej obie. Na koniec powiedział jeszcze kilka słów i wskazał głową w moją stronę, a ona przytaknęła.

Wiedziałam, że chciał dodać jej otuchy, zapewnić, że znalazła się w dobrych rękach.

Kiedy zamknęły się już za nim drzwi, Monica wyszła na balkon i usiadła na sąsiednim fotelu, biorąc mnie za rękę. Trwałyśmy tak w milczeniu przez kilka minut.

Wreszcie przerwałam ciszę.

– Policja złapała faceta, który kręcił się dookoła hotelu.

– Ira go wynajął – odpowiedziała cichutko. W jej głosie brzmiały bezradność i dezorientacja. Domyśliłam się, że próbuje ogarnąć swoim rozczulająco prostolinijnym, niewinnym umysłem, dlaczego mężczyzna, którego kiedyś kochała, wynajął innego mężczyznę, żeby zrobił jej krzywdę. Żeby ją zabił. I gdy tak siedziałyśmy razem, trzymając się za ręce i patrząc, jak przepołowiona tarcza księżyca pnie się powoli po zamglonym nocnym niebie, nagle zrozumiałam, co muszę zrobić.

**240**

**41**

Lot. Wolność. Życie jest piękne.

Do pełni księżyca pozostał jeszcze mniej więcej tydzień. Niepełna srebrzysta tarcza świeciła jasno, wisząc wysoko na niebie. Widok księżyca, a nawet myśl o nim automatycznie przypominały mi o Kingsleyu Fulcrumie. A każda myśl o Kingsleyu Fulcrumie przypominała mi, również automatycznie, że jest bydlakiem i potworem. Do tego drugiego sam się zresztą przyznawał. Co prawda nigdy jeszcze nie widziałam jego przemiany w wilkołaka i nie bardzo chciałam wierzyć, że naprawdę nim jest. Wołałam myśleć, że padłam ofiarą wielkiej mistyfikacji.

Albo że Fulcrum ma urojenia.

Bo jak to tak? Prawdziwy wilkołak? Poważnie?

Powiedziała kobieta-nietoperz szybująca nad hrabstwem Orange...

Jeśli mam być szczerą, to w głębi serca wciąż jeszcze miałam nadzieję, że wszystko okaże się długim, przerażającym koszmarem, z którego za chwilę z ulgą się obudzę.

Chcę się już obudzić, pomyślałam. Jestem gotowa.

Proszę.

**241**

Skręciłam w lewo, łapiąc wiatr, który porwał mnie wysoko w górę. Uderzyłam skrzydłami, płynnie, bez

większego wysiłku, wzbijając się w niebo niczym latająca platforma z parady na Święto Dziękczynienia – oczywiście w wersji z piekła rodem.

A jednak, pomyślałam sobie, fakt istnienia jednego potwora (czyli mnie) wcale nie musi oznaczać, że wszystkie inne potwory również istnieją.

Czyżby? A jeśli w opowieściach o nocnych stworach jest ziarno prawdy? Może nawet więcej niż ziarno?

Czy istnieją dobre duszki? Anioły? Kosmici?

Demony? Krasnoludki z reklamówek? I czy krasnoludki to też dobre duszki, czy nie? A może jest odwrotnie?

Nie miałam pojęcia.

Kingsley był najprawdopodobniej dokładnie tym, za kogo się podawał: wilkołakiem. Już kilka razy miałam okazję oglądać jego bujnie owłosione przedramiona.

Widziałam też, jak przeżył pięć celnych strzałów z pistoletu prosto w głowę. Nie mówiąc już o tym, że nie mrugnął nawet okiem, gdy się wydało, że jestem wampirem.

To jednak jeszcze nie świadczyło, że mam do czynienia z prawdziwym wilkołakiem.

Księżyc nad moją głową płonął srebrnym ogniem.

Zacząłam się zastanawiać, czy dałabym radę na niego dolecieć. Albo na inną planetę.

## **242**

Może kiedyś polecę na Księżyc.

Jak by to było zatańczyć na Księżycu?

Od kilku dni – a właściwie nocy – nie odzywałam się do Kingsleya. Odkąd się dowiedziałam, że to on wyciągnął Irę Langa z aresztu, nie byłam w stanie z nim rozmawiać. Jak można mieć szacunek dla człowieka, który para się takim zawodem?

Smagnął mnie podmuch lodowatego wichru, ale nie zboczyłam z kursu. Moje potężne skrzydła pracowały miarowo, niosąc mnie w ciemności.

Wiedziałam oczywiście, że nie wszyscy klienci Fulcruma to zabójcy. Bronił też niewinnych. Niektórym pomagał jak najbardziej słusznie. Ale byli i tacy, którzy na to nie zasługiwali. Niegodziwi i nikczemni, powinni pozostać za kratkami. Kingsley nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że wypuszcza na wolność dzikie zwierzęta, że przez niego po ulicach chodzi więcej morderców.

Tyle że ja to wszystko wiedziałam już dawno i do

tej pory jakoś mi nie przeszkadzało. Dopóki Kingsley nie wszedł ci w paradę, pomyślałam. Ale czy mogłam teraz mieć mu to za złe? Był niewinny. Do diabła, wykonywał po prostu swoją pracę. Sam powiedział: gdyby nie ja, to inny adwokat wyciągnąłby Langa z aresztu.

Więc może to nie Kingsley był winny, ale system? Niewykluczone.

### 243

Dotarłam już na miejsce i krążyłam nad potężnym, wielopiętrowym kompleksem więziennym w kalifornijskim mieście Chino. Oblepiało go mnóstwo chaotycznie rozrzuconych dobudówek i wolno stojących budynków. Właśnie jeden z tych ostatnich, położony w pobliżu północnego skrzydła, był celem mojej podróży.

Blok dla skazanych na śmierć.

Miałam przed sobą posepny trzypiętrowy budynek, zamieszkały przez setki skazańców. Otaczało go śmiercionośne ogrodzenie pod napięciem. Wieże strażnicze były wszędzie.

Okrzyżylam ponure gmaszysko raz, potem drugi; musiałam wyczuć to miejsce. Za trzecim okrażeniem pewien konkretny obszar zaczął mnie przyciągać; skupiłam się na nim podczas kolejnego przelotu.

To samo uczucie, tym razem silniejsze.

Rzadko używałam swoich parapsychologicznych zdolności w ten sposób. Kiedyś raczej wybierałam spośród różnych wizji i intuicji, nie koncentrując swoich wyczulonych zmysłów bezpośrednio na tym, czego szukałam.

Teraz to zrobiłam.

Bo szukałam jednego konkretnego więźnia. Skazanego na karę śmierci i osadzonego w tym bloku. Szukałam go, bo przyszedł już na niego czas.

Za piątym okrażeniem jedno miejsce przyciągnęło mnie ze szczególną siłą: narożna ściana na pierwszym piętrze.

Tu jest, pomyślałam.

Wiedziałam, że mam rację. Czułam i wierzyłam, że mam rację.

A jeśli nie?

Pozostawiłam to pytanie bez odpowiedzi; zamilkło

i umarło własną śmiercią. Błąd był luksusem, na który nie mogłam sobie pozwolić.

Okrażając blok po raz piąty, złożyłam swoje skórzaste skrzydła i runęłam w dół. Wiatr wył mi w uszach, przyciskając je do głowy.

**245**

**42**

Ściana gwałtownie rosła w oczach, a mnie nagle opadły

wątpliwości. Czy na pewno postępuję właściwie?

Może powinnam odbić w bok i puścić w niepamięć

ten szalony, potworny, makabryczny plan? Czy

to w ogóle jest ten blok, o który mi chodziło?

Potrząsnęłam głową, odpędzając zwątpienie.

Decyzja zapadła przed kilkoma godzinami; w głębi serca wiedziałam, że jest słuszna.

Teraz, rzecz jasna, pozostało tylko jedno: przekonać się, czy wycelowałam we właściwe miejsce na murze.

Zobaczymy, pomyślałam.

Prędkość wciąż rosła. Zachodni narożnik bloku

potężniał z każdą chwilą. Zmieniłam nieznacznie

ułożenie skrzydeł – jedno lekko podciągnąć, drugie

nieco opuścić – mierząc w wypatrzony punkt na wysokości pierwszego piętra, w pobliżu węgła budynku.

Czuję, że to tutaj.

Przyspieszyłam jeszcze bardziej. Potężna budowla

przytłaczała swoim ogromem. Te mury kryły elitę

degeneratów. Morderców, nożowników, różnych niemiłych ludzi. Wicher ryczał mi w uszach.

**246**

To był ostatni moment, w którym mogłam odbić w bok i uniknąć zderzenia ze ścianą.

Nie zrobiłam tego.

Przed sześcioma laty ściagałam lichwiarzy, złodziei

i inne szumowiny. Dziś, pod postacią koszmarnego

nietoperza pędziłam jak pocisk wycelowany w ścianę pilnie strzeżonego więzienia.

Przeżyję czy nie? Tego nie wiedziałam, ale kolejna chwila miała przynieść odpowiedź.

Ostatnia myśl przed zderzeniem: Tammy i Anthony,

kocham was... Jeśli mi się nie uda, zobaczymy się w innym świecie.

Szara ściana wyrosła tuż przede mną. Widziałam

bardzo wyraźnie opasłe pustaki i olbrzymie cegły.  
Opuściłam głowę i przekręcając lekko ciało, uderzyłam  
w mur z taką siłą, że chyba cały ten cholerny budynek  
zatrząsał się w posadach.

F

Podniosłam się, siadając na kupie gruzu.  
Grube skrzydła owijały mnie ciasno, jak ciężki,  
brudny koc. Z dziury w ścianie, ziejącej za moimi  
plecami, wciąż sypały się z hurgotem pokruszone  
odłamki. Nie miałam prawa tego przeżyć. Powinnam  
rozmazać się na ścianie więzienia. Powinnam... ale  
nie. Siedziałam w celi, wśród wielkich brył rozwalonego **247**  
betonu, pogiętych prętów zbrojeniowych i roztrzaskanych  
cegół, które w zasadzie lepiej prezentowałyby  
się w średniowiecznym lochu.

Wyprostowałam się, nie wstając z miejsca. Pył powoli  
opadał. Zamknęłam oczy, a w moich myślach  
natychmiast pojawił się znajomy płomień. Zaraz potem  
ujrzałam w nim kobietę, wyczekującą niecierpliwie,  
i szybko poczułam, jak mnie do niej ciągnie...

Gdy otworzyłam oczy, było już po wszystkim.  
Wróciłam do dawnej postaci. Co oznaczało, że byłam  
całkiem naga i znajdowałam się w więzieniu  
o najwyższym rygorze, w celi bandyty skazanego na  
śmierć.

Przez olbrzymią dziurę w ścianie dobiegały wrzaski  
dziesiątek męskich głosów oraz głośny tupot  
biegnących

ludzi. Chwilę później zawyła syrena alarmowa  
tak głośnie, że aż zakłuło mnie w uszach.

Wstałam powoli. Pył i okruchy gruzu osypały się  
ze mnie.

Czy dobrze trafiłam? Czy to była właściwa cela?  
Czy mój szósty zmysł doprowadził mnie do tego, do  
kogo chciałam?

Moje oczy nie musiały przyzwyczajać się do  
ciemności.

W kącie celi, na małej, jednoosobowej pryczy, siedział  
skulony Ira Lang, wytrzeszczając na mnie błędne,  
pełne niedowierzania oczy. Przyjdzie ci jednak

**248**

w to uwierzyć, chłopczyku, mruknęłam w myśli.  
Skazaniec przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Bandaże  
kryły niemalże całą jego twarz i czoło, a gdyby

nie reprezentacyjna łyśa czaszka, poprzecinana głębokimi  
bruzdami i powysadzana dziwnymi naroślami,  
zaczęłabym się chyba zastanawiać, czy na pewno  
znalazłam właściwą osobę. Twarz, a właściwie fragmenty  
widoczne spomiędzy bandaży, była koszmarnie  
opuchnięta i zniekształcona. Tylko chirurgiczne  
gwoździe i śruby, a była ich cała masa, trzymały całość  
w jednym kawałku.

Szkoda będzie, pomyślałam. Tyle porządnej roboty.

Nikt nie odgadłby, co w tej chwili myślał Ira Lang.

Do diabła, a co niby miał myśleć? Leżał na pryczy  
i knuł (co do tego nie mogło być wątpliwości), jak zamordować  
swoją byłą żonę, a tu nagle w ścianie pojawia  
się wielka dziura, a w dziurze – jakiś potwór.

Który po chwili zamienia się w znajomą kobietę. Kobietę,  
której on nienawidzi.

Nie wiedziałam, co sobie myśli Ira Lang. I ani trochę  
mnie to nie obchodziło.

Strząsnęłam z ramienia drobne okruchy betonu,  
otrzepałam włosy z cementowego pyłu. Na chwilę  
otoczył mnie szary obłok, który szybko opadł na  
podłogę.

Blok rozbrzmiewał okrzykami, głosy niosły się  
echem; za drzwiami musiał być długi korytarz. Wciąż

## **249**

nie zapalono jeszcze świateł. Nikt mnie nie widział.

Nikt oprócz Iry Langa.

Bandyta patrzył w moim kierunku, mrugając zawzięcie  
oczami, a potem wyprostował się i przygarbił,  
usiłując przebić wzrokiem ciemność i chmurę pyłu.

Dyszał ochryple, oddech świszczął pomiędzy jego  
obrzękłymi, zdeformowanymi wargami.

Gdzieś blisko zadudniły kroki. Wycie syren dobiegało,  
miałam wrażenie, że wszystkich stron. Przez  
dziurę w ścianie wpadł promień reflektora-szperacza,  
grzęznąąc w chmurze wirującego pyłu.

Lang wytrzeszczył oczy jeszcze bardziej.

– To ty! – zasyczał nagle. Opuchnięte wargi nawet  
nie drgnęły; głos dochodził, zdaje się, z samego gardła.

– Jak tutaj weszłaś, kurwa?

Milczałam. Co można było powiedzieć w tej sytuacji?

W sytuacji, która wieszczęła Langowi rychły

koniec, i to paskudny. To nie był moment na żarty ani

milenie językiem; czasu było za mało, żeby go marnować.



Stałam i czekałam. Naga jak w dniu, kiedy przyszłam na świat. Byłam pewna, że nie widać wielu szczegółów, co najwyżej kontur sylwetki w świetle bijącym z dziury w ścianie. Nie miałam pojęcia, czy Lang widzi mnie wyraźnie, i bynajmniej mnie to nie obchodziło.

Jego raczej też nie.

**250**

Sięgnął pod cienki więzienny materac, a potem zerwał się i rzucił na mnie. Coś błysnęło w jego dłoni. Rycząc jak prawdziwy demon, zamachnął się z całej siły, mierząc metalowym ostrzem – dostrzegłam, że jest to wyostrzona łyżka przymocowana drutem do deszczułki – prosto w moją pierś. Trudno było powiedzieć, czy taka więzienna „zadra” zadziała na wampira tak samo jak kołek, nie miałam zresztą najmniejszej ochoty tego sprawdzać. Chwyciłam bandziora za przegub, ale wpadł na mnie całym ciałem. Zatoczyłam się w tył i potknęłam o kawał betonu, udało mi się jednak utrzymać na nogach. Lang kopnął mnie kolanem w brzuch, wypierając powietrze z płuc. Szarpnął ręką, w której miał broń, więc ścisnęłam ją mocniej – chyba odrobinę za mocno, bo chrupnęły kości. Wrzasnął, a ja obróciłam go i łapiąc wolną dłońią za złamaną żuchwę, szarpnęłam z całej siły. Mało brakowało, a oderwałabym mu głowę. Kręgosłup szyjny pękł natychmiast z obrzydliwym chrzęstem, a kanty połamanych kręgow przebiły skórę i pomarańczowy więzienny kombinezon, ostre jak odpryski zbitej szyby. Ira zadygotał mocno, a potem oklapł całkowicie. Głowa z groteskową bezwładnością opadła mu na jedno ramię.

Syreny alarmowe zawyły jeszcze głośniejsze, a tupot dobiegający z korytarza przybrał na sile. Do tego w całym bloku zaczęły włączać się światła.

Szli po mnie. W każdej chwili ktoś mógł wpaść do tej celi. Musiałam stąd zniknąć, trwałam jednak w miejscu. Jeszcze chwilę... Wpiłam się wzrokiem w przetrąconą szyję Iry Langa. Chciałam spróbować jego krwi; to pragnienie ośwładnęło mną z taką siłą, że byłam gotowa zaryzykować, że mnie złapią. Oddałabym wszystko za łyk świeżej krwi.

Tupot kroków. Tuż pod drzwiami celi.

Dyszając ciężko, odwróciłam wzrok. Wypuściłam

z rąk ciała Iry Langa, które upadło na zawaaloną gruzem  
podłogę. Podbiegłam do wybitej w ścianie dziury,  
wzięłam głęboki wdech i skoczyłam.

**252**

**43**

Pomiędzy Chino a hrabstwem Orange leży park krajobrazowy  
Chino, który w gruncie rzeczy niezbyt  
przypomina park. Jest to właściwie długi ciąg suchych,  
jałowych wzgórz zamieszkanym przez kojoty  
i króliki; z rzadka tylko pojawi się tam puma. Dziś  
jednak był dzień, gdy w okolicy zawitał olbrzymi nietoperz-  
wampir.

Wylądowałam na okrągłym wierzchołku najwyższego  
wzgórza, skąd widać było pięknie migoczące  
światła północnych miast hrabstwa Orange. Złożyłam  
skrzydła i przycupnęłam na skraju występu  
skalnego.

Wiatr wiał tutaj mocno; skrzydła, podrywane jego  
miarowymi podmuchami, delikatnie były mnie po bokach.  
Jakieś nieduże stworzenie przemknęło w trawie  
nieopodal, zatrzymało się i wystawiło łepki. Wiewiórka.  
Przyglądała mi się przez chwilę, przekrzywiając  
głowę, a potem czmychnęła w mgnieniu oka.  
Cóż, proszę mi wybaczyć, pomyślałam z przekąsem.  
Chłodny nocny wiatr niósł mocną woń jałowca  
i szaławii. Siedziałam w milczeniu na skale, patrząc na

**253**

światła hrabstwa Orange i wspominając, co czułam,  
gdy ludzki kręgosłup złamał mi się w dłoniach.  
Źdźbła trawy szeleściły, poruszane powiewem.  
Moje skrzydła wciąż lekko łopotały, a na grubą skórę  
sypały się ziarenka podrywanego z ziemi piasku.  
Mglisty strzęp cienkiej jak gaza chmury, popychanej  
prądami powietrza, przesłonił księżyc.  
Przywołałam w duchu obraz roztańczonego płomienia,  
wzywając kobiecą część swojej natury. Kilka  
chwil później otworzyłam oczy: siedziałam w kucki  
na skraju urwiska, skulona, przyciskając łokcie do  
boków. Moje włosy łopotały na wietrze.  
Ukryłam twarz w dłoniach. Chciało mi się płakać,  
ale łzy nie popłynęły. Nie mogłam płakać, bo tej nocy  
zaszła we mnie zmiana, zmiana tak straszliwa, że  
z najwyższym trudem mogłam ją przyjąć do wiadomości.  
Nie było jednak innego wyjścia; musiałam się

z tym pogodzić.

Otóż dziś, po zabiciu Iry Langa, gdy trzymałam w ramionach jego martwe ciało, każda chwila była dla mnie czystą rozkoszą. Każda sekunda. Odebranie mu życia sprawiło mi niewysłowioną radość.

Cholera.

Jasna cholera.

Najstraszniejsze jednak było to, że miałam poczucie niespełnienia. Coś jak po samej grze wstępnej, bez zaspokojenia. Chciałam wyssać krew z jego przetrąconej szyi. Marzyłam o tym. Pragnęłam tego. Ponad wszystko. Wziąć wszystko, do ostatniej kropli.

Boże, pomóż mi.

Podniosłam z ziemi garść chłodnego pustynnego piasku. Wiatr porywał mi z palców drobne ziarenka, niosąc je do dalekich krain za morzami. Co z tego, że te „krainy” to było tylko hrabstwo Orange, a morza – podgrzewane baseny?

Nakryłam głowę rękami i zamknęłam oczy, wsłuchując się w szum wiatru, głosy zwierząt, szelest trawy.

Trwałam tak przez długi, długi czas...

**255**

**44**

Zabiłam dzisiaj człowieka.

Po długiej pauzie Kiel odpisał:

Na pewno chcesz o tym rozmawiać w sieci?

A co, Wielki Brat patrzy?

Brat nie brat, ale narobiłaś już tyle zamieszania, że ktoś gdzieś może śledzić nasze rozmowy.

Wątpię, odpisałam.

Co, szósty zmysł?

Można tak powiedzieć.

Więc nie masz wrażenia, że ktoś obserwuje?

Nie, odpisałam. Na razie nie. Może kiedyś poczuję, że trzeba zachowywać się ostrożniej.

Uważasz, że teraz nie trzeba?

Tak uważam.

A czy w takim razie ja mogę prosić, żebyśmy zachowali ostrożność?

Jasne. Powiedzmy, że zabiłam dziś człowieka... na niby.

To już lepiej. Na niby – to znacznie lepiej brzmi. Dlaczego go zabiłaś... na niby?

Bo to był zły człowiek.

Nie dasz rady zabić wszystkich złych ludzi, Luna.

A właściwie co on zrobił złego?

**256**

Szybko opowiedziałam o Langu, skrótami, wspominając tylko o jego największych wyczynach. Dwie sekundy po wysłaniu wiadomości Kiel odpisał:

Ktoś musiał umrzeć. Lepiej on niż twoja klientka.

Na długi, długi czas zapadła cisza na łączach. Staralam się wyobrazić sobie, co robi mój rozmówca. Pewnie siedział i czytał jeszcze raz to, co napisałam. Popijając sobie przy tym piwko, chociaż nigdy nie wspominał, czy lubi piwo czy nie. Ale tak mi podpowiadało, powiedzmy, przecucie. Wyobraziłam sobie, jak pociąga długi łyk z butelki. Może zakłada nogę na nogę, a może zwyczajem wszystkich facetów drapie się w krocze.

Twoja klientka wie, że go zabiłaś?

Jeszcze nie.

Gdzie ona teraz jest?

Śpi obok mnie.

Sypiacie razem?

Bez kosmatych myśli. Odkąd jej pomagam, nigdy jeszcze nie spała tak dobrze.

Ludzie nawet nie wiedzą, że mają więcej niż pięć zmysłów.

Może wyczuła, że w końcu nic jej nie grozi.

Ale żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, musiałam zabić człowieka.

Lepiej się stało, że to on zginął.

Kupiłam sobie paczkę papierosów. Otworzyłam ją teraz i wysunęłam jednego, sięgając po zapalniczkę.

Błysnął żar, a w moje nozdrza niemalże natychmiast

**257**

uderzył ostry zapach płonącego papieru i tytoniu.

Uwielbiałam aromat dymu papierosowego, chociaż najczęściej to ktoś inny przy mnie palił. Przyjrzałam się dymiącemu rakotwórczemu wynalazkowi. Od czasu pierwszej ciąży nie zapaliłam ani razu. Jako odpowiedzialna przyszła mama całkowicie zerwałam z nałogiem i wydawało mi się, że już do niego nie wrócę, ale teraz, skoro nie musiałam się obawiać raka, to co mi właściwie szkodziło? Obiecałam sobie tylko, że nie będę palić przy dzieciach. Ani kiedy zamierzam się całować z facetem.

Jeszcze nigdy nikogo nie zabiłam, odpisałam Kłowi.

I jak się z tym czujesz?

Zaciągnęłam się dymem, obracając w myślach to

pytanie.

Nie czuję zupełnie nic.

Nie masz wyrzutów sumienia?

Nie. Na razie. Ale może później mnie dopadną.

A co czułaś, kiedy umierał?

Czemu pytasz?

W powszechnej opinii wampiry lubują się w zadawaniu śmierci, zabijanie je podnieca.

Zaciągnęłam się jeszcze raz, głęboko – i postanowiłam się przyznać.

Sprawiło mi to taką przyjemność, napisałam, że aż jestem przerażona.

Boisz się, że znów będziesz chciała to zrobić?

**258**

Otóż to.

Wypiłaś jego krew?

Nie. Nie miałam czasu. Ale chyba bym to zrobiła.

Urwałam na chwilę, po czym dodałam:

A teraz mam poczucie niespełnienia.

Bo się nie pożywiłaś?

Właśnie.

To była twoja zdobycz, ale oddałaś ją hienom.

Coś w tym rodzaju. Aż się wzdrygnęłam na takie porównanie.

Powiedz mi, Luna, potrafisz nad sobą zapanować?

Skinęłam potakująco głową, chociaż nie mógł tego widzieć.

Tak, kiedy tylko wyskoczyłam na zewnątrz, to uczucie minęło.

To dobrze.

Znów przytaknęłam, rozumiejąc, co chciał przez to powiedzieć. Gdyby ten głód nie minął, gdyby wciąż mnie dręczył, to jeszcze tej samej nocy mogłam zabić ponownie. I oby tylko nie człowieka.

Zmieniłeś zdanie na mój temat?, zapytałam.

A ty myślisz teraz o sobie inaczej?

Skończyłam papierosa i zdusiłam niedopałek w szklanej popielniczce na nocnym stoliku.

Jeszcze nigdy nikogo nie zabiłam. Ani zwierzęcia, ani człowieka. Zawsze miałam tę świadomość na pocieszenie.

Teraz już jej nie mam.

**259**

Teraz jesteś morderczynią.

Tak.

Zabiłaś złego człowieka, który przy pierwszej sposobności zamierzał skrzywdzić, a nawet zabić twoją klientkę.

Tak.

A więc, praktycznie rzecz biorąc, działałaś w jej obronie.

Można tak powiedzieć.

Prosiłaś go grzecznie, aby dał jej spokój, a on co wtedy zrobił?

Zagroził, że skrzywdzi moje dzieci.

A więc znów, praktycznie rzecz biorąc, działałaś w obronie swoich dzieci.

Nie mogę mieć pewności, że to były poważne groźby.

To był bandyta skazany na śmierć, Luna.

Co nie zmienia faktu, że zabiłam go z zimną krwią.

Cóż, będziesz musiała nauczyć się z tym żyć. Dasz radę?

Zdaje się, że nie mam innego wyjścia.

Wieczność z wyrzutami sumienia to strasznie długo.

I znów nasze palce zastygły na klawiaturach.

Chciałam zapalić jeszcze jednego papierosa, ale się rozmyśliłam. Widząc, że Kieł pisze, cierpliwie czekałam na jego odpowiedź. Przyszła po minucie.

Musiałaś to zrobić. Dla dobra własnego, swojej klientki i swoich dzieci. Uwolniłaś świat od bydlaka, dla którego jedynym celem w życiu było niszczenie innych ludzi. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to odwaliłaś dzisiaj kawał dobrej roboty.

Po tym na długi czas zapadła cisza. Wyjrzałam przez drzwi balkonowe. Na ciemnym niebie wschodził księżyc. Wreszcie wróciłam do pisania.

Kładź się już spać, Kieł.

Przecież wiesz, że jestem nocnym markiem.

Wiem.

Widzimy się za tydzień, tak?

Serce walnęło mi w piersi raz, potem drugi.

Za tydzień.

Luna, już nie mogę się doczekać.

Przygryzłam wargę.

Ja też, odpisałam.

**261**

**45**

Trening z Jackym.

Było dopiero późne popołudnie, więc siły mi nie

dopisywały, a rękawice ciężyły i co rusz opadały. Jacky tego nie lubił i dawał mi to odczuć. Trenowałam na worku, a on podtrzymywał go z przeciwnej strony, amortyzując moje ciosy. Każdy z nich, zdawało się, odrobinę bardziej wytrącał krępego Irlandczyka z równowagi. Już dawno się nauczyłam, że nie mogę bić w worek z całej siły ani nawet na pół gwizdka, bo po takim ciosie poleciałby w tył, jakby dotknął ogrodzenia pod napięciem.

Ale nawet o takiej porze, gdy słońce dopiero zaczynało zachodzić, a ja byłam jeszcze bardzo daleka od pełni sił, moje ciosy miały całkiem sporo pary.

Taki już ze mnie wybryk natury.

Jacky trenował ze mną w trzyminutowych cyklach, odpowiadających rundom pojedynku bokserskiego. Pot łał się ze mnie strugami. Czasami zastanawiałam się, jak wyglądałby mój pot pod mikroskopem.

Zwyczajnie czy niezwyczajnie? Może miałam DNA niepodobne do ludzkiego i jakiś laborant narobiłby w gacie ze strachu, gdyby zobaczył na szkiełku moje

**262**

genetyczne zawijasy, wizytówkę mojej prawdziwej natury?

A kim właściwie tak naprawdę byłam?

Nie wiadomo.

Ta myśl podsunęła mi jednak pewien pomysł.

Bardzo interesujący. Hmm...

– Do góry rękawice, młoda. Do góry...

Walnęłam w worek tak mocno, że odskoczył i uderzył Jacky'ego w twarz. Mój trener urwał, bo chyba przygryzł sobie wargę. Oj. Zaklął i złapał worek mocniej.

Cóż, przynajmniej przestał mi suszyć głowę o te cholerne rękawice.

Spokojnie, mała. To jest jego praca.

Byłam nie w humorze. A właściwie w humorze, tylko bardzo złym. Musiałam się na czymś wyżyć, ale nie chciałam zrobić krzywdy Jacky'emu. Ot, i dylemat.

Zakończyłam czternastą rundę serią ciosów, po których mój trener z całą pewnością zaczął żałować, że przyjął mnie do klubu. Nagle dostrzegłam zwałistą sylwetkę detektywa Sherbeta, który rozglądał się po sali, mrugając oczami nieprzywykłymi do półmroku.

Gdy mnie wypatrzył, skinął dłonią, żebym podeszła.

Powiedziałam Jacky'emu, że zaraz wrócę, a mały Irlandczyk

otarł krew z wargi i uśmiechnął się z ulgą,  
zadowolony, że na parę minut dam mu spokój.  
Wzięłam ręcznik i usiadłam z detektywem na  
ustronnej ławce w przeciwległym rogu. Byłam zlana

### **263**

potem, który bez przerwy ocierałam. Sherbet miał na  
sobie eleganckie spodnie i koszulę z plamą po marmoladzie  
obok jednego z guzików, które z najwyższym  
trudem powstrzymywały napór jego tuszy.

– Mocno się pani poci jak na dziewczynę – zauważył.

– Ktoś już mi to kiedyś mówił – odparłam.

Uśmiechnął się szeroko.

– To wcale nie musi być zarzut.

– To też już słyszałam. A mogę wiedzieć, jak  
mnie pan znalazł?

– Tak się składa, że jestem znakomitym oficerem  
dochodzeniowym. A poza tym Monica mi powiedziała,  
gdzie pani szukać.

Skinęłam ze zrozumieniem głową.

– Czemu więc zawdzięczam ten zaszczyt?

Sherbet patrzył na mnie uważnie, a w oczach miał  
coś dziwnego. Gdybym musiała znaleźć jakieś konkretne  
określenie, powiedziałabym, że była to podejrzliwość.

– Ira Lang nie żyje – poinformował mnie krótko.

– Co za strata – skrzywiłam się.

– Nie wygląda pani na zaskoczoną.

– Jestem za bardzo zmęczona, żeby na coś wyglądać

– odparłam. – Nie spociłam się tak bez powodu,  
wie pan?

– Nie interesuje pani, co było przyczyną śmierci?

### **264**

– Nie.

– Złamany kręgosłup.

Mruknęłam coś obojętnym tonem. Sherbet splótł  
palce, składając dłonie na kształt kielicha i postukując  
kciukiem o kciuk. Ktoś na sali kopał z całej siły  
ciężki worek treningowy, a echo tych kopnięć dochodziło  
aż do nas.

– To się stało dziś w nocy, w jego celi – ciągnął  
detektyw.

Dalej konsekwentnie milczałam, ocierając ręcznikiem  
pot, który bez przerwy spływał mi z czoła. Nie  
patrzyłam na Sherbeta.

– Nagle coś wybuchło, a w ścianie bloku, na wysokości



celi Langa, pojawiła się dziura. Wiem, że to głupio brzmi, ale ktoś włamał się tam przez ścianę.

– To nie ma sensu, panie detektywie.

– Najmniejszego – przyznał. – A do tego wszystko wskazuje na to, że zamordowała go ta sama osoba, która dostała się do jego celi. Prawie urwała mu głowę.

Gdzieś na sali jakaś kobieta ćwiczyła z trenerem, wołając cicho „Hii-jaa!” przy każdym ciosie ręką albo nogą. Ja bym jej dała „Hii-jaa”...

– Władze więzienia nie potrafią wyjaśnić, co się właściwie stało. Wybuch wstrząsnął całym blokiem. Poczuli to wszyscy, którzy byli w środku, na zewnątrz zresztą też, nawet kilka budynków dalej. Nie ma

## **265**

jednak żadnych śladów eksplozji. Jakby ktoś strzelił w ścianę z armaty.

– Panie detektywie, gdybym pana nie znała, to pomyślałabym, że zamiast drugiego śniadania spożywa pan jakieś nielegalne substancje.

Puścił ten komentarz mimo uszu, ale chyba lekko się uśmiechnął.

– Nie powiadomili o niczym prasy – powiedział.

– Nie mogą. Takie rzeczy trzeba trzymać w ścisłej tajemnicy.

Poza tym jak to właściwie skomentować?

– Więc Lang naprawdę nie żyje?

– Tak.

– A to, co pan powiedział – to wszystko fakty?

– Faktów na razie znam niewiele. Naczelnik więzienia i jego ludzie nie mają pojęcia, co się stało.

– I nie ma żadnych świadków?

– Jest. Jeden.

– Co widział ten świadek?

– To był strażnik, który pełnił dyżur na wieży obserwacyjnej. Usłyszał wybuch. Zresztą nie było nikogo, kto by go nie słyszał. Zaczął się rozglądać, chcąc ustalić, co wybuchło, i zobaczył wielką dziurę w ścianie bloku dla skazanych na karę śmierci.

Chwilę później z tej dziury, jak mówił, wyskoczyła naga kobieta.

Wybuchłam gromkim śmiechem, ale Sherbet nie zwrócił na to uwagi.

## **266**

– Kiedy ta kobieta wyskoczyła z celi Langa –

ciągnął

– strażnik meldował właśnie naczelnikowi o uszkodzeniu ściany i nie zdążył podbiec do reflektora, żeby ją porządnie oświetlić. Zniknęła mu z oczu. Potem zobaczył już tylko jedno: tuż nad jego wieżą przeleciało coś dużego i czarnego. Kobiety nie odnaleziono.

– Nie widać jej na żadnym nagraniu?

– Kamera zarejestrowała tylko tyle, że ściana pęka i pojawia się w niej dziura. Nie wiadomo, skąd się wzięła. Jakby ładunek był niewidzialny. Nagranie nie pokazuje nic więcej. Nie widać na nim celi, bo kąt był nie taki, jak trzeba. No i nie ma tam tego, co zobaczył strażnik: ani żadnej kobiety, ani tego latającego czegoś.

– Opisał ją potem?

– A jakże. Szczupła, długie czarne włosy, blada skóra. Wyskoczyła prosto z dziury w ścianie.

– Czy na miejscu zajścia znaleziono ślady biologiczne?

– Na razie nie, ale dochodzenie trwa.

Skinęłam głową.

– A proszę mi powiedzieć, skąd pan to wszystko wie?

– Przyjaźnię się z naczelnikiem więzienia w Chino.

Poza tym prowadziłem sprawę Iry Langa. No, a pani jest moją znajomą. I półtora tygodnia wcześniej mocno poturbowała pani Langa.

**267**

– Jestem dla pana tylko znajomą? Ach, zawiodłam się.

Od początku rozmowy Sherbet obserwował mnie uważnie, a ja nie odrywałam wzroku od ringu na środku sali. Dwie kobiety toczyły tam sparring. Na oko nie miały dość siły, żeby własnoręcznie rozerwać papierowy ręcznik, i to wilgotny. W pewnym momencie jedna z nich odwróciła się i uciekła, piszcząc wniebogłosy.

– Na nagraniu widać jeszcze coś.

Uwaga...

– Proszę mi tylko nie mówić, że znowu przyniósł pan jakieś mini-DVD – parsknęłam.

– Nie – zachichotał detektyw. – Dostałem nauczkę poprzednim razem. Przekażę rzecz ustnie. Otóż zaraz po eksplozji kamera uchwyciła pewien szczegół. Owszem, obiekt był skierowany pod kątem do ściany, która wtedy nie była jeszcze nawet oświetlona

szperaczem, ale mimo to w dziurze widać, jak trochę gruzu nagle unosi się w powietrze, a potem samoczynnie opada.

– Może w więzieniu są duchy? – podsunęłam.

– Dla mnie wygląda to tak, jakby ktoś wstawał z podłogi, a te pokruszone odłamki osunęły mu się z pleców. Ktoś ewentualnie coś.

– Z niewidzialnych pleców – przypomniałam znaczącym tonem.

## 268

To go ostudziło. Pochylił głowę i jęknął cicho, przecierając twarz. Chwilę później spojrzał na mnie udreżonym wzrokiem. Zniknął gdzieś pewny siebie detektyw; miałam przed sobą człowieka rozpaczliwie poszukującego wyjaśnienia zagadki.

– A pani co o tym wszystkim sądzi? – zapytał.

– Sądzę, że Langa załatwił niewidzialny morderca.

– Cóż, niewykluczone. Chce pani może dodać coś jeszcze?

– Tak, panie detektywie – odpowiedziałam, wstając z ławki. – To się nie trzyma kupy. Lepiej niczego nie rozgłaszajcie. Po co ma się roznieść, że w Chino na więźniów polują niewidzialni mordercy?

Oszukałam go i zrobiłam to niechętnie, ale kłamstwo stało się dla mnie drugą naturą – już od tak dawna powtarzałam wszystkim dookoła, że jestem tylko chora... Niemniej jednak jego zboląła, zagubiona mina sprawiła mi wielką przykrość.

Sherbet pokiwał głową, rozłożył swoje puste dłonie, spojrzał na nie. Nie obraziłby się pewnie, gdyby ktoś włożył mu w każdą po paczku. Albo przynajmniej do jednej. Potem pokiwał głową jeszcze raz, usilnie się nad czymś zastanawiając, a następnie wstał. Coś strzeliło mu w kolanach tak głośno, że przechodząca obok dziewczyna aż się na nas obejrzała.

Detektyw zmierzył mnie wzrokiem i powiedział:

– W dalszym ciągu mam do pani kilka pytań.

– A ja w dalszym ciągu pozostaję do pańskiej dyspozycji.

Skinął głową i wyszedł z sali, utykając lekko.

## 270

### 46

Po powrocie do hotelu usiadłam z Monicą po turecku na łóżku. Wzięłam ją za rękę i powiedziałam,

że mężczyzna, który przez dwanaście lat był jej mężem, dwukrotnie próbował ją zamordować i zabił jej ojca – nie żyje. Szczegóły jego śmierci przemilczałam. Dowiedziała się tylko, że była niespodziewana. Wyjątkowo niespodziewana.

Co zadziwiające, Monica była zdruzgotana. Zalała się łzami i bardzo długo nie przestawała płakać. Czasem nie byłam pewna, czy ona sama wie, dlaczego właściwie płacze. Chyba targały nią emocje, wiele różnych emocji, przelewając się w poszukiwaniu ujścia, mieszając ze sobą i wyciskając z oczu kolejne fale łez. W końcu jednak łzy się skończyły. Siedziałyśmy na łóżku, trzymając się za ręce.

– Więc już nikt nie będzie próbował mnie skrzywdzić? – zapytała w końcu Monica.

– Nikt – zapewniłam. Dosłownie chwilę wcześniej detektyw Sherbet przysłał mi niezwykle chaotycznego i pełnego błędów SMS-a (wyobraziłam sobie, jak jego serdelkowate palce błądzą po maleńkiej

## 271

klawiaturze komórki), w którym zawiadamiał, że odbył szczerą rozmowę z zatrzymanym płatnym zabójcą, który oczekiwał w areszcie na postawienie zarzutów współudziału w przygotowaniu morderstwa.

Podobno zabójca wiedział, że jego zleceniodawca – czyli w tym wypadku Ira Lang – nie żyje.

W hotelu było niespotykane cicho, nawet ja nic nie słyszałam. Nie hałasowała żadna winda. Nic nigdzie nie trzeszczało. Nikt się nie śmiał. Nie skrzypiały nawet sprężyny w żadnym łóżku.

Po chwili Monica odezwała się:

– Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje.

Przypomniałam sobie, jak głowa martwego Langa zwisała bezwładnie na bok, trzymając się tylko na skórze szyi. Nie miałam absolutnie żadnego problemu, aby uwierzyć w jego śmierć.

– Więc to koniec? – spytała Monica. – Już nie będziesz mnie ochraniać?

– To koniec tej sprawy – przyznałam – ale nie koniec naszej znajomości. Możesz do mnie dzwonić, kiedy tylko zechcesz. Jeśli się czegoś przestraszysz – dzwoń. Jeśli będziesz potrzebować jakiegokolwiek pomocy – dzwoń. Dzwoń nawet wtedy, gdy będziesz chciała iść do dyskoteki.

Monica roześmiała się, ale łzy znów popłynęły jej po twarzy. Wyciągnęła ręce i przytuliła się do mnie, a potem przyjrzała mi się uważnie.

**272**

– Zawsze masz takie zimne dłonie – powiedziała cichutko, prawie szeptem.

– To prawda – przyznałam.

– Naprawdę zawsze?

Zastanowiłam się nad tym. Owszem, na ogół miałam zimną skórę – oprócz chwil, gdy napiłam się do syta krwi, najlepiej świeżej. Tę informację postanowiłam jednak zachować dla siebie.

– Czy to też jest objaw twojej choroby? – spytała.

– Tak.

– Przykro mi, że chorujesz.

– Mnie też.

W geście solidarności ścisnęła moje dłonie jeszcze mocniej i pokołysała je w swoich, jak małe dziecko, które, gdy jest źle, zawsze próbuje zrobić tak, żeby było lepiej.

– Z tą dyskoteką mówiłaś poważnie? – zapytała.

– Jasne. Sto lat nie tańczyłam.

– Umieję tańczyć – zapewniła.

– Nie wątpię.

Ktoś zapukał do drzwi. Wyjrzałam przez wizjer; to był Chad. Otworzyłam, a on wmaszerował do pokoju z bukietem kwiatów. Pachniał bardzo ładną wodą kolońską. Gdy zapytałam, czy te kwiaty są dla mnie, odpowiedział: „Chyba śnisz”. Mój dawny kolega z pracy był zakochany, lecz z całą pewnością nie we mnie. Natomiast Monica momentalnie się

**273**

rozpromieniła na jego widok. A może tylko na widok kwiatów? Nie wiedziałam, czy ona też jest zakochana, ale chyba miała teraz lepsze perspektywy dla takich uczuć. A przynajmniej nikt już nie mógł zabronić jej kochać.

Chad odciągnął mnie na stronę, żeby krótko porozmawiać o śmierci Iry Langa. Chciał wiedzieć, czy mam jakieś dodatkowe informacje. Odpowiedziałam, że nie. Stwierdziliśmy zgodnie, że to był okropnie dziwny wypadek i że właściwie nie wiadomo, jak do niego doszło. Wniosek zaś był taki, że być może nikt nigdy się tego nie dowie, bo władze więzienia raczej

nie ujawnię wszystkich faktów. Byliśmy też zgodni co do tego, że ktoś tutaj próbuje coś zatuszować; w tym miejscu należy przyznać, że to ja wpadłam na ten trop.

Chad patrzył na mnie, ale widać było, że rwie się do Moniki, która wahała po kolei każdy kwiatek z bukietu.

– Przy mnie będzie bezpieczna – zapewnił. – Zawsze.

– To dobrze.

– Nikomu nigdy nie pozwolę jej skrzywdzić.

– Dobry z ciebie człowiek.

– Kocham ją.

– Bardzo się cieszę.

– A ona mnie kocha? Jak myślisz?

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze – ale wydaje mi się, że zrobiliście niezły początek.

– Ja też tak sędzę. – Chad z entuzjazmem pokiwał głową.

Wyszli razem, ramię w ramię, a ja, po raz pierwszy od kilku tygodni, znalazłam się w hotelowym pokoju zupełnie sama. Wyszłam na balkon i zapaliłam papierosa, przyglądając się w milczeniu blademu obliczu księżycy, który prawie dobiegł już pełni.

W moich myślach panował totalny chaos. Byłam głodna. Jak wilk. Od dobrych kilku dni nie miałam nic w ustach, ale na myśl o zimnych torebkach z krwią leżących w hotelowej lodówce skrzywiłam się tylko i chwyciły mnie mdłości.

Rozproszone myśli, kiedy w końcu udało mi się je pozbierać, skupiły się na Stuarcie, moim kliencie z piękną łusą czaszką. Myślałam o nim nawet wtedy, gdy papieros już dawno się wypalił.

**275**

**47**

Weszłam pod prysznic i odkręciłam gorącą wodę.

Większość ludzi nie wytrzymałaby pod tym ukropem, który dla mnie był w sam raz. Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, to mogłabym przysiąc, że czuję zapach własnego ciała gotowanego żywcem na kościach. Tak czy inaczej dopiero po wyjściu spod takiego prysznica czułam autentyczne ciepło bijące od skóry; te chwile należały w moim życiu do rzadkości. Po dwudziestu minutach po tym ciepelku nie było już śladu, ale gdy się nie ma, co się lubi, trzeba lubić,

co się ma.

Pod prysznicem zawsze najlepiej mi się myślało, więc zagnałam szare komórki do roboty. Temat: Danny.

Mój mąż miał na mnie dwa haki. Pierwszym była próbka mojej krwi, którą pobrał, kiedy spałam (gnojek), drugim – film, na którym było widać, że nie odbijam się w lustrze i nie można mnie nagrać kamerą.

Podobno.

Obie te rzeczy Danny przekazał – znowu podobno – swojemu znajomemu adwokatowi, który ukrył je Bóg wie gdzie. Nie miałam pojęcia, co wiedział o mnie i o mojej przypadłości, jednak nie wydawało

**276**

mi się, żeby Danny zdradził mu wiele, o ile w ogóle coś. Sekrety – to była jego specjalność. Mnie, tak czy inaczej, powiedział, że kolega adwokat otrzymał ściśle instrukcje, aby upublicznić te dane w wypadku, gdyby Danny’ego spotkała nagła śmierć.

Myśl o nagłej śmierci Danny’ego rozproszyła mnie na chwilę. Cieszyłam się nią przez dokładnie sześć sekund, po czym wróciłam do rzeczywistości. Nienawidziłam tego człowieka, i to bardzo, co jednak nie zmieniało faktu, że był także ojcem moich dzieci. I z tej przyczyny dawałam mu spokój.

Jak dotąd.

Jednakże Danny groził też, że mnie zdemaskuje, jeśli nie będę mu posłuszna. Byłam więc posłuszna i przyjąłam jego twarde warunki, pozwalając znęcać się nad sobą psychicznie.

Pozwalałam mu na wszystko.

I miałam już tego po dziurki w nosie.

Obracając się tak, aby strumień ukropu spływał mi pomiędzy łopatkami, zaczęłam się zastanawiać nad wyjściem z tej sytuacji. Głównym dowodem, który Danny mógł przedstawić przeciwko mnie, była moja krew. Założył – choć nie wiadomo, czy słusznie – że różni się ona od krwi zwykłych ludzi, więc na tej podstawie łatwo będzie dowieść, że jestem potworem.

Miał również nagranie wideo, ale to akurat mnie nie martwiło. W dzisiejszych czasach każdy

**277**

może spreparować takie nagranie, więc kto by uwierzył w taki dowód? Danny ośmieszyłby się tylko, gdyby spróbował je pokazać publicznie; wylaliby go

z pracy za taką kompromitację.

O nagraniu mogłam więc zapomnieć.

A o krwi? Raczej nie, a przynajmniej nie w tej chwili. To była niepokojąca sprawa. Musiałam zdobyć więcej informacji. Co zrobić, zastanawiałam się, podstawiając ciało pod prawie wrzącą wodę.

Kilka minut później, wysuszona i ubrana, wzięłam kluczyki do samochodu i ruszyłam do windy.

Czas na zakupy w supermarkecie.

F

Wróciłam do hotelu po dwóch godzinach i znów poszłam do łazienki, tym razem po to, żeby wylać do sedesu sok owocowy z plastikowej butelki. Wiedziałam, że to marnotrawstwo, ale co miałam z nim zrobić, do diabła? Spuściłam wodę w kurniku (tak mówił mój mały Anthony) i przez kilka minut starannie szorowałam pustą butelkę w umywalce, po czym wysuszyłam ją w środku suszarką do włosów, ostrożnie, żeby nie odkształcić plastiku.

Gdy już była gotowa, podstawiłam prawy palec wskazujący, a właściwie sam paznokieć, pod gorącą wodę i umyłam go mydłem do rąk. Skórę na lewym

**278**

przedramieniu przetarłam spirytusem, osuszyłam dmuchnięciem i ostrożnie nacisnęłam paznokciem, nie zadając sobie nawet trudu, żeby znaleźć jakąś żyłę. Pielęgniarka pobierająca krew zemdłałaby chyba z wrażenia. Hmm... Krwiodawstwo... Wampir mógłby się nieźle urządzać w stacji krwiodawstwa... Tylko że w pracy nie wolno pić. Wyleciałabym od razu.

Zaśmiałam się nerwowo z własnego słabego dowcipu i wbiłam paznokieć głębiej w ciało. Przydałby się nóż, ale nie miałam żadnego pod ręką. Poza tym paznokieć zupełnie dobrze się do tego nadawał.

Obok białej w skórę płytki, grubej i naturalnie ostrej, pojawiła się pierwsza kropla gęstej krwi.

Naciskałam

dalej, jednocześnie przesuwając palec w dół, żeby powiększyć nacięcie.

Krew popłynęła strużką, powolną, ale zawsze.

Podstawiłam butelkę po soku, chcąc złapać pierwszą kroplę, gdy już spadnie. Karminowa ciecz sączyła się przez dokładnie dziesięć sekund, a potem rana



zabliźniła się całkowicie i nie pozostało po niej nawet śladu blizny. Tylko zaschnięta podłużna plama w miejscu, gdzie płynęła krew wampira.

Otworzyłam skórę jeszcze raz, łapiąc kolejne krople.

Zanim w butelce uzbierało się dość krwi, musiałam powtórzyć operację jeszcze osiem razy. Dziesięć ran, zero śladów. Wszystko idealnie zagojone.

## **279**

No tak, jestem dziwolągiem.

Zakołysałam butelką, mieszając zamkniętą w niej krew. Takim koktajlem mógłby się uraczyć sam szatan – oczywiście bez różnych zdrowych dodatków w stylu trawy pszenicznej albo pyłku kwiatowego.

Krew przelewała się w butelce, a ja intensywnie zastanawiałam się, co właściwie robię. Zaczęłam nawet się przechadzać po ciasnej łazience, pocierając kark i bijąc się z myślami. Wreszcie wzięłam nieduży styropianowy pojemnik i schowałam do niego zamknięte naczynie pełne ciemnego płynu, który wyciekł z moich żył.

W laboratorium kryminalistycznym FBI w Waszyngtonie miałam znajomego. Dobrego znajomego.

Zrozumiałam, że będę musiała mu zaufać, zwłaszcza jeśli moja krew... odbiega od normy. A jeśli okaże się, że nie? Cóż, wtedy chyba nie będę miała powodu do zmartwienia, prawda?

Wszystko w swoim czasie.

Najbardziej potrzebna mi była wiedza, a nie umiałam wymyślić lepszego sposobu, żeby ją zdobyć.

Zajrzałam do minizamrażalnika w hotelowej minilodówce, gdzie mniej więcej godzinę wcześniej schowałam wkłady chłodzące. Były już twarde jak skała.

Dobrze. Włożyłam je do pojemnika ze styropianu – jeden znalazł się pod butelką, dwa po bokach, a ostatni na niej. Zamknięty pojemnik okleiłam taśmą

## **280**

samoprzylepną i schowałam do kartonowego pudełka.

Potem trzeba było znaleźć w sieci waszyngtoński adres laboratorium. Gdy go już miałam, pozostało zamówić w UPS przesyłkę z dostarczeniem tego samego dnia. Koszt takiej usługi wynosił sto czternaście dolarów. Uprzedziłam też e-mailem znajomego z laboratorium, że ma się spodziewać paczki od nizej

podpisanej; sprawa niezwykle delikatna. Podpisałam się uśmiechniętą buźką, bo lubię takie buźki.

Kiedy to wszystko już było załatwione, przebrałam się szybko, zrzucając dres razem z koszulką i wskakując w coś zdecydowanie bardziej bezwstydnego.

Co ciekawe, tę bezwstydną kieckę pożyczyłam kiedyś od siostry – i ani razu nie miałam jej na sobie.

Była mocno wydekoltowana, odsłaniała ramiona i plecy. Upewniwszy się, że wyglądam jak najprawdziwsza puszczańska, zabrałam pudełko z krwią oraz kluczyki do samochodu i wyszłam z pokoju po raz drugi tego wieczoru.

Tym razem nie do supermarketu.

Paczkę zostawiłam w recepcji. Recepcjonista, którego poinformowałam, że rano zjawi się kurier z UPS, na mój widok zrobił takie oczy, że prawie wyszły mu na wierzch i wpadły mi za dekollet. Był jak nieprzytomny i kiwał tylko błędnie głową. Ciekawe czemu. Kazałam mu powtórzyć dwa razy to, co powiedziałam, i wyszłam z hotelu.

Taki bezwstyd w sumie był fajny. Moim zdaniem, każda kobieta od czasu do czasu powinna się ubrać jak prawdziwa zdzira. To bardzo wyzwalające uczucie. Co innego – bezwstydne zachowanie. Zupełnie naganne. Może to też będzie wyzwalające uczucie?

Chichocząc pod nosem, wrzuciłam bieg, dodałam gazu i ruszyłam w stronę miasta Colton, gdzie miałam się ubiegać o posadę striptizerki.

**282**

**48**

Zajechałam na nieutwardzony parking, zatrzymując samochód w najdalszym jego kącie, nieopodal innej furgonetki, która wyraźnie się kołysała. Chciałam zapukać w okno, tak z czystej przekory, ale ostatecznie rozmyśliłam się, uznając, że jednak wolę nie wiedzieć, co właściwie tam się dzieje.

A poza tym miałam tutaj odbyć rozmowę o pracę.

W pewnym sensie.

Gdy szłam przez parking – długim, rozkołysanym krokiem – nagle opadło mnie zażenowanie. Całe szczęście, cholera, że nigdzie nie było widać samochodu Danny'ego.

Przed wejściem stał wykidajło, olbrzymi Murzyn, który przestraszyłby każdego. Nawet ja się go bałam. Ni

stąd, ni zowąd poczułam piekielny wstyd, przypomniałam sobie jednak, że mam ciało dwudziestośmiolatki.

– Przepraszam – odezwałam się cicho.

– No? – mruknął, nie zaszczycając mnie uważniejszym spojrzeniem.

– Podobno jest u was praca.

– Gadaj z Rickiem. – Wskazał kciukiem przez ramię, w stronę wejścia do klubu.

### **283**

Puściłam do niego oko i ruszyłam do środka. Gdy go mijalam, uniesiona dłoń opadła, lądując na moim tyłku. Wzdrygnęłam się, ale szłam dalej. Za drzwiami, w krótkim korytarzu, panował półmrok. Gdy korytarz się skończył, znalazłam się w dudniącej muzyką sali, gdzie na każdym kroku widać było albo jakiegoś frajera, albo parę cycków. Po lewej miałam scenę, rzęsiście oświetloną setkami maleńkich białych żarówek. Deski sceny były ciemne i mocno poorane obcasami. Na środku tkwiła pionowa mosiężna rura, wokół której brykała białoskóra striptizerka, na razie rozebrana tylko do połowy. Piersi, moim zdaniem, miała przeciętne: sztuczne i przeterminowane – na oko trzy albo nawet cztery lata. Nie bądź złośliwa, skarciłam się w myśli. Cały dekolt tancerki lśnił od brokatu. Ciekawe, czy faceci to lubią. Czy w ogóle zwracają uwagę na taki szczegół jak brokat.

Klub był w połowie pusty. Dookoła sceny siedzieli mężczyźni na różnych etapach upojenia alkoholowego i osobistego zaniedbania. Pili przeważnie piwo, ale tu i ówdzie stały kieliszki z mocniejszym wkładem. Wszyscy gapili się na roziskrzony brokatem biust tancerki.

Przystanęłam, ogarniając wzrokiem ten obrazek.

Dlaczego właściwie Danny przychodzi tak systematycznie do tego klubu? Co go tu ciągnie? Sztuczne cycki posypane migoczącymi drobinkami?

### **284**

Być może. Mężczyźni potrafią toczyć wojny o znacznie mniejsze stawki.

Gdy się rozglądałam, docierało do mnie, że będę musiała się tej nocy jeszcze raz wykapać. Wszędzie było pełno dymu z papierosów, chociaż prawo zabrania palić w lokalach. Rozglądałam się dalej. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nikt nie dostrzegł stojącej

w drzwiach kobiety. Po mojej lewej siedział facet, a na jego kolanach wiła się dziewczyna; uznałam, że odchodzi tutaj mały taniec erotyczny, chociaż wyglądało to na zwyczajne ocieractwo. Za moich czasów mówiło się „spawanie na sucho”.

Żołądek podjechał mi do gardła.

Pomiędzy klientami krążyły inne striptizerki: gładziły ich pieszczotliwie po ramionach, przeczesywały włosy, proponowały różnego rodzaju usługi.

Mężczyźni uśmiechali się uprzejmie, ale kręcili odmownie głowami. Widziałam, że niejeden chciał dotknąć dziewczyny i siłą musiał się powstrzymać.

W takich miejscach dotykanie jest surowo wzbronione, a ten klub z całą pewnością mógłby służyć za wzór poszanowania miejscowych praw. Z wyjątkiem palenia i spawania na sucho. Zauważyłam, że jeden gość przyjął propozycję, a striptizerka szybko zaprowadziła go do pokoiku na zapleczu. Przed drzwiami tego ustronia stanął kolejny dragal, taki sam jak przed wejściem. Wzdrygnęłam się na myśl, co też się tam teraz dzieje.

## **285**

Nie bądź taka pruderyjna, ofuknęłam się w myśli.

To tylko seks, seks i jeszcze raz seks.

Podeszłam do baru. Barman, Latynos, rozmawiał z jakimś klientem o byczym karku i nie zaszczycił mnie spojrzeniem, ale wreszcie udało mi się zwrócić jego uwagę. Powiedziałam mu, że chcę się spotkać z Rickiem.

Na to barman skinął głową, wskazując podbródkiem klienta z byczym karkiem, który, jak się okazało, wcale nie był klientem. Facet odwrócił się powoli i spojrzał na mnie.

– Czego? – zapytał.

– Ty jesteś Rick?

– Ja.

– Szukam pracy.

Zmierzył mnie spojrzeniem, kryjąc, choć nie całkiem, nagle podniecenie.

– Przykro mi, laluniu, nie szukamy nowych dziewczyn.

Laluniu? Ogarnęło mnie dziwne w tej sytuacji poczucie odrzucenia.

– Danny mi mówił – postanowiłam zaryzykować

– że mam cię zapytać o pracę.

– Danny, powiadasz?

– Tak.

Rick wciągnął głęboko powietrze, przez co jego gruba szyja napuchła jeszcze bardziej. Ponownie obrzucił mnie wzrokiem, zatrzymując go dłużej na wysokości klatki piersiowej. Zrobiłam wdech, wypinając lekko biust. Wreszcie Rick powiedział:

– Przyjdź o jedenastej. Danny już będzie, pogadamy wszyscy razem. Ale ostatnio słyszałem, że nie szukamy nikogo nowego.

Strzeliłam jeszcze raz, znów na oślep:

– A mnie Danny mówił, że to jest jego knajpa i że jak on coś powie, to tak ma być.

– Słuchaj, wszystko jedno, przyjdź później, to się naradzimy. – Znów przejechał po mnie kleistym spojrzeniem. – Pokaż cycki, żeby wiedział, z czym do ludzi.

Zachłysnęłam się mimo woli. Praca w kamuflażu to nie była dla mnie pierwszozna, ale czegoś takiego nie robiłam jeszcze nigdy.

– Jak później, to później – odcięłam się. – Kiedy przyjedzie Danny.

– Wszystko jedno – wzruszył ramionami i odwrócił się z powrotem do barmana, pokazując mi plecy. A ja ruszyłam do wyjścia, uświadamiając sobie, że ostatnie uczucia, które jeszcze mnie łączyły z mężem, w tym właśnie momencie ulotniły się na zawsze.

**287**

**49**

Dojechałam do miasta Corona w hrabstwie Riverside, gdzie znalazł się bar o nazwie Denny's. Usiadłam przy stoliku, popijając wodę z lodem. Przede mną stała też filiżanka czarnej kawy, ale była nietknięta. Zamówiłam ją na pokaz, żeby zachować pozory.

Ciekawe, pomyślałam mimochodem, ile wampirów tutaj zagląda. Może żaden? Może wampiry biegają tylko po cmentarzach i urządzają krwawe orgie? Zresztą, cholera wie, jak prawdziwe wampiry spędzają czas.

Do mojego stolika podeszła kelnerka i zerkając na nietkniętą kawę, zapytała, czy życzę sobie czegoś jeszcze. Uśmiechnęłam się i podziękowałam; odpowiedziała tym samym i zostawiła na blacie rachunek.

Uśmiechnęłam się jeszcze raz, bo miałam ochotę się

uśmiechnąć.

Przedemną leżał notatnik otwarty na pustej, niezapisanej stronie. Trzymałam w palcach długopis.

Wisiał tuż nad kartką. Przypomniałam sobie, jak poprzednim razem się „uziemiłam” i kolejno wykonałam wszystkie czynności. Oczyma duszy ujrzałam siebie, przywiązaną do ziemi mocnymi srebrnymi

**288**

niemi. Potem na kilka minut wstrzymałam oddech, aby wreszcie powoli wypuścić powietrze z płuc. Po przedramieniu przebiegło mi znajome już mrowienie. Długopis drgnął w dłoni raz, potem drugi – i pobiegł po kartce, kreśląc na niej litery, które ułożyły się w trzy słowa:

*Dobry wieczór, Samantha.*

Siedziałam, wpatrując się w to krótkie zdanie. Powinnam chyba się bać, ale nic z tych rzeczy. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, ale postanowiłam nie panikować i spokojnie czekać na rozwój wydarzeń.

Odezwałam się niemalże bezgłośnie, poruszając ustami jak przy cichym czytaniu. Mogłam tylko mieć nadzieję, że moja nowa znajoma da radę mnie usłyszeć; musiałam być cicho, bo inaczej wyrzuciliby mnie z baru.

– Dobry wieczór, Seforo – powiedziałam. – Jak się masz?

*Dziękuję, dobrze. I tak samo dobrze cię słyszę.*

Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Przepraszam, że tak długo się nie odzywałam.

*Nie przepraszaj, Samantha. Pamiętaj, że zawsze tutaj jestem.*

– Pamiętam, mówiłaś. A „tutaj” – to znaczy gdzie?

*A jak ci się wydaje?*

– W niebie?

*Blisko. Powiedzmy, że przebywam w świecie duchów.*

**289**

– I jak tam jest?

*Och, znasz go przecież dobrze.*

– Ja?

*Owszem. Przecież ty także w dużej części obracasz się w świecie duchów.*

– Wybacz, nie nadążam.

*Twoje materialne ciało to jeszcze nie wszystko, Samantha.*

*Czy jest ci znane pojęcie duszy?*

– Tak, ale nie jestem pewna, czy w to wierzę.

*Rozumiem. Żyjesz w świecie materialnym, świecie czasu i przestrzeni, gdzie nie znajdzie się zbyt wielu dowodów na istnienie duszy. Pamiętaj jednak, że dowodów na istnienie wampirów jest równie mało, a tymczasem wampiry istnieją. Podobnie dusza.*

Skinełam głowę, sącząc wodę z lodem. Moja kawa już nawet nie parowała. Sprawdziłam, czy nikt nie patrzy w moją stronę, i szybko wylałam trochę ciemnego naparu na stół, wycierając serwetką. Teraz przynajmniej wyglądało tak, jakbym wypila jeden łyk.

Zawinęłam mokrą serwetkę w drugą, suchą. Ileż to ja się muszę namęczyć, żeby zachować pozory normalności, pomyślałam, wdychając głęboko.

– A więc chcesz powiedzieć – podjęłam temat – że niektóre rzeczy najlepiej brać na wiarę?

*Coś w tym rodzaju, Samantha.*

– Możesz mówić do mnie Sam.

*Niech tak będzie... Sam.*

## **290**

– A o co chodziło z tym, że w dużej części obracam się w świecie duchów?

*Najprościej opisać to w ten sposób, że twoja dusza, Sam, nie jest bez reszty związana z twoim aktualnym materialnym ciałem. Jej część – i to duża część – wciąż przebywa w świecie duchów.*

– I co tam robi?

*Obserwuje cię. Z wielką uwagą.*

– To dopiero sensacja – mruknęłam. – Jakoś dziwnie się z tym czuję.

*Rozumiem. Musisz się powoli oswoić z tą myślą. Masz czas. Nie trzeba się spieszyć.*

– A ty? Kim właściwie jesteś?

*Po prostu przyjaciółką, Sam.*

– Dobrą?

*Najlepszą.*

– No dobrze, pocieszyłaś mnie – powiedziałam cicho i natychmiast po całym ciele przebiegł mi lekki dreszcz, który, o dziwo, dodawał otuchy. Czyżby to miał być pocrzepiający uścisk?

*Cieszę się, że poprawił ci się nastrój, Sam.*

– Chciałam cię jeszcze zapytać o to, kim teraz jestem, kim się stałam, ale chyba możemy z tym trochę poczekać.

*Nigdzie się stąd nie ruszam.*

I nagle, całkiem bez uprzedzenia, przepływający przez moje ciało prąd ustał. Zamknęłam notatnik, schowałam długopis do torebki (razem z wilgotnymi serwetkami, które zawinęłam w jeszcze jedną suchą), po czym wyszłam, nie zapominając, oczywiście, zapłacić rachunku.

**292**

**50**

Im dłużej myślałam nad tym, w jaki sposób oddać najgroźniejszego narkotykowego bossa hrabstwa Orange w ręce dobrodusznego Stuarta Younga, tym wyraźniej uświadamiałam sobie, że to musi się fatalnie skończyć dla mojego klienta, właściciela idealnie kształtnej łysej głowy.

Tak więc tej nocy poświęciłam sporo czasu na rozwiązanie tego problemu. Myślałam długo i intensywnie, a tuż przed świtem wpadłam na pewien pomysł.

F

Wieczorem zgromadziłam informacje na temat katastrofy, w której zginęła żona Stuarta. Szczególnie interesowały mnie nazwiska ofiar. Nie było łatwo je zdobyć, ponieważ samolot był wojskowy, a większość pasażerów miała zeznawać w bardzo ważnym procesie.

Musiałam użyć wszystkich swoich kontaktów w urzędach federalnych, zanim udało mi się dopiąć swego i otrzymałam pełną listę nazwisk.

A mając ją w ręku, zabrałam się do roboty.

**293**

F

Dwie noce później była pełnia księżyca, a Kingsley Fulcrum zdierał sobie gardło, zamknięty w swoim schronie. Taką przynajmniej miałam nadzieję. Tej nocy wylądowałam na balkonie rezydencji Jerry'ego Bluma, za fantastycznie zdobioną alabastrową balustradą.

Złożyłam swoje olbrzymie skórzaste skrzydła, przywołując w myślach obraz kobiety otulonej tańczącym płomieniem, a gdy otworzyłam oczy, stałam już naga na kamiennej posadzce balkonu.

Nie miałam ubrania, miałam za to plan.

Szpony, które wyrastały mi po przemianie, były ohydne i przerażające, nadawały się jednak całkiem dobrze do przenoszenia niedużych przedmiotów.

Tym razem był to plecak mojej córki, do którego zapakowałam... powiedzmy, wyposażenie do walki



z przestępczością zorganizowaną.

Z niższych pięter dobiegały moich uszu stłumione odgłosy cichych męskich rozmów. Jak dotąd nikt mnie nie zauważył. Balkonowe drzwi były rozsunięte na całą szerokość. Najwidoczniej Jerry Blum nie spodziewał się gigantycznego wampira-nietoperza na balkonie. W środku ktoś pochrapywał.

Weszłam do ciemnej sypialni. Wzrok nie musiał się przyzwyczajać do braku światła. W moich oczach

#### **294**

cały ten obszerny pokój był zasnuty długimi włóknami świetlistej przędzy. Upiorny blask. Oświetlenie dla wampira. W ogromnym łożu z baldachimem spał jeden człowiek. Pościelenie było obwieszane białymi zasłonami z tkaniny cienkiej jak pajęczyna. Tak nie sypiają bossowie półświatka.

Człowiek leżący na samym środku łóżka chrapał cicho i spokojnie, z zadowoleniem. Nic nie wskazywało na to, że ten sukinsyn, z tyloma zbrodniami na sumieniu, ma jakiegokolwiek problemy ze snem.

W nogach łoża, przewieszony przez ściankę z giętego drewna, wisiał biały bawełniany szlafrok. Włożyłam go i rozejrzałam się, oceniając sytuację. Mogłam mieć pewność, że w pobliżu czuwają jacyś ochroniarze, chociaż pod drzwiami nie było raczej nikogo.

Nic nie słyszałam, a mój szósty zmysł nie alarmował mnie w żaden sposób. Przeciwnie, podpowiadał, że chwilowo jestem bezpieczna.

Stałam nad pościeleniem z plecakiem w dłoni, przyglądając się człowiekowi, który według wszelkiego prawdopodobieństwa stał za śmiercią żony Stuarta Younga. Który miał taką władzę, że mógł doprowadzić do katastrofy wojskowego samolotu. Nie bez powodu bawiłam się w takie podchody. Gdybym otwarcie z nim zadarła, naraziłabym siebie i wszystko, co kocham, na jego odwet. Tę wojnę należało prowadzić metodą podjazdową.

#### **295**

Był też jeszcze inny powód tej nocnej wizyty.

Przed wydaniem wyroku śmierci trzeba mieć pewność, że skazuje się właściwą osobę. Pewnie, Jerry Blum to był drań jakich mało, ale czy właśnie ten, o którego mi chodziło?

Cóż, przekonajmy się.

– Wstawaj, gnoju – powiedziałam.  
Blum w jednej chwili otworzył oczy i wyćwiczonym ruchem wsunął dłoń pod poduszkę. Był szybki, ale nie dla mnie. Zanim zdążył mrugnąć, wykręciłam mu rękę nad głowę i przycisnęłam do materaca. Pochyliłam się nad nim, wpatrzona w jego wystraszoną twarz. Widywałam go często, w telewizji, w różnych książkach, nawet w czasopiśmie. To był prawdziwy bandyta-celebryta, gwiazdor wśród przestępców. Ale cóż, mimo całej swej sławy był łajdakiem czystej wody. Należało też przyznać, że całkiem przystojnym. Dobiegał sześćdziesiątki, ale mógł mówić, że niedawno stuknęła mu czterdziestka. Lekko siwiał na skroniach i miał cieniutkie zmarszczki w kącikach oczu i przy ustach. To nie były zmarszczki od śmiechu, raczej od ciągłych zmartwień. Jeśli chodzi o posturę, to Jerry Blum nie posiadał sylwetki atlety, ale kiedy wił się przede mną, czułam wyraźnie, że jest umięśniony jak należy. Ku swojemu niezmiernemu zaskoczeniu uświadomiłam sobie, że czuję cień podniecenia, szamocząc się w środku nocy z przystojnym łajdakiem w jego własnym łóżku.

## 296

Odpędziłam od siebie to uczucie, kiedy tylko się pojawiło.  
Blum przestał się wyrywać – najwidoczniej dotarło do niego, że nic tym nie działo – i przez jedno albo dwa uderzenia serca przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Przez otwarte drzwi balkonowe wlewało się nastrojowe, rozproszone światło. Gdzieś z oddali niosły się śmiechy, chichotała jakaś dziewczyna, a wysoko na niebie warczały silniki samolotu. Jerry Blum miał wąskie wargi. Jak dla mnie – zbyt wąskie. Oddychał spokojnie, a nozdrza rozděły mu się lekko. Pachniał dobrą wodą kolońską i czymś jeszcze. Lawendą. Ale nie, ten drugi zapach nie bił od niego, tylko od pościeli, a konkretnie – od poduszki. Aromaterapia. Znałam się na tym trochę. Poduszka skropiona lawendą pomaga dobrze przespać całą noc. Zdaje się, że pana Bluma przez długie lata życia prześladowały senne koszmary. Albo i nie...  
– Kim ty jesteś, do kurwy nędzy? – wyrzucił z siebie w końcu.  
– Kolejnym twoim koszmarem. Najgorszym – uściśliłam, siląc się na śmiertelną powagę.

– Tak? A wyglądasz jak zwykła dziwka – warknął i szarpnął się, próbując mnie odepchnąć. I na próbie się, niestety, skończyło. Stękał, robił miny i wierzgał, ale nie udało mu się nawet mnie poruszyć. Wreszcie

**297**

opadł na posłanie, dysząc ciężko, z twarzą wykrzywioną bólem. Chyba coś sobie naciągnął.

– Jest pan bardzo złym człowiekiem, panie Blum

– poinformowałam go.

– A ty jesteś trupem, tylko chwilowo jeszcze żywym.

– Jest w tym sporo racji. Zdziwiłby się pan.

Otworzył usta do wrzasku, ale trzasnęłam go wolną dłonią prosto w twarz. Wyszło mi ślicznie, znacznie mocniej, niż zamierzałam, ale co tam. Blum zrobił potężnego zeza; dopiero po chwili jego oczy wróciły na miejsce. Chwilę później wbił we mnie oszołomione spojrzenie.

– Bez krzyków – ostrzegłam.

Z kącika ust pocięła mu strużka krwi. Na ten widok ścisnęło mnie w żołądku. Jeszcze nic tego wieczoru nie jadłam – z pełnym rozmysłem.

– Danny Boy przysłał cię tutaj, na górę? – zapytał Blum.

– Nie.

– Więc nie jesteś dziwką?

– Czyżby jedno wynikało z drugiego?

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery?

Nie odrywałam wzroku od cieniutkiej czerwonej niteczki połyskującej w kąciku jego ust. Krew była dla mnie pokarmem, to oczywiste, ale nie tylko pokarmem. Odpowiednia krew – czyli świeża – zaspokajała znacznie więcej potrzeb niż głód.

**298**

– Mam dla ciebie dwie wiadomości, Jerry – powiedziałam.

– Złą i bardzo złą. Którą chcesz usłyszeć najpierw?

Szarpnął się znowu, tym razem jeszcze mocniej niż poprzednim razem, ze wszystkich sił starając się mnie odepchnąć. Nie dałam się, nawet nie drgnęłam, a on szybko się zmęczył tą zabawą i opadł, zdyszany, na materac. Wtedy go uderzyłam. Mocno. Prosto w lewe oko. Włożyłam w ten cios naprawdę sporo pary. Miało zabołeć. Kość uderzyła o kość z obrzydliwym chrupnięciem, a głowa Bluma zapadła się głęboko

w poduszkę; chmura gęsiego puchu wykwitła nad nią niczym biały kwiat, roztaczając kojącą woń lawendy.

Przez cały wieczór słyszałam cichutki głos wewnętrzny, który protestował przeciwko takiemu postępowaniu.

Teraz znów się odezwał, przypominając mi, że jestem matką i siostrą, mam przyjaciół, byłam agentką urzędu federalnego oraz żoną, posiadam sumienie i serce. Że nie jestem morderczynią.

Jerry Blum potrząsnął głową. Skórę na lewym łuku brwiowym miał pękniętą, a z głębokiej rany ciekła krew, spływając do kącika oka. Wtedy postanowiłam wysłuchać swojego wewnętrznego głosu. Rozważyłam argumenty, które wysuwał, prześledziłam jego logikę, a po przemyśleniu wszystkich za i przeciw uznałam, że Jerry Blum musi umrzeć.

## 299

Ale nie od razu. Najpierw przekaże mi potrzebne informacje.

– Zleciłeś dokonanie sabotażu w samolocie, którym transportowano grupę świadków prokuratury, którzy mieli zeznawać przeciwko tobie. Samolot się rozbił, nikt nie przeżył katastrofy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Walnęłam go znowu, jeszcze mocniej niż poprzednio, wbijając jego potylicę głęboko w poduszkę.

– Kurwa – zaklął. Plamy krwi pojawiły się już na poduszce, przez co woń lawendy zyskała nowy, przyjemny ton miedzi.

Nie przybyłam tutaj jednak po to, żeby się znęcać nad Jerry'm Blumem ani też po to, żeby go upokorzyć.

Chciałam, aby przyznał się do winy. A potem? Cóż, to zależało od tego, jak potoczą się wydarzenia.

– Powiedz, jak to było z tym samolotem, Jerry – poprosiłam.

– Czy ty w ogóle wiesz, kim ja jestem?

– Jerry Blum, największy mafijny boss w hrabstwie Orange. Jesteś nietykalny, a wrogowie trzęsą się na twój widok. Zrujnowałeś i zniszczyłeś wielu ludzi. Boją się ciebie jak kraj długi i szeroki. To wszystko, chyba że o czymś zapomniałam.

– Zapomniałaś. Mam też forszę. Mogę przelicytować tego, kto ci zapłacił. Dostaniesz ode mnie trzy razy tyle.

### 300

– Zapłacił? Za co?

– Za moją śmierć.

– Za pańską śmierć, panie Blum, nie wzięłam pieniędzy.

Dorzucę ją gratis. Że tak się wyrażę, pro publico bono.

Blum opadł na łóżko. Krwawił. Nos miał idealnie kształtny, prawdopodobnie poprawiony chirurgicznie. Zęby podobnie – też bez skazy i też zapewne poprawione.

Odetchnął głęboko. Powietrze, które wydychał, czuć było krwią. Woń krwi spowijała go od stóp do głów. Nie broczył obficie, ale dla mnie nawet kilka kropel było mocnym sygnałem.

Jestem rekinem, pomyślałam, wyczuwam krew z odległości kilkudziesięciu kilometrów.

– Mów, jak było z tym samolotem – warknęłam.

Woń krwi, nie żartuję, doprowadzała mnie do szaleństwa.

– Idź do diabła, szmato.

– Mów, jak było, Jerry.

Niespodziewanie poderwał głowę, szczerząc zęby.

Pod skórą na szyi zagrały napięte mięśnie, a oczy dosłownie wyszły mu na wierzch. Szarpał się i skrzeczał z frustracji, złości i bólu, a gdy zaczął mówić, z ust popłynęła mu ślina.

– A co, pewnie, że ich zabiłem, ty pieprzona suko!

I ciebie też zabiję. Nie obronisz się przede mną, nikt się nie obroni. Nikt mnie nie pokona. Jak chcę

### 301

kogoś rozwalić, to już po nim. Sam decyduję kiedy i jak. Rozumiesz, ty pojebana wywłoko? Rozumiesz to? Już nie żyjesz. Nie żyjesz! I tak samo twój klient i wszyscy, którzy cię znają. Ale przedtem cię wypieprzę, tak że nie będziesz wiedziała, gdzie co masz.

Wydawało ci się, że możesz tak sobie wleźć do mojego domu i...

Znudziła mnie już ta przemowa.

– Dosyć – powiedziałam, obracając go jednym szarpnięciem na brzuch. Wykręciłam mu ręce i skułam nadgarstki kajdankami wyciągniętymi z plecaka z różnościami. Na głowę zarzuciłam mu czarny, nieutrudniający oddychania kaptur, ściągając go mocno tasiemką. Wirywał mi się jak demon na kokainie, wierzgał nogami i wił się jak wąż, ale nie na wiele się to zdało.

Kiedy skończyłam, wyciągnęłam Bluma z łóżka i zarzuciłam sobie na ramię. Zniosłam go na jego własny przepiękny balkon z alabastrową balustradą, ciskając na posadzkę razem z plecakiem. Potem zdjęłam szlafrok. Zamknęłam oczy; pod moimi powiekami zapłonął ogień, a w płomieniu ukazał mi się olbrzymi skrzydlaty stwór. Gdy otworzyłam je z powrotem, byłam już co najmniej półtora metra wyższa niż kilka sekund wcześniej. Jedną ręką, a właściwie łapą z wielkimi szponami, nadal twardo trzymałam Jerry'ego Bluma.

Pod tą postacią ręce mam całkiem zręczne, niestety, są do nich też przyzcpione skrzydła, zupełnie jak u nietoperza. Udało mi się jednak zaczepić plecak na jednym ze szponów. Chwyciłam Bluma za ramiona, a ponieważ miałam pazury, musiało go zabołec jak cholera.

Uderzyłam mocno skrzydłami, wzbudzając potężną falę powietrza. Blum wrzasnął i szarpnął się jeszcze raz; nie wiedział, co właściwie się z nim dzieje.

Wzbiłam się odrobinę w powietrze, chwytając go pewniej, obiema rękami, po czym energiczniej uderzyłam skrzydłami i wzbiłam się w nocne niebo, wlokąc go ze sobą, skulonego jak szczur.

**303**

**51**

Znaleźliśmy się w komplecie na wybranej wcześniej polanie w parku krajobrazowym Carbon Canyon.

Jedna osoba z naszej trójki nie zjawiała się tutaj z własnej woli.

Jerry Blum stał pod drzewem z rękami uniesionymi wysoko nad głową – przerzuciłam łańcuch kajdanek przez gałąź. Na głowie wciąż miał czarny kaptur.

Przez całe dwadzieścia minut drogi tutaj kłął i wydzierał się na cały głos. Leciałam, nie zwracając na niego uwagi, niesiona prądem powietrza, który znalazłam na dużej wysokości; dzięki niemu poruszałam skrzydłami praktycznie bez wysiłku. Po wylądowaniu na polanie powróciłam do ludzkiej postaci i przebrałam się w małą czarną, która też znalazła się w moim ekwipunku. Blum zasypywał mnie pytaniami, bluzgając przy tym jadem i nienawiścią. Nie odpowiedziałam mu ani słowem, poprzestając na przykuciu

go do drzewa.

W plecaku był również telefon. Wyciągnęłam go i wysłałam kilka SMS-ów o jednakowej treści, a potem zadzwoniłam do swojego klienta, Stuarta Younga, aby poinformować go w dokładnie dwóch słowach, że

**304**

„orzeł wylądował”. Miało to znaczyć, że złapałam tego, o kogo nam chodziło. Stuart zaniemówił na chwilę, z trudem przełykając ślinę, a potem powiedział, że przyjedzie jak najszybciej.

Zostawiłam Bluma pod drzewem. Gdyby mnie ktoś spytał, odpowiedziałabym, że ten człowiek sam wydał na siebie wyrok. Znalazłam w plecaku paczkę papierosów i zapaliłam jednego, mocno zaciągając się dymem. Zostawiłam polanę za sobą i weszłam pomiędzy gęsto rosnące drzewa o fantastycznie powykręcanych pniach. Wypuszczając dym z płuc, uniosłam głowę: na niebie świecił księżyc, widoczny z tego miejsca pod postacią srebrzystej mozaiki w płataninie gałęzi. Nie myślałam o niczym, moje serce też milczało. Ogarnęła mnie pustka i zimne zubożenie. Nasłuchiwałam leśnych odgłosów i stłumionego, odległego bicia własnego serca. Gdy skończył się papieros, natychmiast zapaliłam drugiego tylko po to, żeby coś zrobić. Jerry Blum dał się wściekle

na polanie, ale nie zwracałam uwagi na jego krzyki. Sam wydał na siebie wyrok. Trzeciego papierosa postanowiłam już sobie darować. Oparłam się ramieniem o brudny pień drzewa, zamykając oczy. Tkwiłam tak, dopóki w pobliżu nie rozległ się chrzęst samochodowych opon.

F

**305**

Wysłałam po Stuarta na drogę gruntową biegnącą w odległości mniej więcej stu metrów od polany. Mój klient nie wyglądał wcale dobrze. Był wystraszony, chyba miał mdłości i, zdaje się, musiał iść za potrzebą.

– Muszę iść za potrzebą – powiedział.

Skinęłam głowę, a on oddalił się szybko. Po chwili wrócił, dopinając spodnie.

– Naprawdę tutaj jest? – zapytał.

– Tak – potwierdziłam, przyglądając mu się

bacznie.

– Chcę go zobaczyć.

Zamiast odpowiedzieć, znów tylko skinęłam, prowadząc Stuarta na polanę. Blask księżyca kładł się jasnymi plamami na trawie. Słyszając nasze kroki, Jerry Blum uniósł zakapturzoną głowę.

Widok człowieka przywiązanego do drzewa musiał być drastyczny, bo Stuart zatrzymał się w pół kroku.

– O, Boże – szepnął.

– Kto idzie, do cholery?! – wrzasnął Blum.

Nie powiedziałam nic, wzięłam tylko Stuarta za rękę i zaprowadziłam pod gałąź, do której przykuty był mafijny boss. Ściągnęłam mu kaptur, a on potrząsnął głową, mrużąc oczy. Wręczyłam Stuartowi latarkę wyciągniętą z plecaka. Zaświecił Blumowi prosto w twarz. Gangster odwrócił się, skrzywiony wściekle.

### **306**

– Niech was szlag trafi! Kto wy jesteście? Co tu się, kurwa, dzieje? Jak ja się tutaj, kurwa, znalazłem?

– Zamknij się, Jerry, kurwa – poradziłam mu.

– Pierdol się, szmato. – Plunął na mnie i chciał kopnąć, ale stracił tylko równowagę i przez chwilę wisiał za ręce na gałęzi.

Stuart milczał, wpatrując się w skutego kajdankami człowieka. Usta miał szeroko otwarte ze zdumienia.

Wreszcie odwrócił się do mnie, z tym samym zdumionym wyrazem twarzy.

– Naprawdę ci się udało – powiedział.

Zamiast odpowiedzieć, przyjrzałam mu się uważnie.

Mój klient w dalszym ciągu nie wyglądał najlepiej.

Chyba wpadł w lekką histerię. Z powrotem zarzuciłam Blumowi na głowę kaptur, a Stuarta odciągnęłam na bok. Kiedy mafioso zaczął krzyczeć

i objąć się o pień drzewa, Stuart obejrzał się, ale chwyciłam go za rękę i przeprowadziłam przez wysoką trawę na drugi koniec polany. Tam przystanęliśmy.

– I nikt nie wie, że tutaj jesteśmy? – zapytał.

– Nikt – odparłam.

Pokiwał głową. W jego rozbieganych oczach czaiła się narastająca konsternacja.

– Dobrze się czujesz? – spytałam.

– Nie wiem, czy dam radę to zrobić, Sam – powiedział.

– Rozumiem.



### 307

Drżał na całym ciele. Przesunął dłonią po swojej łysej czaszce.

– Nienawidzę go. Nienawidzę tego skurwysyna.

Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że on tutaj jest. Jak to zrobiłaś?

Zamiast odpowiedzieć, potrząsnęłam głową. Zrozumiał.

Wiatr przybrał na sile, i to znacznie; rozszumiały się drzewa rosnące dookoła polany, a wysokie trawy smagneły nas po kostkach.

Wichura nie zagłuszyła jednak warkotu silników.

Gruntową drogą, jeden za drugim, nadjeżdżały samochody.

Wiele samochodów. Stuart ich nie słyszał. Był pogrążony we własnych myślach, a poza tym nie miał mojego słuchu.

– Nie musisz tego robić – powiedziałam.

Pokiwał potakująco głową. W oczach miał łzy.

– Jak ja nienawidzę tego bydlaka... – szepnął.

I znów zapadła cisza. Wiatr wciąż się wzmaczał, jęcząc pomiędzy drzewami. Nagle usłyszałam kroki zbliżających się ludzi. Było ich wielu.

– Stuart – odezwałam się – a gdybym ci powiedziała, że wcale nie musisz zrobić tego sam?

– Jak to?

– Gdybym ci powiedziała, że tego dnia, gdy zginęła twoja żona, Jerry Blum skrzywdził też innych ludzi? Że takich, którzy tak jak ty marzą o zemście, jest wielu?

### 308

– Nie rozumiem.

Machnęłam dłonią i jakby na ten znak na polanie pojawiło się dziesięć postaci. Dziesięcioro ludzi o poważnych, pobladłych twarzach. Rozpoznałam wszystkich: spotkałam się przecież niedawno z każdym z nich. Z łatwością dali się przekonać i obiecali, że stawią się na tej polanie. Żadnego nie musiałam specjalnie namawiać. Takiej okazji nie mogli przepuścić.

– Jerry Blum to zły człowiek, Stuart – powiedziałam.

– Nie dałbyś mu rady. Zabiłby cię.

– Co to za ludzie? – zapytał.

– Tacy sami jak ty. Ofiary Jerry’ego Bluma.

– I co teraz będzie?

– Nie wiem – odparłam. – Sami podejmiecie decyzję.

Stuart spojrzął na mnie. Oczy miał okrągłe jak

spodki. Potem powiódł wzrokiem po nowo przybyłych. Prawie wszyscy skinęli mu głowami. Stawili się w komplecie: matki, żony, mężowie i dzieci. Każde z nich straciło w tej katastrofie najbliższe, ukochane osoby.

Ścisnęłam Stuarta za rękę i zostawiłam go przy nich, podchodząc do Bluma. Zdjęłam mu kajdanki i kaptur, a potem zaciągnęłam na środek polany. Opierał się, ale tylko trochę.

– Co to za leszcze, kurwa? – warknął.

Zamiast odpowiedzieć, odwróciłam się i odeszłam, a on został sam, na pustej, jasnej polanie, ponad którą wisiał księżyc w pełni. Gdy zniknęłam pomiędzy drzewami, szybko zsunęłam z siebie sukienkę, chowając ją do plecaka razem z komórką, kajdankami i kluczami do nich.

Pierwszy strzał huknął, gdy zakończyłam przemianę.

A gdy wzbiłam się wysoko w powietrze, pracując mocno skrzydłami, by zostawić za sobą ten samotny kanion, polana rozbrzmiewała już prawdziwą kanonadą.

F

Kilka dni później zapytałam Stuarta, co się wydarzyło w tę ostatnią pełnię, ale on nie chciał nic powiedzieć.

Tak samo milczeli też wszyscy inni świadkowie tych wydarzeń.

Dotarło do mnie wtedy, że się pomyliłam. To nie Jerry Blum wydał na siebie wyrok. Wydali go oni i oni go wykonali, a złowrogi król zbrodni został na zawsze na tamtej zapomnianej polanie, głęboko pod ziemią.

**310**

**52**

Nie mogę opaść z sił, ale zmęczenie psychiczne nie jest mi bynajmniej obce, a dzisiejsza noc dała mi się mocno we znaki. Marzyłam tylko o tym, żeby wrócić do hotelu, do pustego pokoju, zaciągnąć szczelnie zasłony i przespać cały dzień, umrzeć dla świata i jego spraw. Lecz kiedy przesunęłam kartę w szczelinie i otworzyłam drzwi, moje zmysły zarejestrowały dwa szczegóły: świeży powiew ciągnący od otwartych na całą szerokość drzwi balkonowych i jakiś potworny, przytłaczający odór.

Przeżyłam już coś podobnego pewnej nocy, gdy

w moim pokoju zaczął się łowca wampirów. Teraz też coś się czaiło, coś, co nawet mnie wprawiło w osłupienie.

F

Rozglądając się czujnie, aby nie zaskoczyła mnie strzała o srebrnym grocie, srebrna gwiazdka do rzucania albo inny pocisk ze srebra, ostrożnie przestąpiłam próg.

Przedpokój był wąski i krótki. Po lewej miałam szafę. Drzwi prowadzące do dużego pokoju były

**311**

uchylone. Wiedziałałam od razu, że nikogo za nimi nie ma. Nie, ten, kto zakradł się do mojego tymczasowego mieszkania, czekał albo w dużym pokoju, albo w sypialni.

Światło było zgaszone. W ciemności wiły się dziko kręte, ultraszybkie zygzaki światła, oświetlając mi drogę, tak jak zawsze.

Zrobiłam kolejny krok.

Koniec krótkiego korytarza był już blisko. Wiedziałałam, że za rogiem po prawej stoi łóżko i biurko, a za rogiem po lewej – krzesła i okrągły stół. Z mojego miejsca nie było widać, czy przypadkiem nie ma tam czegoś jeszcze.

Na wprost przede mną znajdowały się przeszkłone drzwi balkonowe. A mówiąc dokładniej, rozsuwana rama drzwi balkonowych; roztrzaskana w drobny mak szyba leżała na podłodze. Grube zasłony kołysały się lekko, poruszane przeciągiem.

Jeszcze jeden krok.

Mój szósty zmysł już od jakiegoś czasu nadawał ostrzegawcze sygnały. Delikatny meszek na moim karku uniósł się jak naelektryzowany. Obrzydliwy zapach był tutaj silniejszy. W moim pokoju najwidoczniej coś gniło.

Nie. W moim pokoju coś umarło.

Kolejny krok. Koniec przedpokoju. Po prawej zobaczyłam koniec łóżka, a po lewej kawałek okrągłego

**312**

stołu. Smród bił wyraźnie z prawej strony, gdzie stało łóżko i biurko.

Zatrzymałam się, nasłuchując.

Zza rogu dobiegły mnie jakieś odgłosy. Ktoś oddychał, głęboko i nierówno. Moje serce mocno zakołatało, puls przyspieszył. Nagle zaczęłam żałować, że

nie mam przy sobie jakiejś broni.

Po co ci broń, upomniałam się w myśli. Sama jesteś jak broń.

Dalej nasłuchiwałam tych oddechów. Były powolne. I głębokie. Oprócz nich słyhać było też jakieś pomruki. To coś, co na mnie czekało, było duże. Albo też ktoś zaparkował mi na łóżku jakąś podrasowaną gablotę, dajmy na to, dodge'a chargera. Wyszedłam z przedpokoju.

F

Stwór stojący w rogu pokoju wyglądał upiornie, jak żywcem wyjęty z koszmarnego snu. Tylko obezwładniający strach zatrzymał mnie w miejscu; gdyby nie on, na pewno bym uciekła albo zmoczyła się na podłogę. A tak stałam jak wryta, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. Niewykluźzone też, że jednak popuściłam parę kropel.

Stworzenie obserwowało mnie uważnie, niemalże z zaciekawieniem, lekko przekrzywiając

**313**

głowę i nadstawiając spiczaste uszy. Dolna część jego twarzy – czy też pyska – była nieco wydłużona, ale mniej niż u zwykłego psa czy wilka. Raczej jak u mopsa.

Ogólnie rzecz biorąc, to, co stało w rogu mojego pokoju, wyglądało jak stara dekoracja z jakiegoś dawno zapomnianego hollywoodzkiego filmu.

Ale filmowe dekoracje nie oddychają, pomrukując przy tym cicho, ale groźnie. Ostrzegawczo. Podobnie warczy pies, kiedy czegoś pilnuje. Tyle że psie warczenie nie jest tak przerażająco głębokie.

Paszczęka stwora ociekała krwią i czymś jeszcze.

To coś było czarne. I zgniłe. Nagle pomyślałam: wykopał zwłoki i je zeżarł. Byłam tego zresztą więcej niż pewna. Dlaczego? Nie wiem. Może to mój szósty zmysł się rozwijał, zyskując nowe funkcje?

A może to dlatego, że ten potwór śmierdział żywym trupem?

Ustawiłam się tak, aby za plecami mieć wybite drzwi na balkon. Nie mogłam przewidzieć, co zrobię, jeśli stwór zaatakuję, ale na pewno dobrze było mieć gotową drogę ucieczki. A gdybym musiała wyskoczyć oknem... Cóż, z ubraniem można się było pożegnać.

W jednej chwili pójdzie w strzępy.

Miałam dziwne wrażenie, że śnię. Dziwne, ale cholernie mocne. Przecież takie rzeczy dzieją się tylko w snach.

### 314

Mierzyliśmy się wzrokiem, a mój pęcherz wciąż dawał znać o sobie. Stwór dalej oddychał głęboko, gardłowo przy tym pomrukując. Jakbym była w zoo i stała przy klatce z tygrysem.

I wtedy ta bestia ruszyła z miejsca, robiąc krok w moją stronę.

Uciekaj, krzyknął instynkt. Uciekaj i nie zatrzymuj się, dopóki nie zostawisz tego... trupojada co najmniej kilkaset kilometrów za sobą. Ale ja nie uciekłam.

Coś mnie zatrzymało. Tym czymś była ciekawość. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Tylko że trzeba umrzeć, aby tam pójść, a wampir jest nieśmiertelny. Stwór znów się zbliżył. Stawiał olbrzymie kroki. Każdy z nich miał prawie długość mojego łóżka. Zauważyłam, że idąc, trzyma włochate łokcie blisko ciała.

Byłam pewna, że mam przed sobą wilkołaka. I że tym wilkołakiem jest nie kto inny, tylko Kingsley Fulcrum. Nie było mowy o pomyłce.

Dla mnie przemiana nie oznaczała odmiany; chcę przez to powiedzieć, że pod postacią nietoperza pozostawałam w pełni sobą, zachowując kontrolę nad tym, co robię i czuję. Nie bardzo chciało mi się natomiast wierzyć, że Kingsley z własnej woli rozkopał grób i zjadł czyjeś zwłoki – jeżeli rzeczywiście to

### 315

zrobił. Już ten jeden fakt świadczył, że mój znajomy adwokat po przemianie w wilkołaka nie był w pełni sobą. Stąd płynął wniosek, że coś innego miało władzę nad tą bestią, chociaż Kingsley na pewno również był obecny, przynajmniej na tyle, aby wskazać jej drogę do mojego hotelu.

Ale jak to? Przecież miał specjalny schron na czas przemiany. Co się z nim stało? A gdzie był Franklin, jego kamerdyner, który opiekował się nim w trudnym okresie pełni księżyca?

*Zadajesz bardzo dużo pytań, wampirzyco.*

Te słowa zabrzmiały w moich myślach, wprost pod czaszką, jakby całkowicie ominęły uszy. To był

dla mnie wstrząs, ale nie podskoczyłam, cofnęłam się tylko o krok.

– Kto to powiedział? – wykrztusiłam, a stwór przekrzywił łeb, strzygąc spiczastymi uszami, które poruszały się zupełnie niezależnie od siebie. U psa wyglądałoby to uroczo, ale ta koszmarna bestia miała w sobie zdecydowanie mniej uroku niż pies.

*No, kto mówi, jak ci się wydaje, wampirzyco?*

Stwór zbliżył się jeszcze bardziej. Jego ruchy były pełne gracji i zadziwiająco oszczędne. Nie poruszał się, kiedy nie musiał.

– Kingsley? – zapytałam.

*Nie ma go w domu.*

– Więc kto to mówi?

### 316

Wilkołak zrobił jeszcze jeden krok naprzód; był tak wstrętny, że z trudem opanowałam odruch wymiotny. Przypomniałam sobie, kim jestem: upiornym nocnym straszylem. Mój widok napawa grozą nawet najbardziej zatwardziałych bandytów.

*Ty się chyba boisz, wampirzyco.*

Z bliska stwór wyglądał jeszcze ohydniej. I śmierdział jeszcze paskudniej.

– Kim jesteś? – zapytałam. Drżącym głosem.

*A czy to ważne?*

– Owszem. Chcę wiedzieć, gdzie jest mój znajomy.

*Ach, on... Tutaj, wampirzyco.*

– Tutaj, to znaczy gdzie?

*Na drugim planie. Obserwuje nas.*

Blask księżyca oświetlił wypukłe czoło i ścięty pysk wilkołaka. Zaśniły długie, białe zęby osadzone w czarnych dziąsłach. W gardle zarzęził jednostajny pomruk, głęboki, wyrywający się z samej piersi. Najwidoczniej to stworzenie nie umiało nie wydawać żadnych dźwięków. Miało się wrażenie, że w miejscu, gdzie stoi, bez przerwy rozlega się ciche warczenie. Poczułam szaloną pokusę, aby się cofnąć, ale nie, stałam w miejscu.

*Odważna jesteś, wampirzyco.*

– A ty śmierdzisz jak kupa gnoju.

### 317

Wilkołak przechylił głowę, strzygąc uchem łowiącym odgłosy niesłyszalne nawet dla mojego superczułego słuchu.

*Kingsley chciał się z tobą zobaczyć, wampirzyco. Marzył o tym, ale duma nie pozwoliła mu poprosić o spotkanie. Postanowiłem więc złożyć ci dzisiaj wizytę. Uznałem, że już pora się poznać. Ostatecznie, tak niewielu już nas zostało.*

– Nas?

*Nieumarłych.*

– W porządku, poznałeś mnie. A teraz słucham: kim jesteś, do jasnej cholery?

Wilkołak zawarczał jeszcze niższym basem, dudniącym aż gdzieś w głębi jego potężnej piersi.

*Zwę się Maltheus.*

Nie za bardzo mieściło mi się to w głowie.

– Jesteś odrębną istotą zamieszkującą w ciele Kingsleya?

*Nie zawsze tutaj przebywam, o nie. Ale zaglądam do niego raz w miesiącu. Jest bardzo gościnnie.*

Wyczułam sarkazm w tych słowach.

– Kim ty właściwie jesteś?

*Mam wiele postaci, wampirzyco.*

– W jaki sposób wszedłeś w Kingsleya? Dlaczego zamieniasz się w tego... stwora?

*Ten, jak raczyłaś go nazwać, stwór, to moje materialne wcielenie. A szanowny Kingsley sam zaprosił mnie do siebie.*

– Specjalnie dał się pokąsać wilkołakowi?

*Nie. Szukał śmierci. Pragnął zemsty, przepelniony nienawiścią i rozpaczą. Nosił w sobie wielką pustkę.*

Głos umilkł; wilkołak patrzył na mnie z góry, sapiąc ciężko. Pysk miał uchylony, a wargi czarne jak węgiel.

*Ja istnieję po to, aby wypełnić tę pustkę.*

– Nie rozumiem.

*Kiedyś zrozumiesz, wampirzyco. Jeszcze się spotkamy.*

*Możesz być pewna.*

Poruszając się błyskawicznie – znacznie szybciej, niż można by się spodziewać po stworzeniu takich rozmiarów – wilkołak obrócił się w miejscu, dopadł wybitych drzwi na balkon i jednym susem przesadził barierkę.

Pobiegłam za nim, aby zobaczyć, jak spada z ósmego piętra, po czym miękko i z wdziękiem ląduje na chodniku. Nie uniósł pyska, nie zawył przeraźliwie, nie umknął na czworaka, znikając w mrokach nocy.

Nie. Powęszył przez chwilę, podrapał się za uchem

i najspokojniej na świecie poszedł sobie.

**319**

**53**

Było już bardzo późno. Siedziałam przed komputerem.

Komunikator miałam włączony, ale jak dotąd

Kieł nie dał znaku życia.

Sprzątanie pokoju zajęło mi bite trzy godziny: musiałam

pozierać wszystkie kawałki szkła i zmyć plamy

z krwi i innych płynów organicznych, którymi

ociekał Kingsley. Wreszcie znów zapanował porządek

i pozostało mi już tylko wymyślić przekonującą

historyjkę na temat wybitych drzwi balkonowych.

Uznałam, że najlepiej będzie postawić na kartę pijanej

matki rozwódki: piłam na balkonie, potknęłam

się i wpadłam na szybę, która poszła w drobny mak.

Każdemu może się zdarzyć.

W pokoju unosił się zapach masła kokosowego

i gnijących zwłok. Siedziałam przed komputerem,

czekając, aż Kieł się zaloguje.

Wywołałam go po raz kolejny.

I znów.

Dwadzieścia minut później w okienku komunikatora

ukazał się nareszcie upragniony przeze mnie

obrazek, czyli migający ołówek. Oznaczało to, że

Kieł pisze do mnie wiadomość. Poczulałam ogromną

**320**

radość, a jednocześnie załała mnie ulga. Gdyby on

wiedział, jak bardzo na niego liczę...

Ja też tego nie wiedziałam. Aż do tej pory.

Po chwili na monitorze pojawiły się słowa: Jesteś

dzisiaj bardzo wytrwała, Luna.

Mam ci coś do powiedzenia.

W to nie wątpię.

Spałeś?

Zdrzemnąłem się, ale dla ciebie zawsze mam czas.

Zrobiło mi się ciepło na sercu.

Dziękuję.

Kieł odpowiedział uśmiechniętą buźką, po czym

zapytał: No, to o czym chcesz mi powiedzieć?

Widziałam dzisiaj wilkołaka.

To był ten twój dawny klient i aktualny kochanek?

Tak, odpowiedziałam po chwili wahania.

Opowiedz mi o tym.

Więc opowiedziałam. O tym, co widziałam i co



słyszałam – tak dokładnie, jak tylko umiałam. Kieł czekał cierpliwie, aż skończę pisać. Albo też z powrotem zasnął.

Nie. Ledwie zdążyłam wysłać wiadomość, już odpowiedział, niemalże w tej samej chwili:

Nie dziwi mnie to. Powszechnie się uważa, że wilkołaki pożerają zwłoki.

Jeżeli on myśli, że jeszcze mnie kiedyś pocałuje tymi obrzydliwymi ustami, to się grubo myli.

### **321**

A nie jesteś teraz przypadkiem jak kocioł, co przygania garnkowi?

Ja nie zjadam zwłok.

Może i racja. A więc mówisz, że ta istota rzekomo przebywa w ciele twojego znajomego?

Tak.

Kieł umilkł na chwilę, a potem odpisał:

Niektórzy twierdzą, że wilkołaki oraz im podobne nocne stworzenia to w rzeczywistości materialne inkarnacje mrocznych sił. Siły te uważa się za jakieś wysoko rozwinięte formy życia.

Chyba nie bardzo za tobą nadażam.

Te potężne istoty nie mogą przybierać cielesnej postaci na Ziemi. Nie wolno im tego robić. Znalazły sobie jednak różne, nazwijmy to, sposoby.

A jednym z nich jest pojawianie się w naszym świecie raz w miesiącu pod postacią wilkołaka.

Otóż to. Ale one bynajmniej nie uważają się za wilki.

To, co miałaś dziś przed sobą, było materialnym wcieleniem najpotworniejszego zła.

Przebiegł mnie dreszcz.

A w jaki sposób znajdują sobie... nosiciela?

Zapewne tak, jak to się zwykle dzieje. Chociażby na skutek ukąszenia przez podobną istotę, ale najczęściej – i uważam, że przypadek twojego eks-klienta jest dobrym tego dowodem – przyłączają się do człowieka, który dobrowolnie ich do siebie dopuścił.

### **322**

Zgubiłam się, napisałam. Jak zwykle.

Twój znajomy adwokat na pewno nie szukał sposobu, aby zostać wilkołakiem. Nie ulega to dla mnie wątpliwości.

Okazywał natomiast słabość, niepokój, strach i rozpacz. Są to skrajne emocje, które przyciągają uwagę tych wysoko rozwiniętych władców ciemności. To, że

stwór w typie wilkołaka w końcu go odszuka, było tylko kwestią czasu. Albo to, albo śmierć.

Mój znajomy był dla nich odpowiednim nosicielem?

Można tak powiedzieć.

Czyli, praktycznie rzecz biorąc, jest opętany?

Jak najbardziej. A moc, która go posiadała, jest mroczna i bardzo, bardzo zła.

Niedługo wstaje słońce, napisałam.

Powiedziane jak na prawdziwego wampira przystało.

A nasze spotkanie w niedzielę? Nadal aktualne?

Do niedzieli pozostały już tylko dwa dni. Serce załomotało mi w piersi.

Tak, potwierdziłam.

Gdzie chciałabyś się spotkać, Luna?

Mieszkaś w południowej Kalifornii?, zapytałam.

Tak.

Znasz hrabstwo Orange?

Tak.

A wiesz, gdzie jest restauracja Downtown Bar & Grill w Fullerton?

Chwila przerwy, a potem trzecie: Tak.

W porządku. Będę tam o północy.

Godzina wampirów... A więc o północy.

Dobrej nocy, Kieł.

Chcesz powiedzieć: dobrego dnia.

Ha ha.

Słodkich snów, Luna. Do zobaczenia niebawem.

**324**

**54**

Wstałam wcześniej niż zwykle, żeby załatwić z kierowniczką hotelu sprawę wybitych drzwi balkonowych.

Półprzutomna, osłabiona i ogólnie wymiędlona jak nieboskie stworzenie, streściłam tej przysadzistej, kwaśnej jak ocet babie swoją wyssaną z palca pijacką eskapadę, zakończoną wpadnięciem na szybę i rozbiciem jej na kawałeczki. Baba sto razy cmoknęła z dezaprobatą i zrobiła parę zdjęć, ale ostatecznie chyba łyknęła moją bajeczkę. Nie minęła godzina i w pokoju zjawiała się ekipa remontowa, żeby wymienić szybę.

Fachowcy pracowali, a ja zastanawiałam się, czy nadszedł wreszcie czas, żeby znaleźć sobie własny kąt. Z drugiej strony, miałam przecież własny kąt: dom, który kupiliśmy razem z Dannym. Ten sam,

w którym mój mąż pieprzył teraz swoją sekretarkę. Już od dwóch miesięcy mieszkałam w Embassy Suites. Najwyższy czas coś zmienić. Obracałam w głowie tę myśl, siedząc na środku hotelowego łóżka i przyglądając się, jak ekipa remontowa montuje w drzwiach balkonowych olbrzymią szybę. I wtedy nagle uświadomiłam sobie coś, co podczas wizyty

### **325**

w obskurnym barze w Colton kompletnie umknęło mojej uwagi.

Z mocno bijącym sercem włączyłam laptopa i po zalogowaniu do bezprzewodowej sieci hotelowej zaczęłam szukać tego baru. Tak, jak się spodziewałam: nigdzie nie było o nim ani słowa. Absolutnie żadnej wzmianki.

Ekipa skończyła pracę, a jeden z panów fachowców poradził mi, że kiedy następnym razem będę zalana w trupa, lepiej nie przewracać się na szybę, tylko w drugą stronę. Powiedziałam, że będę o tym pamiętać (duppek), a gdy wyszli, wkrótce podążyłam w ich ślady.

Wysmarowana kremem z najmocniejszym filtrem i okutana w grube ciuchy, schowana pod kapeluszem i za ciemnymi okularami, chwyciłam kluczyki do samochodu i już mnie nie było.

F

Gdy jechałam ulicą wiodącą do sądu hrabstwa Riverside, zadzwoniła moja komórka. Kingsley. Odebrałam natychmiast.

– Cześć – przywitał się.

– Cześć.

– Przepraszam za to, co stało się w nocy – powiedział.

– Było trochę strasznie – przyznałam – ale przynajmniej nie mam już żadnych wątpliwości, że jesteś...

wiesz kim.

### **326**

Kingsley nie znoślił, kiedy rozmawialiśmy o naszych wielkich tajemnicach przez telefon, ale tym razem, o dziwo, roześmiał się głośno.

– I to mówi... wiesz kto.

– Każdy ma jakiś problem.

Jechałam dalej zatłoczoną autostradą. Słońce, na całe szczęście, zostało za mną.

Wreszcie Kingsley zapytał:

– Czy mam rozumieć, że to ty kilka dni temu zajęłaś się moim klientem?

– Możesz sobie rozumieć, co tylko chcesz.  
Niemalże widziałam, jak kiwa głową.  
– Powiniennem się za to na ciebie wkurzyć, Sam,  
i to mocno.  
– Powinieneś mi raczej podziękować. Dzięki mnie  
masz mniej pracy.  
– To, co zrobiłaś, było bardzo lekkomyślne.  
– Żyjemy w takich czasach.  
Znów umilkł. Pewnie siedział w swoim ogromnym  
gabinecie, otoczony stosami aktówek.  
– Więc co robimy, Sam? – zapytał.  
– Z czym?  
– Z nami.  
– Nie wiem.  
– Polubiłem cię. I to bardzo.  
– Bo ja daję się lubić – odparłam.  
Zaśmiał się pod nosem.

### 327

– Owszem, czasami. Ale teraz jesteś nieobecna  
i oziębła.  
– Nic dziwnego, bo tak właśnie się czuję.  
– Chodzi o mój zawód – oświadczył, nie zapytał.  
– Nie znoszę go – przyznałam.  
– Sam, zdarza się, że naprawdę pomagam ludziom.  
Nie każdy z moich klientów zasłużył na więzienie.  
– Tak, jak nie każdy powinien wyjść na wolność  
dzięki kruczkom formalnym.  
– Możemy tak się sprzeczać w nieskończoność –  
zauważył.  
– Nieskończoność to bardzo długo dla takich  
jak... my.  
Znów zaśmiał się beztrąsko.  
– Zobaczmy się jutro wieczorem?  
– Mam już plany na ten wieczór.  
W słuchawce zabrzmiał jakiś nieartykułowany  
dźwięk. Wiedziałam, że chciałby zapytać, jakie to  
plany, ale się powstrzymał.  
– Rozumiem – odparł. – Więc może w przyszłym  
tygodniu?  
– Może.  
– Później jeszcze zadzwonię.  
Odpowiedziałam, że dobrze, i tak się skończyła ta  
rozmowa.

Znów zadzwoniła komórka, ale gdy zerknęłam na wyświetlacz, był na nim tylko napis „Numer zastrzeżony”. To musiał być albo któryś z moich wierzycieli, albo jeden ze znajomych z jakiejś agencji porządku publicznego. Przez ostatnich kilka miesięcy moje finanse zaczęły wymykać się trochę spod kontroli. Hotel nie był tani, a Danny nie raczył mi pomóc w żaden sposób. Postanowiłam zaryzykować i odebrałam połączenie, oznajmiając od razu:

– Nie mam pieniędzy.

– Halo, Sam? Mówi Mel.

Pomyłka. Mel, mój znajomy z FBI, pracował w laboratorium kryminalistycznym jako specjalista od badań DNA. Nie byłam mu nic winna, chociaż przez jego ręce przechodziło sporo krwi. Serce momentalnie szarpnęło mi się w piersi. Ten telefon mógł oznaczać tylko jedno.

– Co tam, Mel? – zapytałam.

– Mam już wyniki badań tej próbki krwi, którą mi przysłałaś.

Wzięłam głęboki wdech, na chwilę zatrzymując powietrze w płucach.

– W porządku – powiedziałam wreszcie. – Słucham cię.

**329**

**55**

Kancelaria Danny’ego zajmowała całe pierwsze piętro dużego biurowca, który sam w sobie był dosyć pospolity: jego brzydka, kwadratowa bryła znikwała z pamięci niemalże natychmiast. Kiedy przed kilkoma laty przezwałam go dla żartu „gniazdem sępów szpitalnych”, Danny obraził się na mnie i nie odzywał przez dwa dni.

Gówniarz.

Do zachodu słońca pozostało dobrych kilka godzin, nie byłam więc w pełni sił. Wspięłam się po zewnętrznych schodach prowadzących do drzwi z przydymionego szkła. Tuż obok wejścia stały cztery puste skórzane fotele. Od ściany do ściany rozciągał się gruby orientalny dywan. W kącie po lewej stronie szemrała cicho fontanna, emanując buddyjskim spokojem, kojącym niczym balsam w tych burzliwych czasach, gdy łatwo o wypadek. Na ścianach wisiały obrazy, które wybraliśmy z Dannym wiele lat temu

na jakimś pchlim targu. Duże, tanie falsyfikaty.  
A dokładnie naprzeciwko mnie, za biurkiem  
w kształcie orzecha nerkowca, stukając bezmyślnie  
w klawisze komórki i świata poza nią nie widząc,

**330**

siedziała nowa sekretarka mojego męża. Nogi miała  
gładkie, opalone i trzymała je przed sobą, założone  
jedna na drugą. To była kobieta, z którą mnie  
zdradził i którą aktualnie obracał. Zabawiał się z nią  
w naszym domu, w naszej sypialni, w naszym łóżku.  
Przedstawił ją naszym dzieciom.

Wiedziała, że jest żonaty. Nie miałam żadnych  
wątpliwości, że opisał mnie jej jako potwora w ludzkiej  
skórze. Potwora, który kompletnie nie nadaje się  
na matkę. Cóż, czy się nadaje, czy nie, wszystko jedno.

Fakty były takie, że ta kobieta z własnej woli poszła  
do łóżka z żonatym facetem. Z moim facetem.

Odłożyła telefon, zdjęła nóżkę z nóżki i uśmiechnęła  
się do mnie szeroko. Już miała zapytać, czym może  
służyć, lecz nagle głos zamarł jej w gardle, szczeka  
jakby nieco opadła, a oczy zmrużyły się w dwie cienkie  
szparki. Była brzydka; nie mogłam zrozumieć, co  
Danny w niej widzi. Twarz zbyt szczupła, opalenizna  
zbyt ciemna, cycki sztuczne, na kilometr było to  
widać. Po chwili zastanowienia zrozumiałam jednak  
wszystko: była całkowitym przeciwieństwem mnie.

I to właśnie Danny w niej widział.

Zerwała się i szybko obskoczyła biurko, stając mi  
na drodze. Stała przede mną z rękami założonymi  
pod sztucznym biustem. Paznokcie miała czerwone  
i długie. Wyglądała jak rasowa dziwka.

– Co ty tutaj robisz, do jasnej cholery? – warknęła.

Z uśmiechem na twarzy, nie zwalniając kroku,  
trzasnęłam ją pięścią prosto w twarz. Poleciała do tyłu,  
odbiła się od biurka i padła na podłogę. Widziałam  
wyraźnie, jak podparła się nosem. Rozległ się  
bolesny jęk. Nie byłam jeszcze w pełni sił i nie uderzyłam  
jej tak mocno, jak bym mogła, ale to w zupełności  
wystarczyło, żeby mnie popamiętała.

W drzwiach gabinetu stanął Danny z ustami szeroko  
rozdziałwionymi ze zdziwienia. Spojrzał na  
mnie, a potem na sekretarkę rozciągniętą na orientalnym  
dywanie.

– Sam, kurwa mać, co tu się dzieje?

Poczekalam, az zrobi krok za próg, i walnelam go prosto w zoladek. Sapnal przeslicznie i zgiat sie wpól, a ja chwycilam go za kołnierz i wciagnelam z powrotem do gabinetu, zamykajac za soba drzwi.

**332**

**56**

Popchnelam Danny'ego na jeden ze skorzanych foteli dla klientow, a sama przysiadlam na skraju biurka, ktore bylo tak wielkie, ze smialo moglby wyladowac na nim F-17.

Danny wciadz jeszcze mial klopoty z oddychaniem. Siedzial czerwony i wykrzywiony, a w oczach mial strach i zlosc.

Ja tymczasem machalam sobie swobodnie nogami, pogwizdujac pod nosem. Czekalam, az jego pluca odzyskaja sprawnosc. W koncu przestal sie krztusic, a oddech, choc wciadz zachryply, wyrównal sie na dobre. Gdy to sie stalo, z jego ust bluznal potok slow.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz... Co ty sobie myslisz, do diabla... Wpakowalas sie w niezle gówno, wiesz...? Miałas czelnosc napaśc...

– Skończyłeś, mendo?

Wyprostowal sie odrobinę, odetchnal glębiej, z widocznym bólem.

– Masz mi natychmiast powiedziec, o co tutaj chodzi.

– Cóz, skoro prosisz tak grzecznie ... – Uśmiechnelam sie, nie przestajac machac nogami. Nie powin333no mi to sprawiać az tak wielkiej frajdy, ale nic nie moglam na to poradzić.

Danny wbil we mnie pociemniale oczy, w ktorych odbijala sie konsternacja. To nie byl duzy facet: mial niecały metr osiemdziesiat wzrostu i jak na mój gust byl troche za chudy, czego, oczywiscie, nigdy mu nie powiedzialam. Zawsze wolalam bardziej napakowanych mezczyzn – dlatego wlasnie Kingsley tak zawrocił mi w glowie.

– Czy ty masz pojecie – zapytal Danny – w jakie szambo sie wladowalas?

– Na pewno w nie wieksze niz ty, debilu.

Zmruzył oczy.

– O czym ty mówisz, do diabla?

Zza zamkniętych drzwi dobiegl cichy jek, a potem krótki szloch. Jego sekretarka, skulona na dywanie

i zalana łzami, chwilowo nie nadawała się do obsługiwania szefa.

– Jesteś właścicielem klubu Kittycat – powiedziałam  
– prawdopodobnie najobskurniejszej speluny jak świat długi i szeroki. Jesteś, w dodatku, jedynym jego właścicielem.

Jego pobladła twarz zbieła do końca. Chciał usiąść prosto, ale warknęłam, by się nie ruszał. Posłuchał.

– Nie wiem, o czym mówisz – oznajmił.

– Pewnie, że nie wiesz. Wyprzesz się teraz wszystkiego, tak? Złota dewiza, kiedy się przegrywa.

### 334

– Sam, co ty za brednie wygadujesz?

– Brednie? A wiesz, że wystarczy, jak zadzwonię do znajomego z byle którego urzędu, a mam tych znajomych na pęczki, i Kittycat ma przegwizdane?

– Zaczekaj chwilę. To nie ma nic do rzeczy, czy jestem właścicielem tego klubu, czy nie. Prowadzenie lokalu ze striptizem to nie przestępstwo.

Skrzyżowałam ramiona pod biustem, moim całkowicie naturalnym biustem, który nie wyskoczył mi przy takim ruchu z dekoltu, z czego byłam bardzo dumna.

– Owszem, Danny, to jest przestępstwo, jeśli podobny, jak to ująłeś, lokal ze striptizem działa bez koncesji.

– Cholera.

Uśmiechnęłam się szeroko i usiadłam swobodniej, w dalszym ciągu machając nogami. Odkryłam nowe hobby – patrzenie, jak Danny się wije.

– Załatwiam właśnie licencję... – zaczął.

– Ale dopóki nie załatwisz, to jej nie masz – przerwałam

– o czym na pewno sam dobrze wiesz. Widocznie było ci spieszno do tego, żeby otworzyć tę spelunę, ten sracz.

Milczał. Widziałam wyraźnie, jak serce bije mu ciężko pod wyprasowaną koszulą. Kombinował, jak tylko umiał, mogłam się założyć, ale z tej sytuacji nie było wyjścia. Nie miał szans.

### 335

– Co ci odwaliło, Danny? – zapytałam. – Jak to się stało, że porządny facet, ojciec rodziny, otwiera taki bajzel na kółkach?

– Nie muszę ci odpowiadać.



– Daj spokój, skarbie. Nie jestem z policji, nie przysłałam cię aresztować i nie mam podsłuchu. Wszystko zostaje między nami.

– Ty chyba naprawdę nie wiesz, o czym gadasz. Mogę sprawdzić, co się dzieje z Kicią?

– Kicią? – zaśmiałam się.

– Nie teraz, Sam...

– Tak się nazywa? Poważnie? I też pokazuje tyłek na twojej scenie? A po godzinach odrabia drugi etat u szefuńcia?

– No dobra, przyłapałaś mnie. Chcesz teraz iść z tym do sądu? I co powiesz? Że szukałem szczęścia poza naszym głównianym małżeństwem? Że skorzystałem z okazji, żeby się dorobić porządnej forsy?

– Jesteś żaloszny.

– A ty jesteś demonem w ludzkiej skórze. Czego chcesz ode mnie?

Zmierzyłam go twardym wzrokiem. Trwało to długo. Kicia przestała już chlipać. Na pewno nie była zadowolona.

– Chcę, żebyś oddał mi dom i dzieci.

Danny zaśmiał się tylko.

### **336**

– Nie ma mowy. Nigdy w życiu nie zostawię cię z naszymi dziećmi sam na sam.

– Ty chyba nie rozumiesz, w jakie bagno wpadłeś. Wystarczy, że powiem słowo, a twój plugawy biznes pójdzie pod młotek. Za coś takiego grożą potworne grzywny, nie mówiąc już o tym, że automatycznie stracisz uprawnienia adwokackie. A oprócz tego, no tak, wyjdzie na jaw, że jesteś zwykłą gnidą. Z wielką chęcią usłyszę, co powie twoja mama, kiedy się dowie o wszystkim. – Potrząsnęłam głową. – No tak, o matce nikt nigdy nie pomyśli. Szkoda.

– Chyba o czymś zapomniałaś. Tylko piśnij komuś o tym, a zdemaskuję cię natychmiast. Bo prawda jest taka, że jesteś potworem.

Zsunęłam się z biurka, podchodząc do niego powoli, a potem przykucnęłam pomiędzy jego kolanami, opierając na nich łokcie, skutkiem czego Danny znalazł się w bardzo, ale to bardzo delikatnym położeniu.

– Zdemaskujesz mnie? Potworem? Danny, przecież ja mam tylko rzadką chorobę skóry.

– Mam próbkę twojej krwi, Sam. Złożyłem ją w depozycie. Jeśli tylko stanie mi się coś złego, mój adwokat ma od ręki zlecić badanie tej próbki. Twój sekret przestanie być sekretem, a prawda wyjdzie na światło dzienne: okaże się, że jesteś wybrykiem natury.

**337**

– Wiesz co, Danny? Trzeba było od razu zbadać tę krew.

– Jak to?

Wyprostowałam się i z tylnej kieszeni spodni wyciągnęłam złożoną kartkę papieru. Po drodze do kancelarii mojego męża wstąpiłam do Kinko's, żeby wydrukować wyniki, które przysłał mi Mel.

– Co to jest? – zapytał Danny.

– Wyniki badań mojej krwi.

– Co ty pieprzysz, do cholery?

– Zbadałam swoją krew. W wielu różnych kierunkach.

Laborant otrzymał polecenie, aby znaleźć wszelkie odstępstwa od normy. Zresztą rzuć okiem.

Danny błyskawicznie przebiegł wzrokiem opis badania.

Adwokaci, trzeba im to przyznać, są mistrzami szybkiego czytania.

– Jak sam widzisz – powiedziałam – opinia biegłego brzmi: „Krew w normie”. Moja krew jest normalna, Danny. Normalna. Pod każdym względem. Więc proszę bardzo, badaj ją sobie. Rób z nią, co chcesz. Ale ja zabieram dzieci i dom. A ty możesz być pewien, że żaden zakazany król porno, który przyprawia do domu dziwki i przedstawia je moim dzieciom, nigdy – powtarzam, nigdy – nie będzie tam mile widziany. Masz czas do ósmej wieczorem, żeby się wynieść. Wszystko, co po tobie zostanie, wylądować w śmietniku. Zrozumiałeś?

Danny przez chwilę jeszcze wpatrywał się w kartkę, a potem uniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy.

Znów przykucnęłam, więc były na jednym poziomie z jego oczami.

– To co, nie doniesiesz na mnie? – zapytał.

– Brzydzisz mnie – zgrzytnęłam, wymierzając mu krótki cios prosto w krocze. Sturlał się z fotela, łapiąc spazmatycznie powietrze, a ja wyszłam z jego gabinetu, nie oglądając się nawet na tę jego dziwkę, skuloną na podłodze i mażącą się we krwi.

**339**

Była ósma trzydzieści. Przed chwilą Danny zniknął z naszego domu.

Z dobroci mojego zimnego serca podarowałam mu te dodatkowe pół godziny, bo naprawdę się napracował, żeby zabrać wszystkie swoje graty. Dzieci pojechały na pizzę z ciocią Mary Lou. Kiedy wrócą, tatusia już nie będzie. Na pewno ciężko to przeżyją, ale w końcu się przystosują. Będą musiały.

Zanim Danny wsiadł do swojego samochodu, wypchanego po dach kłopotami, i zniknął mi z oczu, zdążyłam usłyszeć, że Kicia chciała mnie zaskarżyć za pobicie, ale udało mu się jej to wyperswadować. Głównym argumentem miała być podobno olbrzymia podwyżka. Przypomniałam mu wtedy, że ja też spodziewam się hojnej podwyżki – w formie bardzo wysokich alimentów.

Danny usiadł za kierownicą. Choć wyglądał na skrajnie wyczerpanego, posłał mi wściekłe spojrzenie, które w zamyśle chyba miało zwalić mnie z nóg i przetargać po ziemi. Nie padłam i nie dałam się przetargać.

– To jeszcze nie koniec, Sam – zapowiedział.

### 340

– Mam nadzieję – odparłam – bo sporo z tego frajdy.

Potrząsnął głową i odjechał. Odprowadziłam go wzrokiem: skręcił w lewo, znikając za zakrętem.

Uświadomiłam sobie, że nie obchodzi mnie w najmniejszym stopniu, co się z nim dalej stanie.

Do przykrego zobaczenia, gnojku.

Otworzyłam komórkę i zadzwoniłam do siostry.

– Przywieź dzieci do domu – poprosiłam.

F

Zajadaliśmy lody z gorącą polewą, nakryte grubą czapą bitej śmietany z sosem czekoladowym. Owszem, jedno z nas tylko udawało, że zajada. Moje dzieci dotąd nie zauważyły, że nie odżywiam się tak jak one.

Na ogół nie widywały mamy przy jedzeniu, a gdy już siadałam z nimi przy stole, znakomicie sprawdzał się prosty trick z wypluwaniem wszystkiego z powrotem do jakiegoś kubka.

Tylko że dokładnie wszystkiego nie dało się wypluć; musiałam przelknąć trochę lodów i polewy, na

co mój żołądek natychmiast zareagował naprawdę nieprzyjemnymi skurczami. Po kilku minutach udawania łasucha odsunęłam wreszcie miseczkę z deserem, a zawartość pomocniczego kubka wylądowała w zlewie. Zresztą nikt nie zwrócił na mnie uwagi, a ja

**341**

nareszcie mogłam sobie siedzieć, cała rozpromieniona i patrzeć, jak moje dzieci jedzą lody, gadają z cicią i zaśmiewają się do rozpuku... a wszystko to we własnym domu i bez nieustannego nadzoru Danny'ego.

Dzieci pytały wiele razy o tatę. Odpowiadałam, że teraz mama zabiera dom, bo przyszła jej kolej, a tata pomieszka przez jakiś czas u swojej przyjaciółki. I że wszystko będzie dobrze.

Później, w nocy, Tammy przyszła do mnie i prawie do samego rana trzymała mnie za rękę. Raz po raz przepraszała mnie za to, co mówiła przez telefon, a ja za każdym razem odpowiadałam, że nic się nie stało i że kocham ją całym sercem.

Kiedy skończyły się lody, znalazłam w szafie w przedpokoju czystą kołdrę i zalegliśmy wszyscy razem na kanapie w dużym pokoju, żeby obejrzeć *Toy Story 3* z pirackiej płyty, którą Mary Lou kupiła w sklepie z alkoholem. Oznajmiłam mojej siostrze, że nie mogę tolerować łamania prawa, i złożyłam uroczystą obietnicę zakupu oryginalnego DVD od razu po wydaniu. W odpowiedzi Mary Lou pokazała mi język.

Mniej więcej w połowie filmu Anthony nagle zachichotał. Znam ten chichot, pomyślałam.

– Nie mów, że to zrobiłeś! – zawołałam.

A on zaśmiał się jeszcze głośniejszym głosem i poderwał nakrycie do góry.

– Podkołdernik jadowity! – pisnął. Owiał nas swąd.

Uciekliśmy z pokoju, zanosząc się śmiechem i potrącając nawzajem.

A później, gdy atmosfera już się oczyściła i mogliśmy dokończyć oglądanie filmu, Mary Lou usiadła z Tammy, aby zapleść jej długi warkocz, Anthony poszedł się kąpać, a ja... Ja rozplakałam się z radości.

**343**

**58**

Nazajutrz nadszedł wreszcie ten z dawna wyczekiwany

wielki dzień. Szykowałam się wieczorem na przełomowe spotkanie, a choć ostatnimi czasy rzadko zdarzało mi się denerwować, to teraz dosłownie cała się trzęsłam. W trakcie tych przygotowań nagle zaćwierkał sygnał odebrania wiadomości w laptopie. Kieł do mnie napisał.

Hej, Luna. Widzimy się za godzinę?

Jasne.

Denerwujesz się?, zapytał.

Nawet nie masz pojęcia.

Nie bój się. Nie gryzę.

Roześmiałam się, gdyby tylko mój żołądek nie fikał koziołków. Zrobiłam jeden głęboki, rozedrgany wdech. W zasadzie wcale nie potrzebowałam aż tyle powietrza, ale to mnie uspokajało.

Po czym cię poznam?, wystukałam, gdy nerwy odpuściły mi na tyle, abym mogła się skupić na klawiaturze.

Rozglądaj się za facetem z błyskiem w oku.

Cwaniaczku...

Uwierz mi, Luna: dzisiaj nie dasz rady mnie z nikim pomylić.

**344**

Jak się nazywasz?, zapytałam. To znaczy: jak się naprawdę nazywasz?

Powiem ci, kiedy się spotkamy. Umowa stoi?

Stoi. Muszę się przygotować do wyjścia.

Do zobaczenia za pięćdziesiąt sześć minut.

Więc naprawdę się widzimy?

Tak, odpisał Kieł. Naprawdę się widzimy.

Wyłączyłam laptopa i wróciłam do rozczesywania włosów. Nagle dotarło do mnie, że trzęsą mi się ręce.

F

Gdy zadzwoniła moja komórka, byłam już na Chapman Avenue. Spojrzałam na wyświetlacz. Znowu numer zastrzeżony. O tak późnej godzinie to mógł być tylko gliniarz. Coś mi nawet mówiło, że znam jego imię i nazwisko.

– To nie ja, panie władzo, przysięgam – rzuciłam do słuchawki. – Niech pan już odłoży ten szlauch.

– Szlauch wyszedł z użycia – poinformował mnie detektyw Sherbet.

– Tak? To czego teraz używacie?

– Przepisowych technik przesłuchiwania.

- A jeśli się nie sprawdzą?
- To szlauch wraca do łask. – Detektyw milczał przez chwilę. – Ma pani parę minut?

**345**

- Dla pana detektywa – zawsze.
  - Zapamiętam to sobie. No dobrze. Wiele osób zgłosiło nam, że kilka dni temu ulicami Fullerton biegał nocą jakiś dziwny stwór. Chciałem zasięgnąć pani opinii.
  - Bo ja, ponieważ mam rzadką chorobę skóry i nie mogę wychodzić na światło dzienne, muszę, oczywiście, być specjalistką od wszelkiej maści nocnych straszyci?
  - Coś w tym stylu.
  - Czy ten, nazwijmy go, stwór, miał około trzech metrów wzrostu i gęste futro?
  - Skąd pani wie?
  - A czy w okolicy nie sprofanowano jakiegoś grobu?
  - Tak, na Beacon Street, ale jak...
  - Po prostu zgadłam, panie detektywie.
  - Nie będę słuchać takich głodnych kawałków. Chcę wiedzieć, co się dzieje w moim mieście.
  - Nie uwierzyłby pan.
  - A może jednak?
  - Niedługo wszystko panu powiem. Obiecuję. Przez długą chwilę nie odpowiadał, aż wreszcie zapytał:
  - Co to znaczy: niedługo?
  - To znaczy, że niedługo.
- Westchnął.
- Mogę być pani najlepszym przyjacielem, ale równie dobrze najgorszym wrogiem. Mam na głowie bezpieczeństwo tego miasta.
  - Wkrótce porozmawiamy, panie detektywie. Obiecuję.
- Nie spodobało mu się to, ale nie naciskał.
- Może się pan trochę prześpi? – poradziłam.
  - Kiedy po ulicach biega trzymetrowe nie wiadomo co? Nie ma mowy.
  - Nic panu nie grozi – zapewniłam. – Aż do następnej pełni.
  - Robi mnie pani w konia.
  - Porozmawiamy później.

I z tymi słowami się pożegnaliśmy. Skręcałam już na parking pod restauracją o nazwie Downtown Bar & Grill.

**347**

**59**

Na tym samym parkingu całkiem niedawno zginęła młoda kobieta. Jej zamordowanie miało związek ze sprawą, którą prowadziłam. A także z Kingsleyem Fulcrumem.

Samochodów nie było tu wiele, nic zresztą dziwnego – w środku nocy z niedzieli na poniedziałek?

Wybrałam sobie miejsce, skąd doskonale widziałam wjazd na parking.

To się dzieje naprawdę, pomyślałam.

Do umówionej godziny pozostało jeszcze kilka minut. Po prawej stronie biegła alejka znajdująca się na tyłach restauracji, czysta, choć słabo oświetlona; wychodziły na nią drzwi prowadzące na zaplecza sklepów przy Harbor Boulevard. Przy tylnym wejściu do restauracji stały rośliny w ozdobnych doniczkach, a schody przeciwpożarowe na pobliskiej ścianie wyglądały na świeżo malowane. Alejka była brukowana, niczym w jakiejś angielskiej wiosce. Pamiętałam dobrze, jak krew tamtej umierającej młodej kobiety szybko płynęła zygzakiem pomiędzy brukowcami, aby na końcu wsiąknąć w ziemię.

**348**

Księżyc świecił jasno, chociaż nie był w pełni.

Roziskrzzone – przynajmniej w moich oczach – niebo tu i ówdzie kryło się za rzadkimi chmurami. Przez uchylone okno samochodu dmuchał słaby wietrzyk.

Nie mogąc zapanować nad drzeniem dłoni, zacisnęłam je mocno na kierownicy, aż pobiełały mi kłykcie.

Na Chapman Avenue pojawił się samochód, który skręcił w lewo, powoli wjeżdżając na parking. Dwa snopy światła podskoczyły na krótkim podejździe.

To naprawdę za chwilę się stanie.

Nie spodziewałam się aż takich nerwów. Kieł wiedział o mnie wszystko. Znał moje najstraszliwsze sekrety.

A ja – co o nim wiedziałam? Kobieciarz. Fascynują go wampiry. Jest śmiertelny.

I właściwie nic więcej.

Na swój sposób kochałam tego człowieka. Zawsze

mogłam na niego liczyć. Pocieszał mnie w najtrudniejszych chwilach. Podnosił na duchu, przypominał, że nie jestem potworem. Otwierałam przed nim serce, a on patrzył w nie z wrażliwością i współczuciem. Był mężczyzną doskonałym. Najlepszym powiernikiem, jakiego można sobie wyobrazić.

Nie chciałam stracić tego, co mi dawał.

Samochód powoli przecinał parking. Słyszałam chrzęst opon. Był to podrasowany stary wóz. Cudo, nie maszyna. Choć nie była przesadnie wymuskana, to jednak dało się zauważyć, że właściciel o nią dba. Silnik warkotał chrapliwie, głosem całkiem podobnym do głosu wilkołaka, którego niedawno spotkałam.

Nie chciałam go stracić, tego człowieka podpisującego się przybranym imieniem „Kieł”. Nasza relacja była cudowna. Łączyło nas coś niepowtarzalnego, cennego, czulego i czarującego. Coś, co dla mnie było ogromnie ważne.

Nie mogę tego stracić.

Palce prawej dłoni zacisnęłam kurczowo na wiszących w stacyjce kluczykach.

To nie był dobry pomysł. Niepotrzebnie się zgodziłam na to spotkanie.

– Co ja robię? – szepnęłam, czując, jak ogarnia mnie autentyczna panika, być może po raz pierwszy od długiego czasu. To uczucie było po stokroć silniejsze od przerażenia na widok trzymetrowego wilkołaka w moim pokoju hotelowym.

A jeśli Kieł nie jest tym, za kogo się podaje? Jeśli to zupełnie inny człowiek? Niegodny zaufania?

A jeśli będę musiała go uciszyć?

Zaczęłam się kołysać za kierownicą. Gardłowy warkot podrasowanego silnika niósł się echem po całym parkingu, odbijał od ścian pobliskich budynków. Samochód zatrzymał się powoli, dwa miejsca parkingowe ode mnie.

Staliśmy przodem do siebie. Jego szyba była mocno przyciemniona, nawet mój wzrok z trudem ją

**350**

przebijał. Widziałam jednak, że w środku siedzi jeden człowiek. Mężczyzna.

Silnik zgasł i na parkingu znów zapadła cisza.

Chwilę później reflektory błysnęły raz, potem drugi.

Serce załomotało mi w piersi. Prawą dłonią wciąż



ściskałam kluczyki. Mogłam włączyć silnik, odjechać i zapomnieć o tym wieczorze. Wciąż jeszcze mogliśmy powrócić do dawnej relacji.

Ale nie zrobiłam tego, chociaż mogłam.

Sięgnęłam dłonią w dół i odpowiedziałam dwoma błysnięciami świateł. Wtedy otworzyły się drzwi tamtego samochodu i wysunęła się zza nich obuta stopa.

Mój oddech tak przyspieszył, że byłam bliska hiperwentylacji.

Sięgnęłam do klamki, ale coś zatrzymało mnie w miejscu. Cholera, zapomniałam o pasie bezpieczeństwa. Szybko go odpięłam i otworzyłam drzwi.

To naprawdę za chwilę się stanie.

Wysiadłam. Kierowca tamtego samochodu zrobił to samo. Owiało mnie chłodne nocne powietrze.

Od strony restauracji niesły się różne dźwięki: śmiech, muzyka, stłumiony szmer pomieszanych rozmów.

Stałam przed swoją furgonetką. Mężczyzna także postąpił do przodu, swobodnie opierając się biodrem o karoserię. I wtedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Zachłysnęłam się powietrzem i zamarłam, zakrywając dłońmi usta.

Kieł uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Witaj, Luna.

### **Podziękowania**

Dziękuję Sandy Johnston i Eve Paludan – to ich zasługa, że wypadłam odrobinę inteligentniej niż w rzeczywistości – a także Elaine Babich, pierwszej czytelniczce wszystkiego, co tylko napiszę.